



TARA
MOSS

Krwawa Arabina

TOM I HISTORII PANDORY ENGLISH

Moss Tara

Pandora English 01

Krwawa Hrabina

Pandora English, sierota z małego miasteczka, na zaproszenie tajemniczej ciotecznej babki, Celi, wyjeżdża do Nowego Jorku, porzucając rodzinne miasteczko, uciekając od tragicznej przeszłości, by zrealizować marzenia o pisarstwie.

Sprawy przybierają jednak nieoczekiwany obrót. Przede wszystkim, neogotycka rezydencja ciotecznej babki mieści się w zasnutej mgłą części Manhattanu, która nie widnieje na żadnej mapie, a sama Celia – projektantka mody dla gwiazd w „złoty latach” Hollywood – jest wytworna, nienaturalnie młoda i zawsze ukrywa twarz za woalką.

Pandora zaczyna pracę w redakcji czasopisma o modzie, a jej pierwszym zadaniem jest relacja z gali promocyjnej najnowszego cudownego kremu o nazwie „Krew Młodości”. Jednakże jest coś niepokojącego w samym kosmetyku, jak również w Atanazji, zabójczej piękności będącej twarzą produktu. Okazuje się, że „Krew Młodości” zawiera tajemniczy składnik. Składnik, dla którego warto zabić...

Rozdział 1

Moja tajemnicza gospodyni nie pojawiła się, by mnie powitać. Zamiast niej czekał wysoki szofer z miną niewyrażającą absolutnie nic.

Przybyłam na wielkie lotnisko z bagażem map, wskazówek i marzeń, ożywiona niezwykłą mieszanką podniecenia, ulgi i... strachu. Nareszcie udało mi się uciec z mojego małego miasteczka Gretchenville do jednego z największych i najśłynniejszych miast na świecie. Moje marzenie stało się rzeczywistością; rzeczywistością nieznanymi okoliczności i szerokich perspektyw. Wszystko było nowe i nieznanie. Wszystko się zmieniło. A to dzięki propozycji mojego życia.

Nowy Jork.

Mój samolot miał opóźnienie, które odsuwało w czasie zwycięską odmianę mojego losu o pół godziny. Gdy w końcu wysiadłam z samolotu na lotnisku Kennedyego, stanęłam twarzą w twarz z wojowniczym tłumem obcych. Rozmawiali przez telefony komórkowe lub klócili się z obsługą lotniska, miotając się w tę i z powrotem, wymachując teczkami i torbami. Wśród tego rozkrzyczanego ludzkiego zamętu stała wysoka postać w ciemnych okularach, ubrana w nieskazitelnie czarny garnitur. Bładość tego człowieka przywodzi na myśl śmierć, pomyślałam, on zaś - mimo zgiełku panujące-

go dookoła - pozostawał nieruchomy i milczący w jakiś straszliwy sposób. Trzymał w dłoniach tabliczkę z moim nazwiskiem: P. English.

Kiedy widzicie *P. English* od razu zakładacie, że litera P oznacza Patricia, prawda? Albo Penny? Cóż, bylibyście w błędzie. Moja matka była archeologką, a ojciec - językoznawcą. Tych dwoje, na co dzień inteligentnych ludzi, w swojej mądrości nadało jednemu dziecku imię Pandora. Właśnie tak. Jestem imienniczką pewnej greckiej damy, która otworzyła puszkę i wpuściła zło do tego świata. A jeśli zwróciliście uwagę na użycie czasu przeszłego, gdy opowiadałam o swoich rodzicach, przypuszczacie zapewne, że albo są na emeryturze, albo jestem sierotą.

Prawdziwa jest ta druga opcja.

Moi rodzice zginęli w wypadku w Egipcie, gdy miałam jedenaście lat. Przed ich wyjazdem miałam złe przeczucia, ale byłam tylko jedenastoletnią dziewczynką i nie potrafiłam ich zatrzymać. Nie było mnie przy nich, gdy to się stało. Mieszkałam u ciotki Georgii, i z nią już zostałam. Już wtedy uważano, że jestem dziwna (z różnych powodów), dorastanie zaś pod opieką starszej siostry ojca nie przyczyniło się do wzrostu popularności wśród moich rówieśników. Ciotka Georgia jest dobrą, przyzwoitą kobietą, lecz jest też nauczycielką matematyki w jedynej szkole w Gretchenville, znaną ze swej surowości. Starsi ludzie w mieście nazywają ją starą panną, a dzieci w szkole - cóż, o wiele mniej uprzejmie. Ciotka Georgia uważała, że najlepiej będzie nie wspominać o moich rodzicach i wypadku, żeby mnie nie niepokoić, dlatego w jej domu nie ma ich zdjęć. A żeby „uniknąć skrepowania” (jej, nie mojego)

z powodu negatywnych skojarzeń wywołanych przez moje imię, zaczęła nazywać mnie „Dora”.

(Proszę, nie mówcie na mnie „Dora”. Nie znoszę tego). -To ja Pandora English. - Uśmiechnęłam się wesoło do nieznajomego, starając się ukryć podekscytowanie i panikę. Choć jestem średniego wzrostu, ledwo sięgałam mu do piersi. Może to tylko nerwy, ale pomyślałam: *Jest taki nieruchomy. Nie jestem nawet w stanie stwierdzić, czy oddycha.*

Bez słowa powitania ogromny szofer wziął moją teczkę i odszedł. Ruszyłam za nim przez rozstępujący się tłum. Doprowadził mnie do taśmociągu bagażowego, gdzie chwycił wskazaną przeze mnie walizkę - wciąż w milczeniu. Przypuszczałam, że jestem albo zbyt ważną personą, by mógł ze mną rozmawiać, albo kompletnie nic nieznaczącą. Wariant pierwszy odpowiadałby mi bardziej, ale był raczej nieprawdopodobny. Mam dziewiętnaście lat, dopiero co ukończyłam szkołę w małym miasteczku. Nie jestem bogata, ani sławna, ani nawet wpływową. Obecnie nie mam telefonu komórkowego, ani błoga, ani NP (najlepszej przyjaciółki, albo nieprzyjaciółki? W każdym razie, tej też nie mam). Moja walizka to nie Louis Vuitton, czy w czym tam odjechani ludzie wielkiego miasta przewożą dziś swoje rzeczy. Nie, mam poobijaną walizkę ze spłowiałej i podrapanej skóry, ozdobioną stemplami i naklejkami, jak niegdysiejsze kufry. Nie poobijała się podczas moich przygód. Jeszcze nie przeżyłam żadnej. (Choć, tak między nami mówiąc, to się wkrótce zmieni). Walizka należała do mojej matki, archeolożki, i jest dla mnie skarbem, tak samo jak myśl o wszystkich przygodach, jakie z nią przeżyła.

Podążyłam za milczącym szoferem do długiego czarnego samochodu zaparkowanego przez lotniskiem. Podobnie jak okulary przeciwsłoneczne, których nie zdjął nawet na chwilę, samochód lśnił eleganckim blaskiem zagranicznej jakości, tajemniczo przyciemniony, niedostępny. Lśniło w nim wszystko, inaczej niż w moim domu, pomyślałam. Otworzył przede mną tylne prawe drzwi i podał mi teczkę. Zrozumiałam, wsiadłam i położyłam teczkę na kolanach, podczas gdy on zapakował zniszczoną walizkę mojej matki do bagażnika, zamykając go z delikatnym stuknięciem. Byłam zaskoczona i, szczerze mówiąc, pochlebiało mi, że ktoś wysłał po mnie szofera. Nigdy w życiu nie widziałam szofera, tylko w filmach, a tymczasem proszę, szofer wiozł mnie przez miasto moich snów.

Siedziałam na tylnym siedzeniu czystego imponującego samochodu, ubrana w porządne džinsy i nowy szary żakiet od kostiumu (trochę się pogniótł podczas lotu), trzymając nowo zakupioną teczkę w sposób, jaki - miałam nadzieję - nadawał mi nowojorski wygląd. Nie miałam w niej nic, nie licząc portfela, biletu w jedną stronę i powieści o podniszczonych stronach, którą czytałam, ale miałam nadzieję, że teczka wkrótce wypełni się tekstami. Przyjechałam tu zrobić karierę dziennikarską. Będę pisać dla ważnych czasopism. Będę śledzić ciekawe historie i przeprowadzać wywiady ze sławnymi ludźmi.

Będę słynną dziennikarką.

Taką miałam nadzieję.

Przebijaliśmy się przez zakorkowaną drogę wśród dźwięku klaksonów, zatrzymując się i ruszając ponownie w sposób, jakiego nie znałam w swoim mieście. W końcu nasz elegancki samochód opuścił lotnisko

i znalazł się w labiryncie autostrad. Gdy wjeżdżaliśmy przez Queensboro Bridge na Manhattan, a ja po raz pierwszy zobaczyłam Nowy Jork, wstrzymałam oddech na widok, na który czekałam tak długo. Moim oczom ukazała się panorama jak z pocztówki, Big Apple - Wielkie Jabłko, wyspa gigantycznych monolitów z betonu i szkła. Betonowa dżungla, w której King Kong, wisząc na iglicy Empire State Building, strącał krążące wokół niego samoloty. To tu każdy mieszkaniec hoduje w sobie fobie rodem z filmów Woody ego Allena. Na tej jednej wyspie odnaleźć można miłość jak z filmu *Niezapomniany romans* i horror z *Projekt: Monster*. Potrafiłam rozpoznać Chrysler Building i Empire State Building. Słońce już prawie zachodziło, a mój wyśniony Manhattan tętnił życiem, sylwetka miasta jaśniała blaskiem tysięcy (milionów?) rozświetlonych okien, odcinając się od czerwieniejącego nieba.

Przejechaliśmy przez most i pochłonał nas labirynt drapaczy chmur.

Otwierałam szeroko oczy, spoglądając zza szyb samochodu na zacieśniający się wokół nas ruch. Ulica za ulicą, budynki stały jeden przy drugim. Podobnie jak nieznamomi przemierzający pośpiesznie ulice w zimowej aurze, ich ruch był tak samo chaotyczny jak ten, który zaobserwowałam na lotnisku. Wszędzie świeciły neony, plakaty reklamowe i billboardy. Trąbiły klaksony. Ludzie pokrzykiwali, przechodzili, zatrzymywali się, niosąc parasole i torby z zakupami, rozmawiając przez telefony komórkowe lub mówiąc do siebie. Zauważyłam kratki wentylacyjne metra, nad którymi niegdyś pozowała Marilyn Monroe. (Bez niej nie wyglądały tak atrakcyjnie). Kierowaliśmy się na przedmieścia wzdłuż

Madison Avenue, do części, którą znałam z map jako Upper East Side, gdzie drapacze chmur ustąpiły miejsca pięcio- i sześciopiętrowym apartamentowcom ze schodami pożarowymi umieszczonymi na zewnątrz budynków. Skręciliśmy w lewo, przejeżdżaliśmy przez niespodziewaną oazę zieleni Central Parku, poruszając się wąską uliczką wijącą się między drzewami i ławkami, aż wjechaliśmy w mały ciemny tunel zasnuty niezwykle mgłą. Kiedy chwilę później dziwna mgła się uniosła, znaleźliśmy się na ciemnej ulicy w dzielnicy mieszkaniowej. Domy wydawały się tu starsze i bardziej ciche. Szofer zwolnił i zatrzymał samochód przed stojącym na rogu budynkiem w stylu gotyckim.

Addams Avenue, numer jeden.

Kierowca wyłączył silnik.

Znajdowaliśmy się w małej dzielnicy zwanej Spektor, której nie byłam w stanie znaleźć na moich mapach. Był tu dom mojej ciotecznej babki Celi, siostry mojej babki ze strony matki - jedynej żyjącej krewnej, oprócz ciotki Georgii. Nigdy wcześniej nie spotkałam Celi i jestem całkiem pewna, że ciotka Georgia też nie. Na podstawie nielicznych informacji, które o niej miałam, spodziewałam się spotkać bardzo starą i być może ekscentryczną kobietę, która niegdyś błyszczała wśród gwiazd Hollywood jako znana projektantka mody, a na starość zaszyła się w luksusowym apartamencie w Nowym Jorku. Wedle moich obliczeń powinna mieć około dziewięćdziesiątki.

-To uprzejme z jej strony, że cię zaprosiła - wyjaśniła przed wyjazdem ciotka Georgia. - Ale będziesz musiała zarobić na swoje utrzymanie. Pomagać jej przejść przez ulicę, podawać lekarstwa i przynosić do domu zakupy. Jest zapewne bardzo stara i słaba...

Oczywiście, te ostrzeżenia brzmiały dość przygnębiająco, lecz perspektywa zrobienia kariery w Nowym Jorku i szansa wybicia się zdawały się bardziej niż sprawiedliwą ceną za jakiegokolwiek nieprzyjemności geriatryczne. Ostatecznie nie co dzień oferuje się sierocie możliwość rozpoczęcia nowego życia na Manhattanie. Ciotka Georgia zdawała się wahać, lecz dobrze wiedziała, jak bardzo pragnę mieszkać w Nowym Jorku, a tylko tak mogłam to osiągnąć. To była moja szansa na ucieczkę z Gretchen-ville. A także szansa na uwolnienie się od nieustającej algebry ciotki Georgii i osaczającego ciężaru mojej małej rodzinnej tragedii. Od jedenastego roku życia czułam się, jakbym miała napis „biedna mała sierotka” wytatuowany na czole, równocześnie z już wspomnianą etykietką „dziwne dziecko”, więc obojętne mi było, że ta nieznana hojna krewna jest osiemdziesięcioletnią staruszką mieszkającą w sercu Manhattanu, w dzielnicy nieistniejącej na mapach (i sprawiającej wrażenie równie żywej jak miasto duchów). Najważniejsze, że wyrwałam się z Gretchenville (którego liczba ludności wynosi po moim bezprecedensowym wyjeździe 3999 mieszkańców).

Wysiadłam z wielkiego czarnego samochodu i szperałam po kieszeniach w poszukiwaniu pieniędzy na napiwek dla kierowcy, lecz ten w milczeniu pokręcił głową, nie zmieniając wyrazu bladej twarzy. Bez wysiłku umieścił moją walizkę u stóp dziwnego starego budynku, w którym miałam zamieszkać w najbliższej przyszłości. Następnie wsiadł do samochodu i odjechał. Spojrzałam w górę.

Budynek był wąski i sięgał wysoko w ciemne niebo, celując w nie licznymi łukami z kamienia, wieżyczkami i szpicami. Liczył pięć pięter, a jego front zdobiły wie-

kowe, bogato zdobione łuki okienne. Wyszukane dekoracje wykute w kamiennej elewacji pokryła patyna czasu, co dawało dość upiorny efekt, zwłaszcza że wyglądało to tak, jakby okna na środkowych piętrach były zabite deskami - o ile nie było to złudzenie optyczne. *No dobrze...*

Odnalazłam dzwonek obok łukowato wygiętych okutych drzwi i zadzwoniłam na najwyższe piętro. Po kilku sekundach usłyszałam wesołą, ale niezrozumiałą odpowiedź i zabrzączał dzwonek, zwalniając blokadę zamka. Pociągnęłam za klamkę, ale drewniane drzwi były cięższe niż płyta nagrobna i najwyraźniej tak samo często używane. *Czy to możliwe?* Mój tajemniczy kierowca już zniknął, więc odstawiłam teczkę i szarpnęłam jeszcze raz, używając całej wątpliwej siły moich mięśni. Jak to możliwe, by za tymi drzwiami mieszkała staruszka? W jaki sposób wychodziła z domu? A może nie wychodziła. Może nie mogła. Może dlatego właśnie przyjechałam.

O rany. W co ja się pakuję?

Pociągnęłam raz jeszcze.

- Otwórzcie się, proszę... - wymamrotałam poirytowana i udało mi się uchylić je odrobinę. Centymetr po centymetrze wsuwałam się do środka: najpierw stopa, potem kostka, noga i mój szczupły tułów, aż w końcu razem z moją walizką i teczką przedostałam się przez szczelinę w drzwiach. Ledwie tego dokonałam, usłyszałam, jak skrzypnęły i zatrzasnęły się za moimi plecami z głuchym łomotem, wznosząc obłoczek kurzu.

Temperatura wewnątrz budynku była o kilka stopni niższa niż na ulicy, co nie dawało ukojenia. Znalazłam się w owalnym holu wejściowym z wysokim sklepieniem, udekorowanym płytkami i złoconymi kinkie-

tami, których świetność dawno przeminęła. Półokrągła klatka schodowa prowadziła ku zamkniętym drewnianym drzwiom na półpiętrze. Zadźwięczał dzwonek, sygnalizując nadjeżdżającą windę. Zauważyłam żelazną klatkę bogato zdobioną kutymi, metalowymi spiczastymi kwiatami lili, z których jeden był złamany i wygięty pod kątem prostym. Imponujący kryształowy żyrandol nad moją głową pokrywała pajęczyna. Wisiał trochę krzywo. I był jedynym źródłem światła.

Wychodziło na to, że dom mojej ciotecznej babki Celi był tak samo przerażający od środka, jak i na zewnątrz, ale mnie takie widoki szczególnie nie poruszały. W końcu przez jakiś czas miałam obsesję na punkcie starych cmentarzy. Ten w Gretchenville obfotografowałam setki razy. A zwłaszcza jeden grób.

W przytłaczającej ciszy rozległ się dźwięk dzwonka i zgrzyt starej maszynerii. Po chwili drzwi windy otworzyły się, ukazując szczupłą kobietę. Zrobiła krok do przodu i znalazła się w przyćmionym świetle rzucanym przez zakurzony żyrandol. Wytworna postać ubrana w czarną jedwabną suknię z dodatkami w kolorze krwistej czerwieni, ściągniętą w pasie cienkim błyszczącym paskiem. Przez chwilę wydawało mi się, że ożyła postać z wydania „Vogue” z lat czterdziestych lub pięćdziesiątych. Nosiała czółenka typu Mary Jane na obcasie, nie płaskie. I jedwabne pończochy - nie przeciwżylakowe. Na dłoniach miała ciemne zamszowe rękawiczki z ozdobnymi wycięciami przy nadgarstku, zapinane na czerwone skórzane guziczki. *Piękne!*

- Kochana Pandoro! Czy to ty? - w głosie kobiety było więcej życia, niż spodziewałabym się po jakiegokolwiek

ciotecznej babce. Na jej ustach błyszczała ciemnoczerwona szminka.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Pandoro! - powtórzyła, podchodząc do mnie kołyszącym krokiem.

Na głowie miała mały czarny kapelusik z cienką woalką zakrywającą jej twarz aż do podbródka. Przypomniałam sobie, że moja cioteczna babka Celia była wdową, lecz wcześniej tylko na czarno-białych fotografiach widziałam, by ktoś nosił taki kapelusz. Celia wyjechała z Gretchenville we wczesnych latach czterdziestych, by podróżować po całym świecie i projektować stroje dla wielkich domów mody i gwiazd Hollywood. Wzięła ślub z nowojorskim fotografem, który wkrótce zmarł, chyba na zawał. Nie dziwi mnie, że nie wróciła do Gretchenville. (W sumie, dlaczego miałyby wracać? Ja bym nie wróciła). Tylko tyle wiedziałam o kobiecie, z którą miałam zamieszkać. Albo tyle wydawało mi się, że mi o niej mówiono. Ale czy w takim razie ta kobieta nie była za młoda, by być Celią?

- Mam na imię Celia - potwierdziła w chwili, gdy byłam już pewna, że wysłała kogoś, by mnie powitał. Wyciągnęła w moim kierunku dłoń w rękawiczce.

- Hm, mam na imię Pandora. Dziękuję za zaproszenie - odpowiedziałam z zakłopotaniem i uścisnęłam jej dłoń. Moje palce dotknęły gładkiego zamszu.

Pewnie pomieszałam coś w mojej historii. Może to była moja ciotka Celia? Siostra mojej matki? Nie używała chodzika ani niczego w tym rodzaju, chociaż gdy przyjrzałam się uważniej, zauważyłam, że w lewej dłoni trzymała laskę. Była wyrzeźbiona z mahoniu ze srebrną rączką, wypolerowana na błysk. Wyglądała raczej jak rekwizyt niż prawdziwa podpora.

-Witaj. Chodź, proszę - powiedziała Celia i gestem zaprosiła mnie do windy. - Ufam, że mój szofer odnalazł cię bez trudu. Chyba nie czekałaś tu zbyt długo?

-Ależ skąd. Zjechałaś tu tak szybko. - Celia poruszała się szybciej, niż się spodziewałam. - Dziękuję, że przysłałaś po mnie samochód. To bardzo szlachetne z twojej strony. - Szofer wydał mi się taki obcy, dziwny i cichy. Ale może to normalne. W końcu nie byłam przyzwyczajona do nowojorczyków, a słyszałam, że bywają nieco zamknięci w sobie.

- Szlachetne? - odpowiedziała Celia. - Bzdura. Przecież właśnie po to jest. Nie mogę przecież dopuścić do tego, żeby próżnował, prawda? Na takie dictum zabrakło mi słów. Uśmiechając się nerwowo, ruszyłam za nią do małej windy, ciągnąc za sobą walizkę mojej matki. Celia nacisnęła guzik i gotyckie wrota windy zamknęły się z grzechotem. Powoli jechałyśmy w górę, mijając pierwsze piętro, widoczne przez żelazną koronkę drzwi. Panowały tu cisza i kurz. Kolejne piętro wyglądało podobnie, z wyjątkiem imponującej pajęczyny powiewającej na drzwiach. Miałam wyraźne wrażenie, że niektóre z mieszkań w tym budynku były niezamieszkane.

Nagle, w mgnieniu oka, naszło mnie jedno z moich dziwnych przeczuć. Zrobiło mi się zimno i poczułam coś ciężkiego w brzuchu. *Ktoś tu umarł. Ktoś tu umarł złą śmiercią.* Chodzi o to, że albo mam wielką wyobraźnię, albo potrafię dostrzec więcej niż inni ludzie. Było tak zawsze, odkąd pamiętam. Moja „wielka wyobraźnia”, jak nazywał to mój ojciec, czyli sny, prorocze wizje, dziwne przeczucia - przysporzyły moim rodzicom wielu zmartwień, nie wspomi-

nając już o rachunkach od psychologa dziecięcego. Gdy w wieku ośmiu lat faktycznie przepowiedziałam śmierć miejscowego rzeźnika i do tego twierdziłam, że nawiedzał mnie po tym, jak zszedł z tego świata, ludzie przestali nas odwiedzać. Nie miało znaczenia, że byłam bystra i ładna; stałam się lokalnym dziwadłem. Te moje przeczucia -czy jakkolwiek to nazwiecie - były zawsze bardzo silne w chwili, gdy się pojawiały, lecz po zdarzeniu z rzeźnikiem nauczyłam się je tłumaczyć - z dość marnym skutkiem.

Najważniejsze jednak, że nauczyłam się o nich nie wspominać.

- Pochodzi z epoki wiktoriańskiej - powiedziała o budynku Celia, widząc, że nagle ucichłam.

Cioteczna babka czekała cierpliwie na moją odpowiedź. Zdołałam skinąć głową.

- Uhm - odparłam, koncentrując się na walce z narastającą paniką. *Śmierć*. Przeczucie było silne i charakterystyczne.

Zastanawiałam się, czy ciotka Georgia wspominała jej o moim dziwactwie.

-Został wybudowany w 1888 roku przez Edmunda Barretta, architekta i naukowca - ciągnęła Celia, spoglądając na mnie znacząco, jakbym powinna znać to nazwisko.

- Ciekawe - odpowiedziałam, dochodząc do siebie. Nazwisko Barrett nic mi nie mówiło. - Jest uroczy.

- Obawiam się, że nieco podupadł, odkąd zamieszkali tu lokatorzy - dodała Celia. - Nie radzę ci zaglądać na inne piętra.

Uczucie zimna wróciło.

-Ale mury są solidne, prawda? - Uśmiechnęłam się, dając do zrozumienia, że żartuję. Nie żartowałam.

- Och, kochanie, rzecz jasna. Nie musisz się o to martwić - Celia machnęła dłonią w rękawiczce.

-Jest... piękny - zaczęłam paplać, próbując ukryć zdenerwowanie. - Taki... gotycki - dodałam, obserwując mijany właśnie opustoszały korytarz na trzecim piętrze.

-Tak, neogotyck - poinformowała Celia niezrażona. -Ten styl był wtedy popularny, choć nie spotyka się wielu takich jak ten budynków. Jest wyjątkowy.

Zgodziłam się.

- Mam nadzieję, że drzwi nie sprawiły ci kłopotu? -podjęła. - Nie lubią gości.

Zdrętwiałam, szukając właściwych słów.

- Tak, są dość ciężkie - przyznałam. - Jak sobie z nimi radzisz?

- Och, mam na nie sposób.

Mała winda zatrzymała się na najwyższym piętrze. Byłyśmy na miejscu. Wyszłyśmy z windy i stanęłyśmy przed podwójnymi drzwiami, podobnymi do tych, jakie widziałam na każdym piętrze, tyle że te były pomalowane na granatowo i błyszcząły. Żadnego kurzu. Po jednej stronie stał rzeźbiony stolik, a na nim srebrna taca. Ciotka Celia podeszła do drzwi i zatrzymała się.

- Czy zechcesz wejść i zobaczyć swój nowy dom? -zapytała.

- Z przyjemnością - odparłam, a ona uśmiechnęła się miło zza woalki.

Celia otworzyła drzwi swoim kluczem, a ja podążyłam za nią. Z wrażenia aż otworzyłam usta.

Przestronny apartament mojej ciotecznej babki Celi był oszałamiająco piękny, niepodobny do niczego, co do tej pory widziałam. Sklepienia były wysokie, kopu-

lasto uformowane, a podłogi były z polerowanego drewna. Duży salon wypełniały półki pękające w szwach od pięknie oprawionych książek. W przeszklonych kredensach leżały dziwne przedmioty, dzieła sztuki i egzotyczne rośliny, których nigdy dotąd nie widziałam. Zdawało mi się, że zauważyłam muchołówkę, roślinę, którą znałam tylko z książek. Meble były antyczne. Właściwie całe wnętrze wyglądało na zabytkowe, lecz świetnie zachowane i przyciągające wzrok - fazowane lustro z epoki edwardiańskiej, lampy witrażowe, ciemne portrety ponurych arystokratów, przepiękne stoliki i krzesła z wyrzeźbionymi w poręczach postaciami. Każde zdobienie, przedmiot, mebel, wszystko wykonano z ogromną dbałością. Wiktoriańskie. Edwardiańskie. Szczypta art deco tu i ówdzie. Detal w detalu. Rzeźba w rzeźbie. Celia miała cudowne wyczucie smaku, więc style różnych epok harmonicznie współgrały ze sobą, choć efekt końcowy przypominał mi trochę piękną bibliotekę czy nawet muzeum. Niewątpliwie brakowało tu atmosfery domowego ogniska, przytulności, jednak elegancja i oryginalność rekompensowały te niedostatki. W porównaniu z tym, co tu ujrzałam, skromny dom ciotki Georgii, z nowoczesnym i funkcjonalnym umeblowaniem, był uderzająco monotony. (Cóż, zapewniam, że i wcześniej był taki). Nie widać było pajęczyn. Żadnej ruiny. Kandelabr błyszczał i migotał.

-Tutaj są moje osobiste pokoje - powiedziała Celia, gdy doszliśmy do zamkniętych drzwi na końcu korytarza. - Wolałabym, żebyś do nich nie wchodziła.

- Oczywiście - zapewniłam i skinęłam głową.

Przeszliśmy z powrotem na drugi koniec holu, mijając kuchnię, jadalnię i przestronny pokój dzienny.

Dalej - u kresu naszej małej wycieczki - znajdowały się otwarte drzwi. Światła w pokoju były zapalone i pachniało w nim zachęcająco świeżo ściętymi kwiatami.

-To będzie twój pokój, Pandoro - wskazała Celia. -Nie masz nic przeciwko temu?

Przeciwko? Pokój gościnny Celi imponował stylem, jaki nieczęsto spotykało się w nowoczesnych sypialniach. W wysokim pomieszczeniu znajdowało się ogromne łóżko z baldachimem, nakryte poduszkami wykończonymi koronką. W kącie stała wysoka, zabytkowa szafa, a obok niej piękna dębowa toaletka, na której znajdowało się lustro oraz kryształowy wazon z ciemnoczerwonymi różami. Kolejne drzwi prowadziły do łazienki wyłożonej białymi i czarnymi płytkami. Dwa wąskie półokrągłe zakończone okna wychodziły na ulicę przed budynkiem. Pod jednym z nich stał mały sekretarzyk, a na podłodze obok niego - stary gramofon. Zastanawiałam się, czy działa. Na blacie sekretarzyka stał półmisek z owocami i kanapką.

-Pomyślałam, że możesz mieć ochotę coś przekąsić przed snem - wyjaśniła.

- Dziękuję ci bardzo. - Rzeczywiście umierałam z głodu. Obok półmiska stało małe zdjęcie w srebrnej ramce.

Nawet z daleka rozpoznałam je od razu i pomyślałam, że nie widziałam go od czasów, gdy byłam bardzo mała. Było to zdjęcie ślubne moich rodziców. Obejmowali się, uśmiechając szeroko. Mój ojciec ubrany był w białą koszulę i krawat, a mama miała welon, który otaczał jej głowę niczym śnieżna aureola. Byli tacy młodzi, tacy szczęśliwi. Poczułam ukłucie w sercu.

-Witaj, Pandoro.

Ponownie zebrałam się w sobie.

- Bardzo serdecznie dziękuję. Wszystko jest cudowne

- odparłam i naprawdę tak myślałam. Postawiłam teczkę i walizkę mojej matki w drzwiach. Jeśli to miał być mój nowy pokój, to był o niebo wspanialszy, niż mogłam sobie wymarzyć i niż się spodziewałam. Był trzy razy większy od skromnego pokoiku u ciotki Georgii, w którym mieszkałam przez ostatnie osiem lat.

- Śmiało korzystaj z kuchni i reszty mieszkania. Chcę, żebyś czuła się tu jak u siebie - powiedziała Celia. - Jednak obowiązują tu pewne zasady.

Twarz pod woalką spoważniała, a ja przystanęłam skupiona, dając znak, że będę ich przestrzegać niczym dobrze wyszkolony żołnierz.

- Proszę, żebyś pukała, zanim wejdiesz do mieszkania. I nie wchodziła do moich pokoi, jak już mówiłam. Nie lubię, gdy ktoś mi przeszkadza.

Patrzyła badawczo, jakby sprawdzała, czy słucham jej z uwagą, co oczywiście robiłam.

-I nie polecam ci zwiedzania innych pięter tego budynku - zakończyła.

Było coś złowrogiego w jej głosie, gdy mówiła o trzeciej zasadzie. Jestem z reguły posłuszna, z pewnością nigdy nie myślałam o sobie jako o buntownicze, lecz Celia już drugi raz wspomniała, że nie powinnam myszkować po pozostałych piętrach, przez co, przyznaję, poczułam nieodpartą chęć, by postąpić dokładnie odwrotnie. Odsunęłam od siebie tę pokusę. To była zwyczajna prośba i wiedziałam, że powinnam ją uszanować.

- Dobrze, ciociu Celio - przytaknęłam gorliwie. Celia uśmiechnęła się uspokajająco.

- Kochanie, na pewno słyszałaś, że Nowy Jork to niebezpieczne miejsce. Bzdura. Tu, na Manhattanie, mieszkają wspaniali ludzie. Jeśli jednak nie chcesz kłopotów,

nie spaceruj samotnie nocami. Świat się zmienia po zachodzie słońca. - Poklepała mnie delikatnie po ramieniu i zdawało mi się, że nawet mrugnęła. - Oczywiście jesteś dużą dziewczynką i potrafisz o sobie zadbać.

Wpatrywała się w moją twarz, jakby w poszukiwaniu jakiegoś znaku, zrozumienia czegoś, choć nie wiedziałam, co dokładnie spodziewała się ujrzeć.

-Jeślibyś potrzebowała czegoś, to na rogu jest sklep. - Celia wskazała kierunek. - Jest otwarty całą dobę. Właścicielem jest Harold. Zdobędzie dla ciebie, co tylko będziesz chciała. Niech to dopisze do mojego rachunku.

- Och, mam nadzieję, że wkrótce znajdę pracę, a wtedy będę mogła sama regulować swoje należności - obiecałam. Nie chciałam od nikogo jałmużny. - I zwrócę ci też pieniądze za samochód, zakupy i inne rzeczy.

Moja cioteczna babka uśmiechnęła się zza woalki.

- Naturalnie, znajdziesz niedługo pracę, moja droga, ale nie musisz mi za nic płacić. Jesteśmy rodziną. Korzystaj z mojego rachunku. Rozgość się, Pandoro. Myślę, że polubisz Nowy Jork.

-Jeszcze raz dziękuję. Czy mogę skorzystać z telefonu, żeby zawiadomić ciocię Georgię, że doleciałam bezpiecznie?

Celia wdzięcznie pochyliła się w drzwiach, odwracając głowę.

- Kochanie, Georgia ci nie powiedziała? Tutaj nie ma telefonu. Brzydzę się takimi urządzeniami, poza tym one nigdy nie działają właściwie w tym starym budynku.

-Och - odparłam zaskoczona. Wiedziałam, że woli listy, ale żadnego telefonu? Podejrzewam, że internetu też nie miała...

-I żadnego internetu - potwierdziła Celia, a ja się

wzdrygnęłam. - Kochanie, jestem pewna, że twoja ciotka z przyjemnością przeczyta list napisany przez ciebie własnoręcznie - zasugerowała. - Możesz napisać go jeszcze dziś. Albo jutro rano.

-Tak zrobię - przytaknęłam, zastanawiając się, jak ekscentrycznym trzeba być, by żyć bez zwykłych współczesnych udogodnień. Chyba starsi ludzie często piszą maile.

Nieważne. Zdobycie komórki będzie moim priorytetem, gdy tylko dostanę pracę.

- Och! - wykrzyknęłam nagle, czując jak coś nieoczekiwanie otarło się o moją kostkę. Odskokczyłam do tyłu i spojrzałam w dół. - O, masz kota - odetchnęłam z ulgą. Uklęknęłam, uśmiechając się. Uwielbiam koty. I psy. I wszystkie zwierzęta. Ciotka Georgia nie pozwalała mi mieć zwierzaka. Wyciągnęłam dłoń, a kot delikatnie obwąchiwał moje palce. To była kotka, piękna i o niezwykłym umaszczeniu - śnieżnobiała i krótkowłosa, bez najmniejszej kropli koloru na miękkim futrze. Nawet rzęsy miała w kolorze kości słoniowej. Spojrzała na mnie i zobaczyłam, że jej oczy były jak różowe opale.

- Tak - odparła Celia. - Nazywa się Freja.

„Freja”, znałam to imię z książek mojej matki. Dorastając, przeczytałam każdą książkę w domu kilka razy, i chociaż pociągały mnie raczej powieści z gatunku romansu paranormalnego, książki mojej matki o starożytnej kulturze, mitologii i folklorze ceniłam równie wysoko. Freja to imię nordyckiej bogini, jeśli dobrze pamiętałam. Często przedstawiano ją w szacie z powiewających piór, powożącą rydwanem zaprzężonym w koty.

- Uważam, że to piękne imię - powiedziałam.

Freja, mrucząc, okrążyła moje nogi, po czym dumnym krokiem podszła do swojej pani.

- Myślę, że sprawdzała twój pokój. Dawno nikt nas nie odwiedzał. Mam nadzieję, że spodoba ci się ten pokój, Pandoro.

Ponownie delikatnie poklepała mnie po ramieniu i wyszła, zostawiając mnie samą. Freja podążyła za nią z podniesionym ogonem. Uśmiechnęłam się do siebie, patrząc na nie. Marzyłam o tym, by się położyć, lecz najpierw zjadłam przygotowaną dla mnie kanapkę i wzięłam długą kąpiel w wytwornej wannie na lwich łapach.

Znalazłam płyn do kąpieli i napełniłam wannę gorącą wodą. W domu ciotki Georgii był tylko prysznic, bez wanny. Szybko zdałam sobie sprawę, jak bardzo brakowało mi możliwości wykąpania się. Rozkoszowałam się każdą chwilą, wydepilowałam nogi, umyłam długie brązowe włosy szamponem pachnącym różami i zjadłam najpyszniejsze truskawki, jakie kiedykolwiek skosztowałam. Mokra wpatrywałam się w sufit łazienki z uśmiechem. Gdy już nasyciłam się kąpielą do błogości, aż do pomarszczenia skóry na dłoniach, owinęłam się ręcznikiem i wysuszyłam włosy. Zasnęłam, ledwie przyłożyłam głowę do poduszki. Wyciągnęłam jeszcze rękę, by wyłączyć nocną lampkę i spod opadających powiek zauważyłam stos czasopism leżących na stoliku obok łóżka. Jak to miło ze strony Celi, że je dla mnie przygotowała. Takie luksusowe czasopisma nigdy nie docierały do Gretchenville. Wśród nich zauważyłam wydania „Vogue” z lat pięćdziesiątych. Nie mogłam się doczekać, by je przeczytać. Ale nie teraz. Mglisty obraz gzymsów na suficie przybliżał się i odpływał z mojej świadomości. Biała koszula nocna przyjemnie otulała moje pachnące

ciało. Nowa sypialnia była piękna, nie było w niej kurzu ani zapachu stęchlizny. Ulżyło mi, że Celia nie okazała się niedołęzną staruszką, jak opisała mi ją ciotka Georgia. Wszystko ułożyło się lepiej, niż przypuszczałam, gdy pierwszy raz zobaczyłam ten budynek. *Nowy Jork. Nareszcie tu jestem.*

Jutro rano mam pierwszą rozmowę o pracę w redakcji czasopisma „Mia”. *Wprawię ich w zachwyt* - pomyślałam optymistycznie, zapadając w sen. *Dostanę tu pracę błyskawicznie.*

Zgasiłam lampkę i zamknęłam oczy. Uznałam, że poszło mi całkiem nieźle jak na osobę, która nigdy wcześniej nie podróżowała samotnie do wielkiego miasta.

I tak było.

Dopóki nie obudziłam się i nie zobaczyłam mężczyzny w moim pokoju.

Rozdział 2

Nagle zadałam sobie sprawę z czyjejs obecności. Spałam dość głęboko, więc otwarcie oczu było prawdziwym wyzwaniem. W przeblysku świadomości zdawało mi się, że widzę jasną postać odcinającą się od ściany, w poświacie przytłumionego światła padającego zza zasłon. *Dziwne*. Zastanawiałam się, czy to sen, czy jakiś mebel w pokoju gościnnym Celi przypominał sylwetkę człowieka, czego nie zauważyłam, idąc spać. Wieszak na płaszcze? Może jakiś gotycki obraz?

W tym momencie postać poruszyła głową.

-Hej! - krzyknęłam i wyskoczyłam z łóżka, stając za nim tak, by stanowiło barierę między mną a intruzem.

Nagle przypomniałam sobie, że mam na sobie koszulę nocną, więc zawstydzona odruchowo skrzyżowałam ręce, zanim uznałam, że lepiej się bronić, niż osłaniać wdzięki, i przyjęłam postawę w stylu ninja. Uniosłam pięści, napięłam mięśnie, byłam gotowa do walki. Na chwilę tylko odwróciłam wzrok od nieznajomego... żeby głośno krzyknąć:

- Celia!

Mężczyzna zakrył mi usta dłonią.

Poczułam, jakby dotknęła mnie chmura. W rezultacie mój krzyk został stłumiony. Jakimś sposobem zdołał błyskawicznie przejść przez łóżko.

-Ciii... - usłyszałam niski uspokajający głos. -Nie chciałem panienki przestraszyć, przepraszam. -Uśmiechnął się w półmroku, a nawet zaśmiał cicho, jakby czymś zachwycony. Mówił z lekkim akcentem, trudno było mi się jednak zorientować, skąd pochodził.

Zamarłam zdezorientowana.

- Przepraszam - powtórzył, odsuwając dłoń od mojej twarzy. - Ja tylko... cieszę się, że mnie panienka widzi.

- Przecież nie jestem ślepa. Oczywiście, że cię widzę. Jesteś w moim pokoju! - oznajmiłam zbita z tropu. -Celia! - krzyknęłam jeszcze raz.

- Jeszcze nie wróciła - poinformował mnie mężczyzna. Cóż, nie brzmiało to pocieszająco.

- Nie powinna panienka budzić reszty domu - poradził mi.

- Nie powinnam? - odparłam wyzywająco. Potrząsnął głową.

-Nie. Nie ma tu teraz zbyt wielu mieszkańców, prawda?

Cudownie! Wiedział, że pozostałe mieszkania stały puste. To też nie dodało mi otuchy.

- Próbujesz mnie wystraszyć? - zapytałam zuchwale. - I tak się nie boję.

Kiedy tylko wypowiedziałam te słowa, zdałam sobie sprawę, że to prawda. Nie byłam jakoś szczególnie wystraszona. Mężczyzna stojący przede mną zdawał się taki spokojny, a w jego wzroku nie było pożądania ani obłędu, ani niczego innego, czego mogłabym się spodziewać po mężczyźnie, który w środku nocy włamuje się do sypialni kobiety w Nowym Jorku. Gdy byłam młodsza, wkradałam się na horrory do kina w Gretchenville, a ten osobnik nie pasował do stereotypu czarnego cha-

rakteru z horrorów. Teraz, gdy mój wzrok przyzwyczał się już do ciemności, zauważyłam inny szczegół: jego ubiór. Żadnej kominiarki. Żadnej przerażającej maski hokejowej. Miał na sobie mundur, przypominał żołnierza z dawnych wojen. I był przystojny. (Tak, zdaję sobie sprawę, że przystojniacy też mogą być seryjnymi mordercami i że to dość dziwne, że dziewczyna zwraca uwagę na cechy fizyczne mężczyzny, który najwyraźniej włamał się do jej pokoju, ale co mogę na to poradzić). Ten człowiek nie miał jeszcze trzydziestu lat, a mocny zarys jego szczęki przywodził na myśl kowadło. Był szczupły i lekko opalony, a jego oczy miały najjaśniejszy odcień błękitu, jaki zdarzyło mi się widzieć. Niemal się jarzyły. Choć był gładko ogolony, miał retro bokobrody. Włosy w kolorze piasku wystawały spod czapki.

- Jak się tu dostałeś? - zapytałam, rozluźniając nieco mięśnie. Żadne okno nie było otwarte ani wybite. Drzwi były zamknięte.

- Ja, hm, jestem tu od dłuższego czasu - odpowiedział wymijająco młody mężczyzna, zaciskając szczęki i rozglądając się dookoła.

Był w tym pokoju od jakiegoś czasu...?

- Nie, proszę zaczekać. Źle to zabrzmiało - przeprosił.

- To długa historia.

- Znasz moją cioteczną babkę? - odważyłam się zapytać.

Skinął głową.

- Celię? Oczywiście.

A więc przynajmniej znał jej imię. Choć, zapewne nie było trudno to zgadnąć, zważywszy, że ją wołałam.

- Udowodnij to - zażądałam. - Udowodnij, że ją znasz.

- Skrzyżowałam ramiona na piersi i przybrałam surowy

wyraz twarzy, dając do zrozumienia, że nie dam się zwodzić. - Dlaczego nosisz mundur? - dodałam. Chyba trochę denerwowało mnie przeciągające się milczenie. Raczej nie zdarzało mi się przebywać z mężczyznami w jednym pokoju, a już z całą pewnością nie w nocy i nie wtedy, gdy byłam jedynie ubrana w prześwitującą koszulę nocną. (Mówiłam wam, że musiałam wyjechać z Gretchenville).

-Widzi panienka mój mundur? - zapytał przystojny gość, znów najwyraźniej czymś zaskoczony. - Dobrze panienka widzi? - Spojrzał w dół na siebie.

-Przecież mam go przed sobą. - *Oczywiście*. Może i przystojniak, ale jakoś niezbyt bystry, prawda? - Jesteś żołnierzem - zauważyłam. - A może to kostium?

Na głowie miał ciemną czapkę z daszkiem, a granatowy mundur był nieskazitelnie skrojony, dopasowany w talii, od góry do dołu zapinany na błyszczące guziki. Przypominał mundur marynarza, ale tylko przypominał. Wydawał się znajomy, budził pewne niejasne skojarzenia. Wiedziałam, że w końcu się domyślę, o co w tym wszystkim chodzi. Czapkę nosił lekko na bakier, co nadawało mu wygląd gwiazdy filmowej, jakby grał w jednym z tych starych filmów wojennych z Humphreym Bogartem.

Mężczyzna uśmiechnął się do mnie, wyraźnie czymś rozbawiony.

-Cóż, tak jestem... to znaczy, *bytem*...

Potem rozejrzał się po pokoju, jakby chciał... sama nie wiem, czego mógł chcieć. Podszedł do mnie i spojrzał szczerze swymi świetlistymi błękitnymi oczami.

-Hm... przepraszam, że napędziłem panience stracha. Powinna panienka zapomnieć, że w ogóle mnie widziała. Może, hm, może zniknę.

I tak właśnie uczynił.

Nie wierzyłam własnym oczom. Mogłabym przysiąc, że nieznajomy po prostu zniknął. -Ale... - zaczęłam i zamilkłam.

Spojrzałam na zegarek przy łóżku. Nie był cyfrowy, lecz i tak był jednym z niewielu nowoczesnych przedmiotów w pokoju. Wskazówka godzinowa pokazywała drugą. *Świetnie*. Było krótko po drugiej, zaczął się dzień, w którym miałam odbyć moją pierwszą rozmowę w sprawie pracy w Nowym Jorku, a ja stałam jak idiotka w pokoju gościnnym w koszuli nocnej i mówiłam do siebie. Podświadomie oczekiwałam, że Celia wejdzie, by sprawdzić, co się dzieje. Tak naprawdę to podświadomie oczekiwałam, że wejdzie moja matka, przytuli mnie i uspokoi, a potem położy z powrotem do łóżka, jak wtedy, gdy byłam dzieckiem. Zawsze miałam realistyczne sny - koszmary, lunatykowanie, mówienie przez sen - od chwili, gdy nauczyłam się mówić. Jednak teraz byłam daleko od domu, w którym spędziłam dzieciństwo, moja matka zmarła dawno temu i, jeśli miałam dziwne sny o przystojnych żołnierzach zjawiających się przy moim łóżku, to musiałam się sama z nimi uporać.

Położyłam się z powrotem do łóżka. Wpatrywałam się w sufit przez dłuższą chwilę, aż w końcu zmorzył mnie sen.

Rozdział 3

Zdezorientowana obudziłam się na chwilę przed tym, zanim zabrzączał budzik. Z jakiegoś powodu śniłam o przystojnych żołnierzach.

Jeszcze zaspana błędziłam wzrokiem po staromodnym suficie. Był to pierwszy obcy pokój, w jakim spałam od ośmiu lat i, gdy moje oczy napotykały kolejny detal, miałam wrażenie, że nadal śnię. Szafa. Gramofon. Wąskie gotyckie okna.

Nowy Jork!

Myśl ta sprawiła, że wyskoczyłam z łóżka jak z procy, zahaczając o koronkowe poduszki.

Mój pierwszy poranek w Nowym Jorku!

Rozsunęłam zasłony, otworzyłam okna i pokój wypełnił radosny zgiełk miasta. No, może nie całkiem tak radosny, jak bym tego oczekiwała. Addams Avenue za oknem była cicha, jej mieszkańcy najwyraźniej spali, lecz w oddali, za delikatną mgłą, widziałam imponujący Manhattan, przez który przejeżdżałam wczorajszego wieczoru. Tam zmierzałam. Tam znajdę swoje przeznaczenie.

Niepokoiliłam się, czy wywrę właściwe wrażenie podczas rozmowy w sprawie pracy. Niepokoiliłam się tak bardzo, że proste zadanie polegające na wyborze stroju zamieniło się w kłopotliwy pokaz niezdecydowania, a przecież miałam tylko jedną nędzną walizkę ubrań.

Rzeczy, które nosiłam na co dzień w Gretchenville wydawały się zbyt zwyczajne jak na wielki Nowy Jork, zaś moja jedyna opcja „biurowa” była nieciekawa. Miesiąc wcześniej, przygotowując się do nowego życia, kupiłam swój pierwszy w życiu garnitur w jedynym przyzwoitym butik w Gretchenville, lecz lustro tu, na Manhattanie, mówiło mi, że się nie sprawdzi. Pysznic, ubranie się i makijaż nigdy nie zabierały mi więcej niż pół godziny, ale tego ranka przymierzałam każdy strój, odrzucałam i zakładałam jeszcze raz, aż wykorzystałam wszystkie opcje połączeń. To było poniżające. O godzinie siódmej czterdzieści pięć byłam w końcu gotowa, choć trochę zażenowana, że tak długo to trwało. Stałam przed lustrem, by ocenić efekt końcowy, i westchnęłam. Szare spodnie. Dopasowany kolorystycznie szary żakiet (tak, ten sam, w którym przyleciałam). Czarny dzianinowy top z dekoltem karo. Proste balerinki. Trochę wysiłku kosztowało mnie ujarzmienie loków, które teraz układały się falą na moich plecach. Lekko umalowałam oczy i nałożyłam błyszczak na usta.

Nieciekawie. Wyglądasz nieciekawie.

W niczym nie przypominałam osoby pracującej w ekskluzywnym czasopiśmie, takim jak „Mia”, ale przynajmniej nie wyglądałam jak uczennica liceum z Gretchenville. Na szczęście po matce odziedziczyłam dobrą figurę (szczupłe nogi, wąska talia i „przyjemny” biust, jak zapewniał mnie mój jedyny dotąd chłopak). Szary garnitur, nawet jeśli nie do końca stylowy, przynajmniej dobrze na mnie leżał. Będzie musiał wystarczyć.

Już dość.

Wchodząc do kuchni, czułam, że ssie mnie z głodu. Na blacie leżał liścik od ciotecznej babki, a na nim klucz:

*Najdroższa Pandoro,
częstuj się tym, na co masz ochotę. Mam nadzieję, że
spotkamy się wieczorem. Pozdrawiam,*

Twoja cioteczna babka Celia

Oficjalny ton tego listu sprawił, że się uśmiechnęłam.

Pomimo głodu uznałam, że jestem zbyt podniecona, by jeść. Wzięłam klucz, razem z moim CV oraz kilkoma nieopublikowanymi artykułami spakowałam do teczki mapę, chwyciłam parasol i wyruszyłam.

Zdecydowałam, że pójde piechotą.

O dziwo - zważywszy, że na mojej mapie nie zaznaczono dzielnicy Spektor - bez problemu odnalazłam drogę do pobliskiego Central Parku i dalej do Trzeciej Alei. Jakby moje nogi ją znały. Nie śpieszyłam się, zajęta własnym myślami przeszłam całą trasę do śródmieścia pod wskazany adres. Zajęło mi to ponad godzinę, choć z pewnością pokonałabym tę odległość szybciej, gdybym idąc, nie przyglądała się budynkom i reklamom. Przed godziną dziesiątą stałam już pod budynkiem redakcji, rozgrzewając się kawą na wynos. Redakcja magazynu „Mia” mieściła się przy Times Square, wśród wieżowców ze szkła i betonu. O ile Spektor na wskroś wydawał się stary, neogotycki i tajemniczy, o tyle wieże, które mnie teraz otaczały, były na wskroś nowoczesne, jasno oświetlone i onieśmielająco błyszczące. Wyrzuciłam pusty plastikowy kubek po kawie i przesunęłam dłonią po włosach. Czułam, że potargały się podczas spaceru, więc wyciągnęłam z teczki szczotkę i szybko je przeczesalam, przyciągając kilka zdziwionych spojrzeń.

Zatrzymałam się.

Przez szklane drzwi wyszły dwie kobiety z identyfikatorami z napisem „Vogue”. Zdawały się lśnić w chłodnym zimowym dniu. Błyszczące włosy, smukłe długie nogi i modne ubrania. Każdy skrawek ich ciał był zadbany i drogi. Spojrzałam na siebie, na moją marną teczkę i parasol, oraz zwyczajny szary garnitur kupiony w Gretchenville. Nie spodobało mi się to, co zobaczyłam.

Weź się w garść, Pandoro.

To była moja jedyna zaplanowana rozmowa w sprawie pracy w Nowym Jorku. Musiałam myśleć pozytywnie. Nigdy nigdzie nie pasowałam i miałam nadzieję, nie, modliłam się, żebym w końcu tutaj odnalazła swoje miejsce - w tym budynku, wśród tych ludzi. Staralam się wyobrazić sobie, jak przychodzę tu codziennie do pracy, przechodzę przez nieskazitelne szklane drzwi do wielkiego holu ze ścianami ozdobionymi podświetlonymi powiększonymi okładkami czasopism, których redakcje znajdują się w budynku. Każdy kolejny tytuł był bardziej wytworny - „Style”, „W”, „Allure”, „Vanity Fair”, „Vogue”.

Była też „Mia”, nieco mniej wyeksponowana, obok czasopism dla nastolatek i tytułów dla mężczyzn. Właśnie wyszedł czwarty numer tego pisma i bardzo podobała mi się okładka. Przedstawiała młodą kobietę ubraną w koszulę w prążki i niebieskie dzinsy. Króciutkie włosy tworzyły artystyczny nieład na głowie. Na ramieniu miała niedbale zawieszoną skórzaną torbę, wyglądała na pewną siebie, była nieco androgyniczna, kciuki wsunęła za pasek dzinsów. Makijaż oka tworzyła kreska mocno obrysowująca jego kontur, twarz była cudownie niekonwencjonalna. Podobnie jak dziewczyny na okładkach poprzednich numerów (specjalnie sprowadzałam każdy z nich i pochłaniałam już w drodze do domu),

także tę otaczała atmosfera buntu, która tak mnie pociągała. Bardziej niż sławną postacią czy też modelką z okładki jakiegoś innego czasopisma, pragnęłam być tą dziewczyną. Wyobrażałam sobie, że jej torba jest wypełniona ciekawymi notatkami, dziennikami, książkami, może nawet ma w niej aparat, którym uwiecznia chwile swego fascynującego życia. Była anonimowa, inteligentna i taka wyluzowana.

„Mia” miała jasno wytyczone cele jako magazyn, wśród nich były „prawdziwe” wywiady z gwiazdami (nie wymyślone historie, jak w innych publikacjach), rezygnacja ze zbyt intensywnego retuszu zdjęć oraz bezsensownych artykułów w stylu: „Jak zdobyć faceta”. Dlatego właśnie chciałam zacząć moją karierę dziennikarską u nich.

Od czasów, gdy jako dziecko zaczęłam chodzić z mamą po zakupy do supermarketu, fascynowały mnie błyszczące czasopisma wyłożone na półce przy kasie. W naszym mieście nie sprzedawano luksusowych magazynów, takich jak „Vogue” (nikt by go nie kupił), lecz tańsze pisma zachwycaly mnie tak samo. Oczywiście, mój ojciec tego nie pochwalał, ale mama pozwalała mi czasem przemycić jakiś numer do koszyka. Będąc w liceum, pracowałam dorywczo w księgarni Bettiny i Bena, którzy sprzedawali nowe i używane książki. Mogłam tam zaspokajać mój wilczy apetyt na książki i jednocześnie znaleźć stosy starych magazynów z modą -wciąż ciekawych, nawet jeśli przestarzałych. Wiele rzeczy mnie zainspirowało, lecz przełożenie mody *couture* na rzeczywistość było niemożliwe. Takich ubrań po prostu w Gretchenville nie było. A potem, niestety, choć księgarnia Bettiny i Bena była jedyna w mieście, została zamknięta. Myślę, że nie przynosiła wystarczają-

cych dochodów, a wraz z pojawieniem się księgarni internetowych przestała być konkurencyjna. Do tego czasu skończyłam liceum i nie miałam ochoty pracować jako kelnerka czy pomoc w kuchni, więc zrezygnowałam z telefonu komórkowego i starannie planowałam swoje wydatki, ubiegając się jednocześnie o posadę w lokalnej gazecie. (Zawsze musiałam rozważnie planować. Moi rodzice byli gospodarzami, ciotka Georgia zaś nadała słowu „oszczędność” nowe znaczenie, tak więc nie było to trudne).

To niesamowite, ale list od Celi przyszedł wkrótce po tym, jak zostałam bez pracy, i tak oto znalazłam się tutaj - w drodze do redakcji „Mii”. Zdumiewający zbieg okoliczności.

Gdy wchodziłam przez rozsuwane drzwi, czułam się coraz mniejsza. Podeszwy moich butów nie wydawały żadnych dźwięków, gdy stąpałam po marmurowej posadzce. Mężczyzna przy biurku w recepcji nie zauważył mnie ani w żaden sposób nie zareagował, gdy podeszłam.

-Dzień dobry. Nazywam się Pandora English, chcę się spotkać z kimś z redakcji pisma „Mia” - powiedziałam.

Mężczyzna odwrócił się w moją stronę, rzucając okiem na mój strój.

- Biura prawników są na drugim piętrze - wymamrotał. - Pierwsza linia wind - dodał i wyciągnął identyfikator dla gości. Nie spojrzał mi w oczy.

Schowałam głowę w ramiona. *To ten garnitur. Nie powinnam była kupować tego głupiego garnituru.*

-Przepraszam, przyszłam do redakcji pisma „Mia”
-powtórzyłam z naciskiem.

Spojrzał na mnie i, widząc moją twarz, lekko się ożywił. Mamrocząc przeprosiny, podał mi inny identyfikator.

- Osiemnaste piętro. Pierwsza linia wind. Wychodząc, proszę oddać identyfikator - poinformował mnie.

- Dziękuję - odpowiedziałam.

Znalazłam właściwe windy i wsiadłam do pierwszej, której drzwi się otworzyły. Nie była pusta. Barczysty młody mężczyzna usiłował rozmawiać przez telefon, najwyraźniej bez powodzenia. Powiedział kilka słów, zamarł z telefonem przy uchu, wyglądając na sfrustrowanego, a potem bezradnie wyciągnął rękę z telefonem. Podniósł wzrok i, zobaczywszy, że na niego patrzę, posłał mi złośliwy uśmiezek.

Moje serce ruszyło do galopu. Twarz nowojorczyka była zniewalająca, podobnie jak... cóż, reszta z tego, co mogłam zauważyć. Wydawał się niesłychanie wysoki; około dwóch metrów, atletycznie zbudowany. Miał ciemnobrązowe włosy, krótko przycięte. Przyjemnie się na niego patrzyło, więc moje spojrzenie wciąż do niego wracało. Zanim drzwi się zamknęły, do windy wsiadła drobna elegancka kobieta około trzydziestki, ubrana od stóp do głów w dwa kolory: czerń i kremowy, pachnąca Chanel No. 5. Wyglądała i pachniała luksusowo. *Pan Przyjemnie Wyglądający* spojrzał na nią z aprobatą, ja zaś, przybita tym, postanowiłam wpatrywać się jedynie w swoje buty.

Winda zatrzymała się na drugim piętrze. Nikt nie wsiadł.

-To twoje piętro - usłyszałam męski głos na chwilę przed tym, zanim drzwi się zamknęły.

- Słucham? - odwróciłam się.

Pan Przyjemnie Wyglądający przemówił. Widząc moją reakcję, jego uśmiech trochę zbladł.

-Biura prawników? - powiedział, lekko znudzonym głosem.

-Redakcja magazynu „Mia” - poprawiłam go. Mogłabym przysiąc, że kobieta pachnąca Chanel zachichotała.

Głupi, głupi garnitur. Czyja wyglądam na urzędniczkę?
Postanowiłam wydać swoją pierwszą pensję na zakup ciuchów odpowiednich dla mojej nowej kariery.

Winda ruszyła w górę. Kobieta pachnąca Chanel wysiadła na piętrze, na którym znajdowała się redakcja „Vogue”. Gdy tylko wyszła, zdjęłam mój szary żakiet z odrazą, jakby był pokryty świeżo wylanym kompostem. Gdy spróbowałam zarzucić go sobie nonszalancko przez ramię, smagnęłam nim po twarzy mojego towarzysza w windzie. Jęknął i zasłonił oko.

- Och, bardzo przepraszam! Nic ci się nie stało? -Nic mi nie jest - odparł bez przekonania i odwrócił wzrok.

Był naprawdę wysoki (zastanawiałam się, czy wszyscy mężczyźni w Nowym Jorku byli tacy) i miał orzechowe oczy. Zauważyłam, że jedno z nich było teraz trochę zaczerwienione (auć!). Był atletycznie zbudowany, gibki, widać, że chętniej przebywa na dworze niż w pomieszczeniach. Jego kurtka przyjemnie pachniała nową skórą i dobrymi perfumami, a wyobraźnia podsunęła mi obraz jego umięśnionego torsu i ręki gładzącej klatkę piersiową - mojej ręki. Poczułam, jakby to się działo naprawdę, jego ciepłe usta, pocałunek, jego ciało pode mną...

O rany.

Westchnęłam głośno.

- Nic ci nie jest? - zapytał, marszcząc brwi.

Teraz wyglądał na niewzruszonego. Pewnie pomyślał,

że jestem wariatką. Zdołałam tylko skinąć głową. Poczułam, że się czerwienię. Nawet go nie znałam. Skąd mi się to wzięło?

-To moje piętro - powiedział i wysiadł pośpiesznie, jakby uciekał. - Mam nadzieję, że dostaniesz tę posadę - wymamrotał na odchodnym.

Skrzywiłam się, tym razem na sugestię, że jestem tu po to, by ubiegać się o pracę. Tłumaczyłam sobie, że to przez ten identyfikator, ale wiedziałam, że mój wygląd nie pasował do świata wspaniałych czasopism. Zafascynowana patrzyłam, jak mężczyzna wchodzi do biura redakcji. Wkrótce zobaczyłam jego sylwetkę na tle okładki magazynu „Tylko dla mężczyzn” - to wszystko, co dostrzegłam, zanim drzwi windy się zamknęły.

Doszłam do wniosku, że mężczyzna pracujący dla takiego pisma niewiele wie o kobietach. Nie obchodziło mnie, czy się ośmieszyłam ani co on sobie o mnie pomyślał. I byłam przekonana, że dziwne uczucie, jakie mnie ogarnęło, nie miało znaczenia. Żadnego znaczenia.

To nie zawsze są przeczucia - powiedziałam sobie. Tylko w większości.

Na osiemnastym piętrze moje wejście do redakcji „Mii” nie poszło do końca tak, jak planowałam.

Sekretarka poinformowała mnie, że nie jestem umówiona, nie wie, kim jestem, nie obchodzi ją to, i z pewnością nie mogę zostawić swojego CV ani spotkać się z naczelną, by pokazać jej swoje prace. Wyglądało też na to, że Helen Markson, osoba, z którą się kontaktowałam, już tu nie pracuje. Nikt się nie pofatygował, żeby mnie powiadomić. Byłam bezradna i głęboko zażenowana. Jakby tego było mało, ta przerażająca konwersacja toczyła się pod ogromnym plakatem przedstawia-

jącym moją ulubioną modelkę z okładki najnowszego numeru. Choć próbowałam dalej, sekretarka nie pozwoliła mi wejść do redakcji. Byłam tu zbędna. W końcu musiałam wyjść.

Doprowadziłam się do porządku w damskiej toalecie obok holu i zebrałam się na odwagę, by stawiać czoło redakcji czasopisma „Glamour”. Skoro przeszłam już taką drogę - miałam prawo spróbować, prawda? Sekretarka rzuciła na mnie okiem i powiedziała, że nie szukają nikogo nowego. Przynajmniej była bardziej uprzejma. Pech chciał, że sekretarką w redakcji „Vogue” była kobieta pachnąca Chanel, która nie wpuściła mnie nawet przez drzwi. Wydawało mi się, że nawet bawiło ją ignorowanie mnie, gdy stała za szklaną ścianą, trzymając palec zadbanej dłoni na przycisku. Do redakcji pisma „Tylko dla mężczyzn” nawet nie próbowałam uderzać, choć czułam się, jakbym straciła dziewictwo z jednym z jego redaktorów w windzie. (Miałam nadzieję, że podrażnienie oka szybko ustąpi).

To był koniec. Bez pardonowo odrzucona, zwróciłam identyfikator bez słowa.

Czy kiedykolwiek czuliście się tak podle, że nie wiedzieliście, co ze sobą zrobić?

Nie miałam dokąd pójść i nigdzie się nie śpieszyłam. W apartamencie Celi też nie miałam co robić, poza rozpamiętywaniem swojej porażki, nie miałam też pieniędzy na zakupy, więc spacerowałam wokół Times Square, gapiąc się dookoła, aż nie mogłam znieść tego gwaru ani chwili dłużej. I spacerowałam dalej.

Spacer był tani - i jak odkryłam - mimo braku do

świadczania nieźle się orientowałam w tym wielkim mieście. Weszłam do foyer Empire State Building urządzonego w stylu art deco; zaskoczyło mnie, że ten słynny budynek także jest biurowcem. Lista firm wisiała na ścianie. Jakby to było pracować w Empire State Building? Tego rodzaju pomysły miałam już za sobą. Wsiadłam do jednej z wind za małą grupą rozgadanych turystów i odkryłam, że po przykrych doświadczeniach w redakcji „Mii” jestem w stanie znów się uśmiechać. Gdy winda wjeżdżała na szczyt, z prędkością, która zatykała uszy, przypomniał mi się czarno-biały dokument o Robercie Wadlowie - najwyższym człowieku świata, mierzącym dwa metry siedemdziesiąt dwa centymetry, stojącym na szczycie najwyższego budynku świata z ówczesnym gubernatorem stanu Nowy Jork. Oglądałam go, gdy byłam dzieckiem, i wywarł wówczas na mnie ogromne wrażenie. Jakby to było, być tak wysokim? Naturalnie, Wadiów zmarł w wieku dwudziestu dwóch lat, a to nie był już najwyższy budynek świata. Nie był nawet najwyższy w Stanach, lecz pozostawał cudem nowoczesnego świata, a ja tu byłam, w środku, jadąc na szczyt. Zatarłam dłonie.

Dobrze, że nie cierpię na lęk wysokości - pomyślałam, wysiadając z windy na wietrzną platformę widokową.

Nigdy w życiu nie byłam tak wysoko, nie licząc lotu samolotem do Nowego Jorku. Ta wspaniała wieża przebijała niebo na wysokości ponad czterystu metrów nad Manhattanem, a widok z niej był jeszcze piękniejszy, niż sobie wyobrażałam. Olbrzymie budynki poniżej wydawały się z tej perspektywy mniej onieśmielające, niczym kępka stworzonych przez człowieka stalagmitów. Z góry łatwiej też było pojąć geometrię wyspy. Siatka

ulic wydawała się doskonale zorganizowana. Piąta Aleja była szeroka i prosta niczym strzała, spoglądałam na Chrysler Building i dalej - na Statuę Wolności. Dotarło do mnie, że po wielu latach marzeń naprawdę jestem w Nowym Jorku.

Pochyliłam się i złapałam siatkę otaczającą platformę. Zamontowano ją, wraz z barierą ochronną, wiele lat po tym, jak Robert Wadiów pozował tu z gubernatorem, by powstrzymać samobójców. Cofnęłam się. Mimo otaczających mnie ludzi i imponującego widoku, poczułam się nagle bardzo samotna.

I znów znajomy chłód rozlał się w moim brzuchu. Zmarszczyłam brwi. Coś się działo. Powinnam czuć podniecenie, radość, że w końcu tu jestem, podziwiać widok na miasto. Dookoła mnie stali turyści, szczęśliwi, uśmiechnięci, pozujący do zdjęć. A jednak coś było nie tak.

„Będzie mu lepiej beze mnie” - usłyszałam głos.

Przystanęłam i nasłuchiwałam wystraszona, rozglądając się uważnie wokół. Kto to powiedział? Mój wzrok przyciągnął niewyraźny kształt w kolorze kości słoniowej i moreli. Po prawej stronie, na krawędzi platformy zauważyłam ruch. Kobieta. Zobaczyłam, jak wspina się na grubą betonową barierkę obok płatnej lornetki. Zrozumiałam, że wyczułam jej smutek, nie mój. A także jej samotność. Zamierzała skoczyć.

Ruszyłam w jej kierunku, matka i dziecko uskoczyli mi z drogi.

- Niewychowana - usłyszałam, jak matka mówi do siebie, ale byłam zbyt spanikowana, by się tym przejmować. Czy nikt nie widzi, co się dzieje? Rozejrzałam się w poszukiwaniu pomocy, ale najwyraźniej nikt nie zauważył, co się dzieje. Jeśli się zawaham, może być za późno.

Zatrzymałam się pół metra od niej. U moich stóp leżała jej torebka. Zostawiła ją na platformie.

Kobieta była zaledwie kilka lat starsza ode mnie, ubrana zgodnie z modą lat czterdziestych w morelowy żakiet i pasującą do niego spódnicę, dłonie okrywały kremowe rękawiczki, wokół szyi powiewał szalik, tak samo elegancki jak ten należący do Grace Kelly. Wiatr rozwiewał włosy kobiety. Świadoma mojej obecności odwróciła się, wciąż balansując na barierce. Posłała mi smutny, zapadający w pamięć uśmiech.

-Zejdź, proszę - powiedziałam łagodnie, wyciągając do niej ramiona.

„*Me byłabym dobrą żoną dla nikogo*” - powiedziała, choć jej usta się nie poruszyły. Właśnie wtedy zdałam sobie sprawę, że mogę przez nią zobaczyć budynki znajdujące się poniżej. Jej kontury były nieco rozmyte.

- Jestem pewna, że to nieprawda - odparłam cichym głosem, zmieszana tym, co zobaczyłam. - Byłabyś wspaniałą żoną.

Wiatr porwał jej kremowy szal i uniósł go w dal. Patrzyłyśmy, jak odlatuje i spada na ulicę, osiemdziesiąt sześć śmiertelnych pięter poniżej.

Kiedy odwróciła się do mnie jeszcze raz, wydawało mi się, że zobaczyłam w jej oczach błysk rozpoznania.

„*Jak to miło, że przyszłaś*” - powiedziała.

- Jak masz na imię? - zapytałam, mając desperacką nadzieję, że ktoś w końcu pomoże mi ją namówić do zejścia. Chciałam złapać ją za ramię, ale wciąż mogła skoczyć, pociągając mnie za sobą, jeśli byłaby wystarczająco zrozpaczona.

„*Evelyn*” - powiedziała. „*Evelyn McHale*”. Jesteś wybra-

na, Pandoro". Zdawała się tym zafascynowana. Jej smutek jakby trochę zelżał.

- Skąd znasz moje imię? Co to znaczy „wybrana”? -zapytałam, ale potem zdałam sobie sprawę, że nie dbam o to. Chciałam tylko, żeby zeszła z poręczy, odsunęła się od krawędzi. - Proszę, zejź - błagałam. - Chwyć mnie za rękę - powiedziałam, wyciągając wolno dłoń w jej stronę.

Evelyn spojrzała na moją wyciągniętą dłoń, lecz nie podała mi swojej. „*Me martw się, Pandoro*” - zapewniła mnie. „*Robię to każdego dnia od lat*”.

I zanim zdołałam ją zatrzymać, odwróciła się i skoczyła przez siatkę.

Zniknęła w mgnieniu oka. Moje serce stanęło, a oddech uszedł. Nie miałam odwagi przechylić się i zobaczyć, jak spada. Zamknęłam oczy.

Kiedy je otworzyłam, byłam wciąż sama. Torebka Evelyn w niewyjaśniony sposób zniknęła z miejsca, gdzie leżała u moich stóp. Tylko tłum turystów i ja. Wokół mnie był skrawek wolnej przestrzeni. Zdałam sobie sprawę, że turyści odsuwali się ode mnie, myśląc, że jestem wariatką. Mówiłam do siebie.

Przycisnęłam zimne palce do skroni.

Evelyn McHale. Zabiła się, skacząc stąd w 1947 roku. Pamiętam słynne zdjęcie jej zmasakrowanego ciała na dachu samochodu. Widziałam je w magazynie „Life”, jestem pewna.

Żywa wyobraźnia. To tylko twoja żywa wyobraźnia, Pandoro.

Wróciłam do windy z żołądkiem zaplątanym w supły. Staralam się nie myśleć, co powiedziałby mój ojciec. Wysłałam ciotce Georgii pocztówkę. Napisałam, że

dotarłam bezpiecznie i że mój nowy dom jest uroczy. Wspomniałam też, że zadzwonię, gdy tylko będę miała telefon. (Kiedy będzie mnie stać... gdy znajdę pracę...).

Wybrałam czarno-białą kartkę przedstawiającą Empire State Building, z napisem „Empire State 1947” w rogu. Mam nadzieję, że spodobałaby się Evelyn.

Większość dnia spędziłam w Central Parku. Był piękny i nie trzeba było płacić za wstęp. Krążyłam po nim godzinami, wyobrażając sobie, że wszystkie samotne osoby, które mijałam, też pochodziły z małych miast, były odrzucone i wędrowały po Nowym Jorku w poszukiwaniu swojego miejsca na Ziemi. Zjadłam hot doga, a potem usiadłam na ławce niedaleko opuszczonej karuzeli, by odpocząć i skończyć czytać powieść. Obserwowałam ludzi z psami, uprawiających jogging i spacerujące pary. Wszyscy mijali mnie, jakbym była niewidzialna. Nie było jeszcze na tyle zimno, by otworzyć słynne lodowisko w Central Parku, lecz oddechy ludzi zamieniały się w parę, gdy biegli. Powoli marzłam, stopień po stopniu, w miarę jak mijały godziny, aż poczułam się jak kamienny posąg. Skończywszy czytać powieść (jej bohaterami byli wampir--Wiking i atrakcyjny wilkołak, a kończyła się romantycznie, inaczej niż wszystko, czego dotąd sama doświadczyłam), wstałam i ruszyłam szybkim krokiem, by się rozgrzać.

W pewnym momencie podczas mojego spaceru przeszłam wąską uliczkę i wydawało mi się, że zauważyłam samochód bardzo podobny do tego, którym milczący szofer Celii przywiózł mnie poprzedniego dnia. Niemal

pomachałam do niego, ale byłoby to oczywiście niemądre. Nie znałam tu nikogo.

Późnym wieczorem pogoda się zmieniła. Spacerowałam wśród drzew w północnej części parku i myślałam o swoich obolałych stopach, gdy nagle napotkałam nierzeczywistą wręcz ścianę mgły. Była gęsta i dziwnie pachniała - jak stare książki i kulki na mole - nie widziałam dalej niż na dwa metry. Chwilę później mgła podniosła się równie nagle, jak się pojawiła, i znalazłam się na cichej uliczce w dzielnicy Spektor, tuż przed sklepem, o którym wspominała Celia.

SKLEP SPOŻYWCZY HAROLDA głosił szyld.

Sklep miał staromodną witrynę z ręcznie malowanym szyldem i było w nim coś znajomego i przyjemnego. Spojrzałam dalej i zobaczyłam duży neogotycki dom Celi na rogu. Moje wyczucie kierunku nie mogło być lepsze. Wzięłam głęboki oddech. Po całym dniu spacerowania moja teczka zdawała się ważyć tonę. Jeśli zamierzam tak dużo chodzić, muszę kupić torbę na ramię, postanowiłam. *(Taką, jak ta na okładce pisma, które mnie nie zatrudniło.* Nie zamierzałam jednak więcej o tym myśleć).

Weszłam do sklepu pachnącego stęchlizną, dźwięk dzwonka ogłosił moją obecność.

Rozejrzałam się. Na półkach stały podstawowe towary spożywcze, choć nie rozpoznawałam marek. Było dużo puszek i pudełek. Zauważyłam, że w sklepie znajdowała się naprawdę odlotowa kasa; jedna z tych dużych, metalowych, z klawiszami jak maszyna do pisania i cyframi na białych blaszkach pokazującymi kwotę do zapłaty.

Prawdziwy zabytek. Za kasą jakiś człowiek pochylał się, szukając czegoś.

- Dzień dobry. Pan Harold, prawda? - odezwałam się. Na dźwięk mego głosu mężczyzna odwrócił się. *Dobry Boże.*

Sklepiarz Harold był niski i gruby, nosił kraciastą koszulę zatkniętą za pas roboczych spodni. Skórzany pas ścisnął jego wielki brzuch. Ale najbardziej uderzyła mnie jego zielonkawa cera. Policzki miał zielone, zamiast rumiane, zaś białka oczu żółte. Cofnęłam się.

- Pandora English, przyjaciółka pani Celi, prawda? - na zielonych policzkach mężczyzny pojawił się uśmiech, a potem skinął niepewnie głową.

-Hm, tak.

-Pani Celia nie mogła się doczekać twojego przyjazdu. Jest wspaniałą damą - oznajmił i zamyślił się na chwilę. - Czy mogę coś ci podać, młoda damo? Mogę zdobyć dla ciebie, cokolwiek zechcesz.

Brzmiało to nieprawdopodobnie.

Przełknęłam ślinę.

-Hm, dziękuję, ale niczego mi nie trzeba... - Chciałam wyjść. Pójść prosto do domu i przygotować coś do jedzenia w kuchni.

- Ja tylko...

-Och, Pandoro, nie bój się. Nie masz powodu się mnie bać.

Potrząsnęłam głową, przerażona przenikliwością jego obserwacji. Przypuszczam, że wyglądałam na tak przerażoną, jak się czułam.

-O nie, nie. Nie boję się. Naprawdę. Jestem tylko trochę rozstrojona po podróży - odparłam, nie chcąc przyznać, że przy mojej kruchej równowadze psychicz-

nej szczególny kolor jego cery wystarczy, bym uciekła z krzykiem.

-Tak, jesteś z tego małego miasteczka, Gretchenville.

- Słyszał pan o nim?

-O tak, Celia mi opowiadała. Po twoim wyjeździe liczba mieszkańców spadła do trzech tysięcy dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu, czy tak?

-To prawda - dokładnie tak. Przeróżające.

- Czym mogę służyć, młoda damo? - nalegał. Rozejrzałam się po półkach.

- Cóż... chyba wezmę mleko. Czy jest ser?

- Mleko jest w lodówce, o tam. Powiedz, jaki gatunek sera chcesz, a właśnie taki zamówię, gdy następnym razem tu przyjdiesz. - Zrobił krok do przodu i oparł się łokciem o ladę. Nie miał wielu włosów, zaledwie kilka jasnozielonych kosmyków na czubku głowy, które poruszały się, gdy mówił, jak wodorosty w lekkim prądzie wody.

-Nie chciałabym sprawiać kłopotu - powiedziałam.

- Kłopotu? Ależ skąd! Przecież po to tu jestem, Pandoro. Powiedz, jaki ser lubisz?

Już miałam ochotę poprosić o coś nadzwyczajnego, jak Stilton lub coś w tym rodzaju, ale nigdy ich nie próbowałam i tak naprawdę miałam ochotę na zwykły cheddar. Powiedziałam mu to.

-Przyjdź, kiedy chcesz, a będę go miał dla ciebie -zapewnił i uśmiechnął się do mnie tak miło i szczerze, że przestałam zwracać uwagę na jego niezwykły wygląd. - Czy chciałabyś coś jeszcze? Cokolwiek?

Poza mlekiem kupiłam jeszcze napój bezalkoholowy i małe opakowanie płatków śniadaniowych, a Harold wszystko dopisał do rachunku Celi, nie pozwalając

mi zapłacić. Czułam się nie w porządku, korzystając z rachunku mojej ciotecznej babki, i mimo jej nalegań postanowiłam zwrócić jej pieniądze, jak tylko dostań? pracę. (Kiedykolwiek to nastąpi).

-Wróć tu jutro, dobrze, Pandoro? Obojętnie, o której. Sklep jest otwarty całą dobę.

- Dziękuję panu - skinęłam głową.

-I pamiętaj, nie spaceruj sama po nocy, jeśli nie chcesz wpaść w tarapaty - ostrzegł mnie.

Przytaknęłam, wzięłam swoje zakupy oraz teczkę i wyszłam.

- Ale, oczywiście, potrafisz sama o siebie zadbać -usłyszałam jeszcze, zanim drzwi zamknęły się za mną

Pomachałam mu przez oszklone drzwi i pomyślałam jakie to dziwne, że Celia mówiła dokładnie to samo

Rozdział 4

Zimowe słońce zniżało się ku zachodowi, gdy otwierałam niebywale ciężkie drzwi. W ramionach trzymałam torbę z zakupami, a moje serce walczyło z licznymi rozczarowaniami dzisiejszego dnia. Po wszystkich tych odrzuceniach, nie miałam siły dalej walczyć.

- No już, otwierajcie się - wymamrotałam i drzwi ustąpiły.

Przeklinając pod nosem, powlokłam się do windy w tym moim garniturze, o którym myślałam-że-był-idealny-gdy-go-kupowałam, dźwigając zakupy i teczkę, w której nie było żadnych zleceń, za to tyle samo moich CV, co dzisiejszego ranka. Melancholię pogłębiało przekonanie, że moje płaskie buty były o pół numeru mniejsze niż rano. I w efekcie zrobiły mi się odciski. Gdy winda wznosiła się w górę, zalała mnie fala smutku i robiłam, co mogłam, by ją od siebie odsunąć. Użalanie się nad sobą nic mi nie da. Miałam uroczą i wspaniałomyślną gospodynię. Pierwszy dzień w Nowym Jorku nie był taki, jak sobie wyobrażałam, ale to było do przewidzenia. Byłam naiwna, to wszystko. Jakoś przeżyję.

Jednak bez Helen Markson, kto mi pomoże w znalezieniu pracy?

Wjechałam na ostatnie piętro, otworzyłam drzwi kluczem, który dostałam, i weszłam do środka. Wyda-

wało mi się, że minęły wieki, odkąd opuściłam to miejsce, tryskając optymizmem, zbyt podekscytowana, by jeść. W mieszkaniu panowała ciemność, domyśliłam się więc, że moja gospodyni wyszła lub może śpi. Zapaliłam światło w salonie i postawiłam torby na podłodze.

- Och! - usłyszałam krzyk.

To była moja cioteczna babka Celia. Siedziała na wpół ukryta w skórzanym fotelu, czytając przy małej lampce olbrzymią księgę. Biała kotka Freja leżała zwinięta w kłębek na pufie obok jej wyciągniętych nóg; w mgnieniu oka skoczyła i schowała się za krzesłem. Celia także się poderwała, jej książka upadła na podłogę z głuchym łomotem, a ona sama ze zwodniczo młodzieńczą zwinnością dała susa, uciekając z kręgu światła w cień.

- Ciociu Celio? - spytałam. - Czy dobrze się czujesz?

- Och, kochana Pandoro, zaskoczyłaś mnie - odparła z cienia.

- Miałam nadzieję, że zapukasz, nim wejdiesz.

Zapomniałam.

-Tak mi przykro - przeprosiłam, a potem osłupiałam.

Mój wzrok przyzwyczał się już do ciemności i to, co ujrzałam, zaskoczyło mnie. Tym razem Celia nie nosiła kapelusza ani woalki i zobaczyłam, że jej twarz jest piękna. Miała bladą świetlistą cerę, duże ciemne oczy i, choć uważałam to za niemożliwe, zdawała się nie mieć ani jednej bruzdy czy zmarszczki. Jej brwi były zarysowane wysoko i ostro, podobnie jak kości policzkowe. Całości dopełniały szkarłatne usta i błyszczące włosy ułożone w idealne fale. Wyglądała jak gwiazda filmowa z lat czterdziestych. Trudno było odgadnąć jej wiek, lecz nawet w półmroku byłam kompletnie zaszokowana jej wyglądem. To jest cioteczna babka Celia, która wedle moich obliczeń powinna mieć jakieś dziewięćdziesiąt

lat? *Nie ma mowy.* Wyglądała na młodszą niż moja matka, gdyby żyła.

-Zaskoczyłaś mnie, moja droga - powtórzyła Celia, wyciągając rękę do tyłu i szukając czegoś. Palce zadbanej dłoni znalazły czarny kapelusik który błyskawicznie przypięła do włosów za pomocą spinki. Znów cienka woalka opadła na jej twarz, zakrywając świetlistą cerę i dziwnie młodzieńcze rysy. Do ręki wzięła laskę.

-Zapomniałam, że prosiłaś, bym pukała - przyznałam wciąż oszołomiona. - Już będę o tym pamiętać.

-Dziękuję - odparła Celia, wspierając się wdzięcznie na lasce, której raczej nie potrzebowała. - Jak ci dziś poszło? - zapytała, zgrabnie zmieniając temat.

- Dobrze - odpowiedziałam odruchowo. Ale to nie była prawda. - A właściwie to niezbyt dobrze - poprawiłam L - W redakcjach, które odwiedziłam, nikt me był zainteresowany moim CV, a osoba, z którą się kontaktowałam w piśmie „Mia”, już tam nie pracuje, lecz nikt nie raczył mnie o tym poinformować.

żałosne efekty pierwszego dnia szukania pracy były przygnębiające, podobnie jak zażenowanie wynikające z tego, że nie uszanowałam prośby mojej gospodyni i przestraszyłam ją, ale przede wszystkim byłam zaskoczona wyglądem Celi bez woalki. Myślałam o twarzy którą zobaczyłam. O tym, dlaczego cioteczna babka stale nosiła woalkę, nawet w domu, i dlaczego zachowała się tak dziwnie, gdy została przyłapana bez niej. Może to wcale nie była moja cioteczna babka Celia. Może ta kobieta zrobiła coś Celi i teraz żyła pod j ej nazwiskiem? *Czy była oszustką?* Jeśli tak było, to jakie miała powody, by pozwolić mi zostać?

-Celio, muszę wyznać, że wyglądasz pięknie bez

woalki - powiedziałam, obserwując jej twarz. - Jesteś moją cioteczną babką Celią, prawda? Uśmiechnęła się pod tiulem.

-Cóż, tak. Dziękuję ci, kochana Pandoro, ale moim zdaniem to tobie należą się komplementy. Masz piękne rysy. Wspaniały zarys kości, tak jak twoja matka. -Podeszła bliżej, w krąg światła, i dotknęła moich włosów, odsuwając je za ucho.

Byłam bardzo podobna do mojej zmarłej matki, gdy była w moim wieku. To prawda.

-Tak. A teraz, zobaczymy, w co się ubrałaś. To nowy garnitur? - Celia przechyliła głowę, przyglądając mi się. - Hm, poliester. Materiał jest tani, ale kolor współgra z twoją cerą.

Nie sprzeciwiałam się, słysząc uwagę na temat materiału z ust byłej projektantki mody. Był wyprodukowany w Chinach. Wiedziałam to. Ale jednak.

-Nie wywarłaś dziś takiego wrażenia, jak chciałaś, prawda, Pandoro?

- Nie - odparłam przez zaciśnięte usta.

-A redakcje, które odwiedziłaś, wydają czasopisma o modzie, tak? - zapytała.

Skinęłam głową z miną winowajczynie. Nawet gdy miałam dziesięć lat, moi rodzice z dezaprobatą odnosili się do zainteresowania ich jedynej córki kolorowymi pismami i przedkładania ich nad „Journal of Archaeological Science” czy „Annual Review of Applied Linguistics”. Rozczarowany był głównie mój ojciec, jeśli dobrze pamiętam. (Rozczarowań było więcej, moja „żywa wyobraźnia” była jednak ich główną przyczyną).

Celia pokiwała głową w zamyśleniu.

- Rozumiem. - Dotknęła delikatnie dłońmi moich ra-

mion, potem talii i bioder. Jej dotyk był szybki i sprawny. - Mam trochę ubrań, które powinnaś przymierzyć - powiedziała.

- Naprawdę?

Celia zniknęła w swoich pokojach i wróciła kilka minut później, niosąc części garderoby przewieszane elegancko przez ramię. W ręce trzymała parę butów typu Mary Jane, trochę podobnych do tych, które sama nosiła. Jednakże ta para była ciemnoczerwona.

Och...

Otworzyłam szeroko oczy na ten widok.

- Są znów bardzo modne - dodałam, przypominając sobie okładkę „Vogue”, na której widziałam podobny model (przypomniałam sobie też, jak kobieta pachnąca Chanel ignorowała mnie stojącą przed biurem redakcji, ale szybko odpędziłam tę myśl...).

Celia przewiesiła ubrania przez poręcz fotela i lekko potrząsnęła głową.

- Modne? Kochanie, moda jest zaledwie ćwiczeniem obrotów - odparła. - Prawdziwy styl nie polega na modzie. Styl jest indywidualny. Jest częścią wielkiego teatru życia - mówiąc to, z wdziękiem wykonała szeroki gest ręką.

Nie rozumiałam tego rozróżnienia. Czyż styl i moda nie były tym samym?

-Zrozumiesz, co mam na myśli - zapewniła mnie moja cioteczna babka. - Widzę, że podobają ci się te buty. Jaki nosisz rozmiar?

- Ósemkę.

-Jesteś prawdziwą kobietą z rodu Lucasta. Wszystkie nosimy ten sam rozmiar. Możesz wziąć te buty. To mój prezent dla ciebie.

Wręczyła mi je, a ja najwyraźniej ucieszyłam się jak dziecko na Gwiazdkę, gdyż uśmiechnęła się zza woalki. Trzymałam buty za obcasy i studiowałam ich kształt niczym rzeźbę. Były w doskonałym stanie, ale pokrywała je patyna czasu, co tylko dodawało im charakteru. Skóra wewnątrz nosiła delikatne ślady używania. Zastanawiałam się, co widziały, gdzie chodziły. Zdawały się roztaczać wokół siebie magiczną aurę.

Ale to nie wszystko, co moja cioteczna babka miała dla mnie. Uniosła jedwabną sukienkę do kolan, ciętą ze skosu.

-To też będzie na ciebie pasować - zasugerowała. Bursztynowy materiał migotał w świetle małej lampki. - Podkreśli piękny koniakowy kolor twoich oczu. - Nikt wcześniej nie określił moich oczu w ten sposób. - Jeszcze ten żakiet - dodała, podając mi lekki żakiet z wełny boucle.

Natychmiast rozpoznałam legendarny styl, co potwierdził rzut oka na wytartą naszywkę: Chanel.

- Możesz go włożyć do dzinsów na następną rozmowę w sprawie pracy.

Moje oczy zrobiły się jeszcze większe. Chanel była prawdopodobnie najczęściej podrabianą marką na świecie, lecz ten żakiet był autentyczny i miał w sobie życie. Wyglądał, jakby widział i doświadczył niejednego. Przyszło mi do głowy, że jest znacznie fajniejszy niż to, co miała na sobie kobieta pachnąca Chanel z redakcji „Vogue”. Ten żakiet miał w sobie historię. Miałam ochotę włożyć go i wrócić tam, żeby wzbudzić jej zazdrość.

-Założę go z przyjemnością. Dziękuję - powiedziałam, nie kryjąc podniecenia i wdzięczności. Być może te

zewewnętrzne oznaki przynależności do tego świata ułatwiłyby mi przejście przez drzwi jednej z redakcji, dla których tak bardzo chciałam pracować.

-Zaprojektowała go sama Coco Chanel, a nie ten chłoptaş Karl Lagerfeld - wyjaśniła Celia. - Coco była główną projektantką do 1971 roku i to ona wprowadziła sznury pereł i wytworne żakiety, które są modne do dziś. Mam tu też odpowiednią spódnicę, ale lepiej będzie, jeśli założysz do niego džinsy, tak będziesz wyglądać swobodniej. Nie chciałabyś chyba, żeby cię ktoś posądził o chodzenie w strojach ciotecznej babki.

Roześmiałam się, a ona posłała mi szelmowski uśmieszek.

-Teraz nazywają to „vintage” - zamyśliła się Celia. -Ale słowo vintage odnosi się nie do przedmiotu, ale do czasu, w jakim towar dobrej jakości, na przykład wino, został wyprodukowany. To ciekawe, nie sądzisz? Kiedy te ubrania powstawały, nikt nie nazywał ich „vintage”, ale wtedy właśnie szły stroje dobrej jakości, na lata. Dobre ubrania nie przestają być stylowe. Musisz tylko zmienić sposób ich noszenia, to wszystko.

-Czyli moda to tylko trend, a styl to coś innego? -zapytałam.

- Teraz zaczynasz to rozumieć - Celia przytaknęła.

- Mogłabym napisać o tym - przyszło mi do głowy.

- Dlaczego nie?

Czytałam kiedyś artykuł w magazynie „Mia” o tym, jak tony niechcianych nowych ubrań bezceremonialnie lądują na śmietniku i są niszczone, zamiast rozdać je lub obniżyć cenę, ponieważ projektanci chcą utrzymać wysokie ceny kojarzone z marką. Może mogłabym napisać artykuł o ubraniach vintage? W konsultacji z byłą

projektantką mody? O przewadze jakości nad nowością? Byłam tak skupiona na tej myśli, że prawie zapomniałam o moich wątpliwościach co do Celi i jej tożsamości. *Prawie.*

- Zatem od jak dawna nie widziałaś mojej mamy? -zapytałam od niechcenia, gładząc wełnę żakietu, który mierzyłam, i spoglądając przez ramię na jej twarz. Odpowiedź „w zeszłym roku” wzbudziłaby moją czujność, że coś tu nie gra. Nie mogłam do końca uwierzyć, że ta kobieta jest oszustką, ale co innego mogłoby tłumaczyć jej młodzieńczy wygląd?

Celia westchnęła, kładąc mi dłoń na ramieniu.

- Och, kochanie, to straszne, co ich spotkało. Naprawdę. Ostatni raz widziałam ich kilka lat przed wypadkiem. Wtedy nie było tak łatwo podróżować jak dziś. Teraz żałuję, że nie spotykaliśmy się częściej.

Cóż, musiałam przyznać, że było to dość przekonujące.

- Musiało być ci ciężko, gdy to przewidziałaś - dodała. Zamarłam. O co jej chodziło?

Celia lekko uściśniła moje ramię.

- Kiedy cię ostatnio widziałam, byłaś małą dziewczynką, miałaś trzy, może cztery lata, ale już wtedy wiedziałam, że masz ten dar.

Nie pamiętałam tego spotkania, byłam za mała.

- O jakim darze mówisz? - zapytałam. -Twoje imię, Pandoro, znaczy „*ta, która ma dar*”. Zamrugałam.

- Naprawdę? - wiedziałam wszystko o mitycznej Pandorze, ale takiej interpretacji nie znałam. - Ta, która ma dar?

-Tak. Masz dar - powiedziała Celia, unosząc głowę. -Twoja matka ci o tym nie wspominała? Zaprzeczyłam. Celia zamyśliła się.

- W takim razie mamy wiele do omówienia - powiedziała w końcu. - Ale najważniejsze: jesteś krótko w Nowym Jorku, więc prawdopodobnie nie znasz wszystkich czasopism wydawanych w tym mieście. Czy wiesz, że istnieje pismo, które nosi twoje imię?

- Nazywa się „Pandora”? Naprawdę?

-Tak. Może jutro mogłabyś pójść tam i spróbować porozmawiać z naczelną. Roześmiałam się. Chyba nie mówiła poważnie. -To nie jest takie proste. -Ależ jest, kochanie.

- Myślisz, że mogę tak po prostu tam się zjawić? -Z pewnością tego jeszcze nie próbowałam.

- Uważam, że właśnie tak powinnaś zrobić - powiedziała stanowczo Celia, rzucając mi porozumiewawcze spojrzenie, którego nie umiałam odczytać. - Jutro. Idź do redakcji „Pandory”.

- Piękny żakiet to trochę za mało, by tam się dostać -zaprotekowałam. Ale moja cioteczna babka była upartą kobietą. Nie było więc sensu się kłócić.

Rozdział 5

Mój umysł po prostu nie mógł odpoczywać.

Drugiej nocy w Nowym Jorku leżałam w łóżku w białej koszuli nocnej i, wpatrując się w sufit, myślałam, myślałam, myślałam...

Jak Celia, będąc moją cioteczną babką, może wyglądać tak młodo?

Wyglądała jak wytworna projektantka mody z lat czterdziestych, za którą się podawała, ale wydawało mi się niemożliwe, by miała ponad osiemdziesiąt, ani nawet pięćdziesiąt lat. Oczywiście, nie wiedziałam wiele o wielkich miastach, ale nie sądziłam, by była to zasługa wody na Manhattanie. Nie mogłam zapytać o to mojej matki i byłam pewna, że nie chcę się dzielić wątpliwościami z ciotką Georgią, która niechętnie mnie tu puściła. Zgodziła się tylko dlatego, że cioteczna babka Celia była moją jedyną żyjącą krewną i mogła skorzystać z mojej pomocy w domu. Nie mogłam ryzykować, że zażąda, bym wróciła do Gretchenville, nawet jeśli moje pierwsze wrażenia z Nowego Jorku nie przypominały bajki. Gdy pogrążałam się we śnie, mój coraz bardziej zmęczony umysł zmagał się z zagadką wyglądu Celi, dziwnym i ekscytującym otoczeniem, i pierwszym okropnym dniem odrzucenia.

Dopiero po jakimś czasie zorientowałam się, że wcale

nie położyłam się do łóżka. Wciąż siedziałam z cioteczną babką Celią w salonie, odważnie pytając ją czy jest oszustką. „*Czy jesteś naprawdę Celią? Dlaczego wyglądasz młodziej, niż powinnaś?*” - sprawdzałam ją.

Celia znów była bez woalki, a jej cera była rozświetlona i piękna. Była atrakcyjna w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyłam. Aż chciałam wyciągnąć rękę i poczuć jej kości policzkowe. Potrzeba dotknięcia jej była nie do odparcia. Nie mogłam oderwać wzroku od jej twarzy. A pomimo moich pytań i dziwnego transu, w jakim się znajdowałam, Celia była wyrozumiała, miła i łagodna. Moje pytania nie zmąciły jej spokoju.

„*Kochanie...*” - zaczęła. Gdy rozmawialiśmy, Celia trzymała moją dłoń, nie nosiła rękawiczek, a jej dłonie były zimne jak lód i miękkie jak jedwab. Lekko uścisnęła moją dłoń. „*Kochanie, każdy to robi. To nie takiego*” - wyjaśniała cierpliwie, a kiedy się uśmiechnęła, zobaczyłam dwa ogromne białe kły. Wciąż się uśmiechała, jej oczy zaczęły lśnić czerwonym blaskiem, a ona sama zaczęła się przepoczwarzać - czoło stało się wielkie jak u nietoperza, a ręce zamieniły się w szpony. „*No dalej, Pandoro, spróbuj*” - zaryczała, z każdą minutą stając się bardziej bestią niż człowiekiem. Chwyciła mnie za gardło swoimi szponami i trzymała mocno. „*Dołącz do mnie!*” - zarechotała triumfująco.

- Neeee! - krzyknęłam, próbując uwolnić się z jej uścisku. - Nie, Celia! Nie! - Kiedy w końcu wyrwałam się z jej łap, ledwo mogłam złapać oddech.

Moje krzyki były stłumione, otworzyłam oczy i, jak się okazało, byłam w łóżku. Jedną ręką trzymałam się za gardło - jednocześnie broniąc się przed koszmarną wizją Celi i utrudniając sobie oddychanie. Drugą rękę

zaciskałam bezużytecznie na poduszce. (Mówiłam wam, że mam bardzo rzeczywiste sny).

- Pssst... Czy wszystko w porządku? *Co?*

- Potrzebuje panienka pomocy? - powtórzył głos. Usiadłam i rozejrzałam po pokoju.

Czy tym razem nie śpię?

Moje serce biło w przyśpieszonym tempie, więc - tak, doszłam do wniosku, że się przebudziłam, choć jestem niezupełnie przytomna. Była noc. Znajdowałam się w swoim pokoju w domu Celi, światła były zgaszone. Jednakże rolety nie były do końca zasunięte i pojedyncze promienie światła ulicznych lamp rozpraszały nieco ciemność. Widziałam ubrania Celi wiszące na drzwiach szafy, szykowny żakiet Chanel przygotowany na jutro. Skąd pochodził ten głos? Moje oczy dostrzegły biały kształt w pobliżu drzwi. Przypominał człowieka, tego, którego widziałam wczorajszej nocy, i znów, gdy wzrok przyzwyczał się do ciemności, ujrzałam go wyraźniej: dopasowany mundur i czapka, męski podbródek i jasne niebieskie oczy. Mężczyzna trzymał czapkę w dłoniach, stojąc z głową lekko pochyloną, jakby chciał okazać szacunek. Był opalony i gładko ogolony, a jego piaskowe blond włosy układały się w lśniące fale.

Tym razem nie próbowałam nawet wołać Celi.

- Panno Pandoro? - zapytała postać. Znał już moje imię.

-Tak - odparłam, nie byłam pewna, czy śpię, czy też nie. Jednakże sen o przystojnym żołnierzu był zdecydowanie lepszy niż ten o hrabinie Celi, wampirzycy na wolności chcącej wyssać ze mnie krew. - Jak ty się nazywasz? - zapytałam szeptem.

- Podporucznik Luke Thomas, proszę panienki.

-Podporucznik Luke Thomas, no jasne - sarknęłam i podparłam się na łokciach. Wyglądał dość młodo jak na taki stopień. - Cóż, podporuczniku Luke, właśnie śnił mi się bezsensowny koszmar i nie zamierzam z tobą rozmawiać, gdyż nie istniejesz. Dobranoc.

Wsunęłam się pod kołdrę i zamknęłam oczy. Po kilku sekundach otworzyłam je ponownie. Wciąż tu był.

-Czy życzy sobie panienka, bym odszedł? - zapytał młody człowiek niepewnym głosem. Nadal trzymał czapkę w dłoniach. Widok ten był z jakiegoś powodu rozczulający. - Wydawało się, że potrzebowałaś pomocy. Krzyczałaś - powiedział.

Uniosłam się na łokciu i zamarłam.

- Czyja śnię? - rzuciłam w przestrzeń.

- Nie, nie sędzę - odparł Luke. - Widzisz mnie? - obsesyjnie wręcz o to pytał, nasza ostatnia „rozmowa” też się na tym skupiała.

- Tak - odpowiedziałam.

Bo go widziałam. Luke był w tym samym ciemnoniebieskim jednorzędowym staromodnym płaszczu - sięgającym do kolan i zdobionym dziewięcioma wypolerowanymi guzikami biegnącymi od wysokiego kołnierza do wąskiej talii. Mundur pięknie leżał na jego muskularnej sylwetce. Na czapce miał wyszyte dwie skrzyżowane szable, ozdobione dwoma piórami. Nosił jasnoniebieskie spodnie z lampasami i eleganckie skórzane buty do jazdy konnej. Efekt końcowy był dość romantyczny.

- Naprawdę cię widzę, prawda?

-Tak, wydaje mi się, że tak - odpowiedział, wciąż z lekko pochyloną głową.

- Jesteś duchem? - zaryzykowałam pytanie.

- Nie żyję.

Mój Boże. Usiadłam i potarłam powieki. Wyglądało na to, że to nie był sen ani koszmar, który miał wkrótce zniknąć.

- Chyba lepiej włożę coś na siebie - zdecydowałam. -Czy mógłbyś się odwrócić?

- Tak, proszę panienki.

Zachichotałam cicho, usłyszawszy tak oficjalną odpowiedź - zważywszy, że znajdowaliśmy się w sypialni -i chwyciłam szary żakiet wiszący obok łóżka. Niezbyt pasował do nocnej koszuli - cóż, jak widać do niczego nie pasował - ale czułam się mniej obnażona.

-W porządku. Możesz się odwrócić - powiedziałam.

Mój umundurowany gość odwrócił się i zobaczył siedzącą na brzegu łóżka, ubraną w poliestrowy żakiet narzucony na białą koszulę nocną, ze skrzyżowanymi ramionami. Starłam się wymyślić jakieś sensowne słowa, które nie zabrzmiałyby beznadziejnie głupio, gdyby jutro rano miało się okazać, że mówiłam przez sen.

Rozmawiać z nieżyjącym żołnierzem we śnie. To typowy dla mnie sposób spędzania nocy.

- Ostatniej nocy mówiłeś, że jesteś tu od jakiegoś czasu - przypominało to nową wersję oklepanej zaczepki: *My się skądś znamy.*

-Tak, mieszkam tutaj. A przynajmniej przebywam w tym budynku.

-I zazwyczaj „odwiedzasz” gości?

-Nie ma ich wielu. Przynajmniej ostatnio - powiedział. - Nie, hm... - zawahał się. - Nie takich jak pani. To znaczy żywych.

Straszne. Do licha, wiem, jak wywołać koszmarny sen.

-A moja cioteczna babka Celia?

Musiałam mieć to pytanie wypisane na twarzy.

-Och, nie. Nie, nie mam problemu z panią Celią, tylko że...
Hm, ona mnie nie widzi, jak mi się wydaje. Nigdy nie rozmawialiśmy.

Co za dziwna rozmowa. Bardzo, bardzo dziwna.

Jeśli dobrze pamiętam, nie rozmawiałam z duchem od czasów dzieciństwa, kiedy to „wymyśleni przyjaciele” sprawili mi wiele kłopotów. Moja matka, która była wielką zwolenniczką uczciwości w wychowaniu dziecka, wyjaśniła mi spokojnie, że „incydent z rzeźnikiem” niemal przyczynił się do rozwodu między nią a moim ojcem. Mój ojciec najbardziej w świecie chciał mieć normalne dziecko, w jego głowie nie było miejsca na nic poza nauką i rozumem. Myślę, że matka była bardziej wyrozumiała, miała swoje subtelne sposoby przekazania mi, że nie przeszkadzała jej moja odmienność. Przez lata dekorowała mój pokój starożytnymi maskami ze wszystkich miejsc, do których podróżowała, i tłumaczyła, że możemy być, kim zechcemy, że wszystko zależy od naszej woli. Nocami, zastanawiając się, kim będę, zasypiałam pod pustymi oczodołami maski sumatrzańskiego wodza, dzikiej kobiety Kwakiutl i maską afrykańskiego ludu Pende służącą do komunikowania się z duchami.

Teraz, mając dziewiętnaście lat, byłam kobietą, nie dzieckiem, i być może ta rozmowa ze zmarłym, zwanym „podporucznik Luke”, nie miała miejsca, ale przynajmniej była niegroźna. Mój ojciec nie mógł poczuć się urażony. Nie przyczyniałam się do rozpadu żadnego małżeństwa. I przynajmniej śniłam o przystojnym duchu, nawet jeśli umarł kilka dekad przed moim urodzeniem i nie miał zielonego pojęcia o popkulturze i wszystkim tym, czego musiałam się nauczyć o modzie.

(Na szczęście od tego miałam nienaturalnie młodą cioteczną babkę).

-Podsumujmy więc: moja cioteczna babka cię nie widzi, ja cię widzę, a ty nie żyjesz - powiedziałam.

Luke skinął głową.

-Tak, od wojny secesyjnej - potwierdził z kamienną twarzą, jeśli można to tak nazwać. *Wojna secesyjna. No jasne.*

Nie byłam specjalistką w tej dziedzinie, ale wiedziałam, że była to wojna między Północą a Południem i że chodziło o niewolnictwo. Trwała kilka lat, wydarzyła się w dziewiętnastym wieku, Konfederacja Stanów Południowych została wówczas pokonana, a niewolnictwo - zniesione. Gdy byłam mała, pokazywali nam w szkole nagrane kamerą wideo kiepskie rekonstrukcje tych wydarzeń historycznych. Ale nie to zajmowało moje myśli, nadal nie rozumiałam, dlaczego tu i teraz, w Nowym Jorku, wywołałam ducha żołnierza z tej wojny. Dlaczego nie mogłam wyobrazić sobie Alexandra McQueena lub Giannię Versace lub kogoś bardziej pomocnego w moim obecnym położeniu?

- A co porabiałeś do czasu wojny secesyjnej? - spytałam od niechcienia.

Ścisnął czapkę w dłoniach i nagle spoważniał.

-Byłem podporucznikiem w Kawalerii Lincolna -powiedział. Tak, to wyjaśniało, dlaczego nosił buty do jazdy konnej i płaszcz. Abraham Lincoln był wtedy prezydentem, więc jak przypuszczam, Kawaleria Lincoln składała się z konnicy walczącej dla Unii przeciwko niewolniczym stanom Konfederacji. Niebieski był kolorem Unii. - Walczyłem w Armii Potomaku na Wschodnim Wybrzeżu - ciągnął, ale zorientowawszy się, że nazwa

ta mi nic nie mówi, przerwał. - Zapominam, że to było dawno temu, przepraszam. Od tego czasu było wiele wojen. Toczą się nawet teraz. To, co mówię, nie musi cię interesować.

- Proszę, mów dalej - zachęciłam go. - Nie musisz przepraszać za moją ignorancję. - Powinnam bardziej uważać na lekcjach historii. Ale czy wtedy przydarzyłaby mi się taka rozmowa we śnie wiele lat później?

- Wojna secesyjna wybuchła krótko po moim ślubie i zostałem powołany do wojska. Moja żona Edna była przy nadziei - powiedział. - To miała być córeczka.

Ciarki przeszły mi po plecach. Uśmiech zniknął z mojej twarzy.

- To była krwawa wojna. Nie spodziewaliśmy się tego, byliśmy źle przygotowani.

Żal w jego głosie był niemal namacalny, w jego oczach ujrzałam ból i zastanawiałam się, jaki koszmar przeżył. Mężczyźni, którzy zgłaszali się na ochotnika, często byli zbyt młodzi i niedoświadczeni w boju. Przypomniałam sobie historie o nieprzygotowanych wojskach. Głód. Zła organizacja.

- Zawsze myślałem, że dlatego nie przeszedłem do końca na drugą stronę, bo nie miałem szansy zobaczyć swojej córki za życia. Jakimś sposobem, gdy minął ból umierania, po prostu znalazłem się tutaj, ubrany w mundur. Nie wiem, co się stało z innymi ludźmi ani dokąd zabrano moje ciało. Nie wiem, co to za budynek. Nie wiem, co się stało z moją rodziną... z moim dzieckiem.

Przełknęłam głośno ślinę. Zdałam sobie sprawę, że mam oczy pełne łez. Staralam się nie mrugać, żeby nie popłynęły po policzkach. To chyba była najsmutniejsza

historia, jaką kiedykolwiek słyszałam. Nie tego oczekiwałam po snach o przystojnych żołnierzach. One nie powinny być smutne, lecz opowiadać o miłości, takiej, jaką opisuje się w powieściach - jakiej miałam nadzieję doświadczyć pewnego dnia.

- Moja żona była mniej więcej w panienki wieku, gdy się pobraliśmy - popatrzył na mnie, uśmiechając się łagodnie. - Była urocza. Jak panienka.

Zagryzłam wargi.

- Ile masz lat?

-Dwadzieścia pięć. To znaczy, tyle miałem w 1861 roku.

1861 rok. Próbowałam to sobie wyobrazić.

- Pani nie jest mężatką? - zapytał. Zaczerwieniłam się.

-Hm, nie, nie jestem. - Spojrzałam na swoje dłonie.

- Och, przepraszam. Wprawiłem panią w zakłopotanie.

- Nie, nic się nie stało. To prawda, nie mam męża.

-Przepraszam za to pytanie. Czasem myślę po staremu. Nie mam zbyt wielkiego doświadczenia w nowym świecie. Tak naprawdę, to nie mogę nawet wyjść poza mury tego budynku.

Wyobraziłam sobie, jak musi się czuć.

-To wszystko wydarzyło się dawno temu, a ja cały czas jestem tu... i czekam. Na co? Nie mam pojęcia. Przez wiele lat myślałam, że znajdę tu moją żonę i córkę, ale nigdy się nie zjawily. Jestem sam.

Do licha. Jak na złudzenie brzmiało to dość przekonująco. Zamyśliłam się. Zastanawiające było to, dlaczego duch, taki jak Luke - jeśli był duchem - nie może opuścić tych murów, nie może się uwolnić nawet po śmierci wszystkich członków swojej rodziny. Co go tu trzymało?

- Musisz się czuć bardzo samotny - powiedziałam. -Tak. W pewnym sensie. Ale czasem przychodzą tu inni, z którymi mogę porozmawiać. Poczułam kolejny dreszcz.

- Naprawdę?

- Och, nie zamierzałem pani przestraszyć, ale tak - od czasu do czasu pojawiają się inni. I mogę też widzieć, co dzieje się za murami, ale nie mogę w tym uczestniczyć. Widzę, jak świat dookoła się zmienia. Odczuwam wiele rzeczy inaczej, niż zanim to się stało.

Zanim umarłeś.

Ciekawe. Przynajmniej coś nas łączyło. Czasem wiedziałam dużo o rzeczach, o których nie powinnam mieć pojęcia, nie miałam racjonalnego ani naukowego wyjaśnienia dla tej wiedzy, byłam użyteczna niczym ten duch. Nikt mi nie wierzył. Ojciec nauczył mnie wątpić w mój dar, a matka - celowo lub nie - pokazała mi, ile kłopotów może on spowodować. Tego mnie nauczyło dziwne dzieciństwo.

- Czy mogę panią o coś zapytać? - powiedział podporucznik Luke i zawahał się.

Skinęłam głową, widziałam go przez zasłonę łez.

-To prawda? Że wygraliśmy? - zapytał i aż wstrzymał oddech, czekając na moją odpowiedź.

Odkryłam, że robię to samo, a gdy dotarło do mnie, o co pytał, odetchnęłam.

-Tak. Północ wygrała - odpowiedziałam.

Podporucznik Luke zamknął oczy i skinął głową. Otworzył je po minucie i uśmiechnął się do mnie łagodnie.

-Słyszałem coś, ale... nie byłem pewien.

- Wojna trwała kilka lat, ale tak, Unia wygrała - powiedziałam. - Oczywiście to było sto pięćdziesiąt lat temu.

Podporucznik Luke zeszywniał.

- Powiedziała pani: sto pięćdziesiąt lat?

Miałam nadzieję, że nie powiedziałam niczego złego. Nie wiedział? Czy to dla niego zła wiadomość? Czy wierzył, że uda mu się odnaleźć żonę i córeczkę żywe?

-Tak. Wojna secesyjna skończyła się sto pięćdziesiąt lat temu - wyjaśniłam ostrożnie.

Ta, najwyraźniej nowa dla niego wiadomość, spowodowała, że młody człowiek pogrążył się w myślach.

-A zatem to są ciekawe czasy - odrzekł w końcu. -Bardzo ciekawe czasy.

Gdy spojrzał na mnie, w jego oczach była jakaś nowa ciekawość. Czy powiedziałam coś ważnego?

- Dziękuję, panno Pandoro - powiedział podporucznik Luke. - Dziękuję, że mnie pani wysłuchała. Przepraszam, jeśli panią zasmuciłem. Nie miałem takiego zamiaru.

Potrząsnęłam głową i po moim policzku potoczyła się łza. Mój gość delikatnie otarł ją dłonią, która z wyglądu była tak prawdziwa i żywa, jak wszystkie te, które widziałam wcześniej, lecz w dotyku przypominała chłodną miękką chmurę.

- Czy będę mógł jeszcze panią odwiedzić? - zapytał przystojny żołnierz.

Przytaknęłam, a on pocałował moją dłoń. Pod dotknięciem jego ust po mojej skórze przebiegł zimny dreszcz, a ciało zalała fala gorąca.

O rany.

-Jeśli kiedykolwiek będziesz mnie potrzebowała, po prostu zawołaj. Dobranoc, panno Pandoro.

I zniknął.

Rozdział 6

Drugiego ranka w Nowym Jorku obudziłam się, czując bolesne klucie jednego ramienia i mając dziwne wrażenie, że coś pije mnie pod pachami. Zauważyłam, że nie wiadomo dlaczego, spałam w żakiecie nałożonym na koszulę nocną. Nie był to najwygodniejszy ani najrozsądniejszy wybór bielizny nocnej. Potem przypominałam sobie wydarzenia poprzedniej nocy.

Luke. Porucznik Luke.

-Doprawdy, Pandoro - skarciłam się na głos, lecz tym razem „pokój” nie odpowiedział. Czy tak bardzo pragnęłam mężczyzny, że musiałam go sobie wyśnić? Nie sędzę. Z drugiej strony, sny odkrywają przed nami pewne prawdy. Nie podobało mi się to, co sen o młodym podporuczniku mógł mówić o mnie. I z całą pewnością nie podobał mi się sen o ciotecznej babce Celi, wampirzycy.

Dlaczego nie śniły mi się szczenięta i kocięta jak większości dziewcząt?

Moje oczy rozjaśniły się na widok żakietu Chanel wiszącego na drzwiach szafy w moim pokoju. Przypominałam sobie rozmowę z piękną i mądrą byłą projektantką Celią. Czy naprawdę powinnam pójść do redakcji „Pandory”, jak sugerowała? Czy mogłam zaryzykować kolejny dzień łamiącego serce odrzucenia?

Wciąż niezdecydowana, z rozczochranymi włosami poszłam do kuchni. Zaskoczyło mnie to, co tam zobaczyłam. Na blacie leżał liścik, a na nim sznur pereł:

*Najdroższa Pandoro,
biuro redakcji pisma „Pandora” znajdziesz pod poniższym
adresem. Jesteś umówiona na spotkanie ze Skye między
godziną 9.30 a 10.00.*

Powodzenia. Do zobaczenia wieczorem

Ucałowania, CELIA

PS Inspiracja Chanel. Hmmm...

Oprócz liściku leżał tam kawałek papieru z adresem w SoHo i kilka informacji o czasopiśmie. Naczelną była Skye DeVille. Pismo skierowane było do czytelniczek w wieku od siedemnastu do dwudziestu pięciu lat, a więc wpasowałabym się idealnie. Pod listem znajdowała się starannie wyrwana strona z magazynu. Było na niej zdjęcie młodej kobiety w zakiecie Chanel założonym na biały T-shirt, na szyi miała sznur pereł, a całości dopełniały wyblakłe džinsy. Jej włosy były luźno rozpuszczone i trochę przypominały moje.

Uśmiechnęłam się. To była rzeczywiście inspiracja.

Krótko przed godziną dziesiątą stanęłam oko w oko z pustymi oczodołami ludzkiego szkieletu na wystawie sklepowej na Spring Street.

Mapa pomogła mi trafić do redakcji pisma „Pandora” w SoHo i znalazłam tę dziwną wystawę. Osłaniając oczy,

próbowałam zajrzeć do środka i zobaczyłam, że za szkieletem było więcej czaszek, modeli ludzkiego szkieletu, wypchanych ptaków, nietoperzy, nawet głowa aligatora. Muchołówki zdobiły parapet przed oknem, otwierając podobne do zębatych paszcz liście. Czy to w tym niezwykłym sklepie Celia kupiła swój okaz? Co to za miejsce? Cofnęłam się o krok. Napis nad wejściem brzmiał EVOLUTION. Niestety sklep był jeszcze zamknięty. Może weszłabym tu po mojej (najprawdopodobniej ponizającej) wizycie w redakcji „Pandory”.

SoHo z pewnością było dość interesujące i panowała tu zupełnie inna atmosfera niż na Piątej Alei i w okolicy Central Parku. Niegdyś dzielnicę tę zwano „piekielne sto akrów”, były tu burdele, bary, fabryki i warsztaty zatrudniające robotników na czarno. W dawnych halach fabrycznych mieszkali obecnie artyści, znajdowały się też ekskluzywne butikiki. Idąc do redakcji, minęłam wystawy Bloomingdale'a, Dolce&Gabbana oraz Chanel. Szłam z wysoko uniesioną głową, świadoma, że mam na sobie żakiet Chanel zaprojektowany przez samą Coco Chanel. Największe wrażenie zrobił na mnie butik Prądy. Miał ogromne ukośne okno wystawowe, głębokie jak werandy domów w Gretchenville, udekorowane manekinami w strojach *couture* w pozach jakby przeczących istnieniu prawa ciężenia.

Ponownie spojrzałam na liścik Celi i zdałam sobie sprawę, że jestem przed niewłaściwym wejściem. Stałam przed numerem 120, zamiast 120b - wąskimi drzwiami tuż obok sklepu. Poprawiłam włosy, przeglądając się w szybie sklepowej, podeszłam do drzwi i nerwowo nacisnęłam dzwonek domofonu przy tabliczce z napisem „Pandora”. Wciąż było mi gorąco od szybkiego mar-

szu (zdaje się, że był to preferowany przez nowojorczyków sposób przemieszczania się), czekałam na wietrze ubrana w T-shirt, džinsy i znoszone balerinki, a do tego śliczny żakiet Celi od Chanel i perły, otuliłam się ciężkim szalem, który zamierzałam zdjąć przed rozmową z naczelną. Uzbrojona w CV i iskierkę nadziei czekałam, nieco podenerwowana, na odpowiedź. *Bzzzzt...*

Przez falę zakłóceń elektrycznych usłyszałam głosy i drzwi otworzyły się. Pchnęłam je i weszłam do środka.

Z liściku od Celi wiedziałam, że redakcja „Pandory” mieściła się na czwartym piętrze w sześciopiętrowym budynku bez windy. Odgłos moich kroków w płaskich butach odbijał się delikatnym echem na zimnej, ozdobionej graffiti klatce schodowej. Wejścia na każde piętro miały tabliczki z nazwami mieszczących się tam firm - głównie były to studia fotografii lub projektowe. Nim dotarłam pod te z napisem „Pandora”, miałam już lekką zadyszkę.

To miasto jak nic utrzyma mnie w dobrej kondycji.

Nad drzwiami zadźwięczał delikatny dzwonek. Znajdowałam się w typowym nowojorskim lofcie - betonowe podłogi, wyeksponowane metalowe belki, ściany z cegły. Biuro było skąpo, lecz elegancko umeblowane, podzielone na kilka przestronnych boksów i jeden osobny gabinet w rogu pomieszczenia, prawdopodobnie przeznaczony dla redaktor naczelnej. Gdy tylko weszłam, natknęłam się na szerokie białe biurko. Siedziała za nim sekretarka farbowana na rudo. Rzuciła w roztargnieniu „Cześć” w moim kierunku, skupiając się na przerzucaniu kartek w wizytowniku. Wydawała się lekko spanikowana.

-Cześć. Jestem... - zaczęłam, patrząc na pochyloną głowę dziewczyny. Po wczorajszych przeżyciach czułam, że wystarczy mi już odrzucenia i nie miałam ochoty na kolejne rozczarowanie, ale nie widziałam innego wyjścia, jak kontynuować tę grę, jakkolwiek miała się ona skończyć.

- O jejku, co za dzień! - wykrzyknęła nagle ruda i podniosła na mnie wzrok z olśniewającym łobuzerskim uśmiechem. - Cześć! Och, świetny zakiet. Oryginalny?

Skinęłam głową.

-W czym mogę pomóc?

Przypomniałam sobie nieuprzejme przyjęcie w „Mii” i „Vogue”. Tutaj było inaczej.

-Przyszłam w sprawie, hmm, pracy... - zaczęłam, trochę niepewnie.

- Och! Och, jak dobrze, że już jesteś - przerwała mi młoda kobieta. - Mam na imię Morticia. Miło cię poznać! Przyszłaś tak szybko! - Skoczyła na równe nogi i uściśnęła moją dłoń.

Była wysoka i wyginała się jak Olive Oyl, przyjaciółka marynarza Popeye'a. Miała mniej więcej tyle lat co ja i nie przypominała wcale matrony z *Rodziny Addamsów*, no może oprócz cery, bladej jak pergamin. Jej włosy były rude i rozczochrane, a nie czarne i proste. Żadnych powłóczystych ruchów. Żadnego Gomeza. Ta Morticia wyszła zza biurka z uśmiechem. Kiedy zobaczyłam minispódniczkę, prążkowane, nieprzezroczyście pończochy i martensy, jakaś część mnie natychmiast ją polubiła.

- Nie wyobrażasz sobie, jaki tu od rana panuje rozgardiasz! - zwróciła się do mnie. - Nie mogłam uwierzyć, gdy dostałam tę wiadomość. Myślę, że Skye będzie

chciała cię najpierw zobaczyć, a potem cię gdzieś ulokujemy.
A niech to! Musiałam jej przerwać.

- Nie jestem pewna, czy nie zaszła pomyłka - wyjaśniłam. - Chętnie spotkam się z naczelną, ale przyszedłam tu, bo szukam pracy. Nazywam się Pandora English. Właściwie nie byłam umówiona...

Zamilkłam. Morticia nie zwracała najmniejszej uwagi na moje słowa, zamiast tego prowadziła mnie w głąb biura, gdzie trwała prawdziwa praca redakcyjna. Pisanie. Redagowanie. Opracowanie graficzne. Naliczyłam pięć stylowo ubranych młodych kobiet i jednego mężczyznę pochylonych nad laptopami. Połowa z nich podniosła wzrok, gdy weszłam, a potem szybko wrócili do pracy.

-A propos, czy mówiłam, że mam na imię Morticia? -Tak. Fajne imię - odparłam.

- Możesz zacząć dzisiaj? - zapytała z zapalem. Skinęłam energicznie głową, a potem zatrzymałam się. To było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. -Chciałabym, ale...

- Mówisz po angielsku? Żadnych problemów z wizą? Wzruszyłam ramionami.

-Dobrze. Posłuchaj, Skye może wydać ci się... - zaczęła, ale zamilkła, kiedy na naszej drodze pojawiła się drobna, zadbana w każdym calu kobieta, jakieś dziesięć lat starsza od nas, i popatrzyła na mnie, mrużąc umalowane oczy. Przypominała zwiniętego w kłębek węża i, choć niewątpliwie była bardziej elegancka i wytworna niż Morticia czy ja, nosiła swoje ekskluzywne ubrania jak zbroję. Nie było w tym, ani w sposobie jej zachowania, odrobiny lekkości. Zastanowiłam się przez chwilę,

czy Celia nazwałaby to „modą” czy „stylem”, czy może ani jednym, ani drugim. Krótkie czarne włosy błyszczały, a jej usta stanowiły ciekawą barwną kreskę. Wokół nich zauważyłam zmarszczki gniewu.

-Skye, to jest Pandora - zaczęła Morticia, z głową pochyloną w kierunku modnych butów groźnej kobiety.

- Ma zastąpić Samantę. Czy to nie wspaniałe, że ma na imię Pandora? Pandora to twoje prawdziwe imię, prawda?

Przytaknęłam, niezwykle obrót wydarzeń sprawił, że byłam zdolna tylko do niemych gestów.

- Samanta - syknęła Skye DeVille. Z tonu jej głosu wywnioskowałam, że kobieta nosząca to imię popadła w niełaskę przed swym nagłym odejściem, a może to nagłe odejście spowodowało popadnięcie w niełaskę? Ciemne oczy redaktorki lustrowały mnie od stóp do głów niczym promienie rentgena. Szyderczy uśmiech pojawił się, gdy patrzyła na moje włosy i niewymanikiurowane paznokcie, lecz na szczęście, choć to nieprawdopodobne, chyba zdałam egzamin. (Dzięki, Celio).

- Aha, to ty jesteś tą nową dziewczyną - zauważyła. -Cóż, mamy pięć dni do zamknięcia numeru. Nie spóźniaj się, przynosź odpowiednią kawę. Samanta nie odróżniała chai latte od podwójnego espresso.

Chciałam się rozeźmiać, ale wyraz twarzy Morticii odwiódł mnie od tego. Skye zakończyła swój wywód, a teraz ja powinnam zrobić na niej wrażenie.

-Jest mi niezmiernie miło panią poznać - odparłam, zbierając całą swoją odwagę. - Zapewniam panią, że jestem właściwą osobą na to stanowisko. Nigdy się nie spóźniam i jestem gotowa wykonać każde zadanie, jakie mi pani przydzielili - szperałam w teczce, aż wyciągnęłam z niej CV. - Proszę, oto moje CV.

Skye uniosła brew. Nie wzięła kartki, którą jej podałam. Temperatura w redakcji wyraźnie spadła. Wpatrzyłam się w swoje buty, a cała moja odwaga wyparowała. Ta kobieta była jak Meduza, mogła zamienić mnie w kamień, gdybym spojrzała jej w oczy.

-Wypełnij to. - Redaktorka wskazała na stos formularzy leżący na biurku. Uniosłam wzrok na tyle, by zobaczyć, co ma na myśli. - Morticio, wyjaśnij tej dziewczynie, na czym polega papierkowa robota.

Powiedziawszy to, odwróciła się na obcasach od Prądy i zniknęła w swoim biurze. Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Zauważyłam, że pozostali pracownicy redakcji przyglądali się nam z (bezpiecznej) odległości. W biurze zapadła najpierw grobowa cisza, lecz chwilę później wszyscy wrócili do pracy.

Zaschło mi w ustach.

-To jest twoje biurko - powiedziała cicho, niemal szeptem, Morticia. Zaprowadziła mnie do skromnego boksu. Właściwie był to półotwarty boks naprzeciw biura Skye. - Umiesz parzyć kawę? - zapytała.

Po prostu świetnie.

-Tak - odparłam. - Umiem.

Gdybym była bardziej niezależna, dumna i miała więcej kontaktów w tym mieście, mogłabym wejść tam i powiedzieć Skye, gdzie może sobie wsadzić swoje chai latte. Ale nie byłam taka.

-Mam zacząć od razu? - zapytałam więc, nie do końca wierząc w swoje szczęście. Wolałam codziennie spotykać się z Meduzą, niż wrócić do Gretchenville.

-Musisz zacząć od razu - odpowiedziała Morticia, jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie. - Cieszę się, że odpowiedziałas na ogłoszenie tak szybko.

Doskonale się nadajesz. Nie byłaś karana, prawda? Nie jesteś nielegalną imigrantką? -Nie, skądże.

- Świetnie. Och, pewnie będziesz chciała usunąć rzeczy Samanty z biurka - powiedziała przepaszająco.

Skinęłam i otworzyłam pierwszą szufladę. Znalazłam drażetki i nieotwarte listy.

Cóż, od czegoś trzeba zacząć.

Rozdział 7

Po południu, w pierwszym dniu mojej pracy w roli skromnej asystentki, do redakcji „Pandory” przyniesiono dziwną paczkę.

Połknęłam naprędce niesmacznego sandwicza o nazwie „Reuben” z pobliskich delikatesów i właśnie przygotowywałam kawę dla Skye, gdy przybył kurier. (Redaktor naczelna była napędzana wyłącznie kofeiną. Serio. Od takiej ilości kawy i herbaty zakręciłoby mi się w głowie). Usłyszałam dźwięk dzwonka i patrzyłam, jak wchodzi, spocony i przemoknięty, niosąc zawieszoną na szyi ciężką torbę. Morticia podpisała potwierdzenie odbioru i, gdy tylko wyszedł, odwróciła się i skinęła na mnie, wyciągając obładowane ręce w moim kierunku. Paczki w formacie A4 zawierały, jak sądziłam, wydania konkurencyjnych magazynów albo zwroty. Oprócz nich jednak trzymała małe, wyglądające na ciężkie pudełko zawinięte w brązowy papier.

Dziwne.

Znów miałam jedno z moich dziwnych przeczuć. Zdawało mi się, że to pudełko - cokolwiek w nim było - niepostrzeżenie wysysało życie z powietrza. Staralam się, jak mogłam, zignorować to uczucie, ale nie chciało mnie opuścić. Spojrzałam na twarz Morticii, by sprawdzić, czy ona też wyczuła coś dziwnego w trzymanej

paczce. Najwyraźniej jednak nie. Morticia popatrzyła na mnie.

- Nic ci nie jest? - zapytała. - W porządku - odparłam.

Zawahałam się ponownie, a potem wzięłam od niej przesyłki z pudełkiem leżącym na górze, czując wewnętrzny opór przed dotykaniem go.

- Co w tym jest? - spytałam Morticię.

- Nie wiem. Pewnie jakieś próbki - wyjaśniła. - Skye dostaje mnóstwo takich rzeczy do testowania, zanim trafią na rynek. Ludzie od reklamy przysyłają jej wszystko. Zdaje się, że czeka na nowy krem do twarzy, który ma być od jutra w sprzedaży. Mówią, że jest lepszy niż lifting, nie chodzi o to, że go potrzebujemy, ale z tego, co słyszałam, będzie hitem! Gwiazdy za oceanem już go używają.

- Naprawdę? Kto? - pytałam podekscytowana. Morticia wykrzywiła usta.

- Nie wiem. Ci naprawdę sławni.

- Och - powiedziałam.

- Miejmy nadzieję, że to będzie hit, bo inaczej polecą głowy. Robimy im dużą promocję, a Skye nawet nie dostała jeszcze swojej próbki.

Morticia pochyliła się i obróciła pudełko, by spojrzeć na adres nadawcy.

- Bingo! „Krew młodości”. Nareszcie! W ramach transakcji związanej robimy dużą sesję z ambasadorką tej marki - niezłą laską, tak przy okazji - rozdajemy próbki i takie tam. Gdyby Skye nie dostała swojej tubki cudownego kremu... cóż...

- Wyobrażam sobie. *Dajcie kobiecie jej krem* - wyrecytowałam z uczuciem, jakby chodziło o dawkę ratu-

jącej życie penicyliny. Opierałam się nazywaniu naszej szefowej Meduzą. Poza tym prawdziwa Meduza nie była winna temu, że stała się potworem. To klątwa gniewnej i zazdrosnej Ateny zmieniła ją w przerażającą Gorgonę, a nie sądziłam, by wybuchowość Skye była skutkiem klątwy bogów.

- Dajcie kobiecie jej krem! - wykrzyknęła Morticia i śmiałyśmy się, aż minęło napięcie.

-To śmieszne - dodałam. - Ale moja cioteczna babka wygląda naprawdę dobrze jak na swój wiek. Właściwie, podejrzanie dobrze. Może stosuje to coś - zażartowałam. Chociaż, nie do końca.

- Może jest wampirzycą! - zażartowała Morticia. Uniosła rękę nad głowę, niczym pazury potwora, wytrzeszczyła oczy i zawyła, żeby osiągnąć lepszy efekt.

Pomyślałam o moim koszmarze i ugryzłam się w język.

-Słuchaj, lepiej zanieś Skye tę próbkę „Krwi młodości”, gdy tylko wróci z lunchu - poradziła Morticia. -Wprawi ją to w dobry nastrój. - Spojrzała na zegarek, zabawny plastikowy Swatch z fluorescencyjnymi detalami w stylu lat osiemdziesiątych, i wydeła usta. - Już po pierwszej. Powinnaś przygotować jej odtłuszczone chai latte i poukładać przesyłki. Ona lubi, gdy wszystko jest porządnie poukładane.

Skinęłam głową.

- Rozumiem. - Miałam szczęście, że Morticia dobrze znała przyzwyczajenia Skye i chętnie się tą wiedzą dzieliła. - Czekaj - dodałam. - Kiedy wychodziła na lunch, zdawało mi się, że powiedziała, że chce odtłuszczone latte, a nie odtłuszczone chai latte?

Morticia uniosła brwi, jakby zamierzała powiedzieć: „A chcesz zaryzykować?”. Szczerze mówiąc, nie chcia-

łam. Pomaszerowałam z powrotem do redakcji i ułożyłam stertę przesylek na moim biurku. W małej kuchence, znajdującej się obok mojego boksu, zaczęłam przygotowywać odtłuszczone chai latte, oprócz już gotowej odtłuszczonej latte. Przez cały czas wędrowałam jednak wzrokiem w stronę pudełka na moim biurku. Dziwne uczucie było tak samo silne jak wcześniej: uczucie, że coś jest nie tak. Było tak silne, aż dziwiłam się, że nikt tego nie zauważył.

To wszystko jest w twojej głowie. Nie bądź wariatką.

Musiałam pamiętać, że mam żywą wyobraźnię, a na taką wyobraźnię nie było miejsca tu, w pracy.

-Kolegium redakcyjne u mnie, za pięć minut! - Na ten wrzask aż upuściłam łyżeczkę do herbaty.

Moja szefowa wróciła i - o rany! - zrobiła to tak, aby wszyscy o tym wiedzieli. Gwar rozmów momentalnie ucichł i wszyscy w pośpiechu zerwali się z biurka. Kilka minut później tłoczyli się w gabinecie Skye, ściskając w dłoniach notatniki, laptopy i papiery. Zebrałam się w sobie, odsunęłam myśli o paczce i podeszłam do otwartych drzwi. Zapukałam i usłyszałam ogłuszający krzyk:

- Co tam?

Tak, to była ona. Skye.

Grzeczność nic nie kosztuje - napisał kiedyś Cervantes. Skye najwyraźniej nie podzielała jego opinii. Ja jednak nie mogłam sobie na to pozwolić.

-Zanim zaczniecie - powiedziałam uprzedzająco uprzejmie - chciałaś herbatę czy kawę?

- Odtłuszczonej chai latte - zażądała Skye, aja rozplynęłam się w uśmiechu.

- Proszę bardzo - lewą ręką podałam jej filizankę. -

Kurier przywiózł też przesyłki dla ciebie. Myślę, że to próbka „Krwi młodości” - i wręczyłam jej pudełko. Nieźle mi idzie, pomyślałam, jak na pierwszy dzień pracy. -Owocnego zebrania.

Skye stała, trzymając herbatę w jednej dłoni, a długo wyczekiwaną przesyłkę w drugiej. Z jej wąskich pastelowych ust wydarło się pełne uznania „Hm”. Przez ułamek sekundy przyglądała mi się, mrużąc oczy, po czym odłożyła oba przedmioty na biurko i kontynuowała zebranie. Żadnego „dziękuję”. Ani nawet „do widzenia”.

Wymknęłam się z pokoju. Zdążyłam jeszcze zauważyć, jak zylasta blondynka zrywa papier pudełka, a także usłyszeć okrzyk: „Cudownie!”.

- Garcia mówi, że sesja z Atanazją poprzedniej nocy poszła naprawdę dobrze - odezwał się jeden z mężczyzn. - Jest bardzo s. Mamy szansę na dobrą okładkę. Garcia właśnie przegrywa materiał na komputer, a Atanazją ma przyjść po południu zaakceptować ujęcia.

-Termin nas goni... - to były ostatnie słowa, jakie usłyszałam, zanim zamknęłam drzwi gabinetu.

Usiadłam przy swoim biurku.

I odetchnęłam.

O godzinie siedemnastej trzydzieści zimowe słońce za oknami redakcji „Pandory” w SoHo zaczęło zachodzić. Obserwowałam, jak niebo staje się czerwone, a potem ciemniejsze. Lampy w biurze świeciły nienaturalnym światłem, w którym wszyscy wyglądaliśmy blado. Swój pierwszy dzień pracy w Nowym Jorku spędziłam, przygotowując sporo gorących napojów (przyzwyczajałam

się do roli baristy) i monotonnie i ogłupiająco segregując dokumenty. Gdy mieszkałam jeszcze w Gretchenville, nie tak to sobie wyobrażałam, ale przynajmniej była to praca w mediach.

Przez pół dnia zajmowałam się stosami różnych rzeczy pozostawionymi przez moją poprzedniczkę. Jedną z nich były nieposegregowane dokumenty, całe mnóstwo, drugą - śmieci, a ostatnią mieszanka wszystkiego. Znalazłam pióra i ołówki, spinacze, opaskę do włosów, zabłąkaną szminkę (nie mój kolor), kilka monet i częściowo podarte zdjęcie młodej kobiety z jakąś krewną. Zdjęcie było pogniecione i zagięte na kształt portfela, pomyślałam, że to Samanta z matką. Między kobietami na zdjęciu widać było pewne podobieństwo - kręcone blond włosy, duże niebieskie oczy i okrągłe twarze. Włosy miały też podobnej długości - prawie do ramion. Jeśli to była Samanta, to wyglądała na miłą dziewczynę i, oczywiście, bardziej niż ja naddążającą za modą - choć, dzięki pomocy Celi, zaczynało się to zmieniać. Moja poprzedniczka była w moim wieku. Zastanawiałam się, co się z nią stało.

Zebrałam swoje rzeczy. Był już czas, bym poszła do domu podziękować Celi za jej osobliwą sugestię. Znów zaczęłam się zastanawiać, kim była kobieta, która przyjęła mnie pod swój dach. Dlaczego mnie zaprosiła? Dlaczego teraz? Na czym polegał sekret jej młodzieńczego wyglądu? W jakim dziwnym, opuszczonym domu mieszkała. Cóż, nie całkiem opuszczonym. Czy przystojny porucznik Luke odwiedzi mnie po raz trzeci? Przyłapałam się na myśli, że bardzo bym tego chciała.

-Ależ jestem podekscytowana, że Atanazja ma tutaj przyjść - oznajmiła Morticia, kręcąc się przy moim

biurku po zakończeniu pracy. - Będzie tu już za chwilę. Jestem tak podekscytowana, że zaraz pęknę z wrażenia!

Oślupiałam.

- Atanazja?

- Atanazja supermodelka!

Och. Zatem nie tylko mnie rodzice dali dziwne imię. Dzięki książkom, które zostały mi po matce, wiedziałam co nieco o starożytnej mitologii i imionach. Słowo „Atanazja” pochodziło z greckiego i znaczyło „Nieśmiertelna”. Było niewątpliwie lepsze od Pandory. Morticia najwyraźniej została w pracy dłużej - mając nadzieję zobaczyć choć przez chwilę Atanazję, swoją idolkę.

-Zawsze się zastanawiałam, skąd ta nazwa „super-modelka” - odważyłam się powiedzieć. - Jakie specjalne moce mają supermodelki, w przeciwieństwie do nie- supermodelek?

Mają promienie rentgena w oczach, a może strzelają z oczu laserami?

Morticia wzruszyła ramionami.

- Są piękniejsze i bardziej popularne, jak sądzę. Przytaknęłam.

- Pewnie masz rację.

Byłam trochę ciekawa uroku ulubionej supermodelki Morticii, o ile ta miała zamiar w ogóle się pojawić. Atmosfera w redakcji gęstniała z każdą chwilą, a modelka nie przychodziła, by zaakceptować projekt okładki. Z całą pewnością wszyscy byli przejęci. Niewiele wiedziałam o modelkach, czasopismach i sesjach zdjęciowych, ale wydawało mi się, że ta modelka musiała być wyjątkowa, skoro miała prawo akceptować zdjęcia. A może po prostu miała dobrego agenta? Może na tym polegała jej

supermoc? Wyglądało na to, że większość z obecnych w biurze pracowników czekała na tę jedną spóźniającą się osobę. *Och...*

Zadźwięczał dzwonek i wszyscy podnieśli głowy. Cała redakcja „Pandory” zaniechała swej pośpiesznej pracy, plotek i innych spraw i wlepiła wzrok w wysoką osobę wchodzącą przez drzwi. Pole energetyczne zmieniło się w jednej chwili, zupełnie jakby nagle do biura wkroczył tygrys.

Do licha, jest przepiękna.

To z pewnością była supermodelka. Zdaję sobie sprawę, że całkowicie zbędne jest podkreślanie, że zawodowa modelka jest piękna. To przecież podstawowa cecha w tym zawodzie. Ale ta naprawdę była piękna. Trudno było określić jej wiek, miała posągową urodę i białą jak śnieg cerę. Błyszczące i gęste kasztanowe włosy opadały na jej ramiona, wijąc się niczym śliskie węże. Miała pełne usta, karminowe i ponętne, a szeroko rozstawione kocie oczy nadawały jej twarzy uderzający, niemal nieziemski wygląd. Jej ciało było smukłe i gibkie, z talią osy, jeszcze węższą niż moja. Nosiła modne dzinsy rurki, podkreślające kształt długich nóg, do tego obcisłe skórzane kozaczki do połowy łydek i futurystycznie skrojoną czarną, skórzaną kamizelkę, uwydatniającą jej kobiecą talię i smukłe ramiona. Wokół szyi błyszcziała niecodzienna biżuteria.

O Boże.

Nie było w tej dziewczynie nic cukierkowego. Miała osobowość.

„Mimożą to ona nie jest” - powiedziałyby ciotka Georgia i wiem, że to zabrzmiałoby dziwnie, ale nie dało się patrzeć

na te usta, nie myśląc o ich całowaniu. Nie zrozumcie mnie źle. Wolę mężczyzn. (I to zdecydowanie. Co nie znaczy, że miałam ich wielu w Gretchenville). Ale było w niej coś - wiedziałam, że pozostali w redakcji myślą o tym samym, co ja.

Mrugnęłam kilka razy, próbując zapanować nad myślami. Stojąca obok mnie Morticia niemal drżała z podniecenia. Wyglądała, jakby za chwilę miała zemdleć z wrażenia.

- Nazywam się Atanazja - padło w ciszy i Morticia natychmiast ruszyła w jej kierunku, a ja pośpieszyłam do gabinetu Skye, zawiadomić ją, że długo wyczekiwana modelka z okładki w końcu przybyła, by zaakceptować zdjęcia.

Zapukałam. -Tak?

- Przyszła Atanazja - powiedziała przez drzwi. Skye otworzyła błyskawicznie, niemal uderzając mnie

w głowę (co z pewnością by mi się przydało, żeby wytrącić mnie z tego dziwnego odrętwienia), i przemknęła obok mnie z nietypowym dla niej uśmiechem na twarzy.

Przyglądając się z drugiego końca biura Atanazji, stojącej w charakterystycznej dla modelek pozie - z ręką na biodrze - pomyślałam, że zdjęcia wyszły naprawdę dobrze i wkrótce ta modelka znajdzie się na okładce nowego numeru „Pandory”, dzięki czemu nakład rozejdzie się błyskawicznie. I może dzięki promocji kremu „Krew Młodości” w naszym piśmie wzrośnie jego sprzedaż, a Skye będzie mogła go używać po wsze czasy. Czy tak to działało? Czy to dzięki niemu Skye wyglądała tak świeżo dziś po południu? Widziałam, jak po lunchu malowała się w toalecie; był już wieczór, a jej

cera - nawet w niekorzystnym świetle - była nieskazitelna, choć dzień dostarczył Skye sporo stresu. Właściwie wyglądała zdecydowanie lepiej, niż gdy ją zobaczyłam pierwszy raz. Czy to możliwe?

Rozpromieniona Skye poprowadziła Atanazję do swojego gabinetu. Morticia przez chwilę szła za nimi, prawdopodobnie żeby być bliżej supermodelki. Jej zwykle ożywiona twarz zastygła w niemym wyrazie szacunku.

Kiedy supermodelka mijiała moje biurko, poczułam zimną obojętność. Potem jej nozdrza rozszerzyły się, a ona spojrzała na mnie tak, jakby mój zapach ją zaskoczył.

Śmierć.

Zamarłam. Te oczy zdawały się czarne - jej wzrok był bardziej zabójczy niż ten należący do mitycznego bazyliuszka, unicestwiającego ludzi jednym spojrzeniem. Bardziej zabójczy niż wzrok paralizującej Meduzy. *Śmierć* - pomyślałam znowu, a myśli tej towarzyszyły okropne wizje - krew płynąca niczym atrament. Krzyki. Przerazenie.

Zadrżałam. Atanazja oderwała ode mnie badawcze spojrzenie i wślizgnęła się do gabinetu za Skye. Drzwi zamknęły się za nimi. Nasze oczy spotkały się zaledwie na kilka sekund, lecz ta wymiana spojrzeń zraniła mnie. Byłam wstrząśnięta. Spuściłam wzrok i zobaczyłam swoje pięści zaciśnięte tak mocno, aż zbieleły mi kłykcie. Nerwy miałam napięte jak postronki, jakbym dopiero co uniknęła potrącenia przez samochód albo zmiżdżenia przez gigantycznego tyranozaura. Nie mogłam uwierzyć, że zaledwie sześćdziesiąt sekund wcześniej byłam skłonna pocałować to stworzenie. Poczułam dezorientację i falę mdłości. O co tu chodziło?

- Jasna cholera, spojrzała na ciebie - wyszeptała Morticia.

Z całą pewnością.

- Dlaczego masz taką obsesję na jej punkcie? - warknęłam.

Biedna Morticia cofnęła się, jakbym ją uderzyła.

- Nie uważasz, że jest niesamowita? *Niesamowita, tak. Ale...*

- Myślę, że jest piękna - przyznałam ostrożnie. - Ale nie wydaje ci się odrobinę... zimna?

„Zimna” było zdecydowanie nieodpowiednim słowem, by wyrazić to, co poczułam, ale nie umiałam znaleźć innego, nie ryzykując nazwania mnie wariatką.

- Nie dbam o to. Jest doskonała - odparła Morticia, przyjmując pozycję obronną.

Nie drażyłam tematu. Dlaczego miałam się przejmować, czy kogoś zauroczyła jakaś supermodelka, która spojrzała na mnie, jakby chciała zamienić mnie w kamień? Nie wiem nawet, dlaczego uznałam ją za wroga nastawioną. No dobrze, może nie była zbyt miła. Kogo to obchodziło? A może po prostu byłam o nią zazdrosna.

Ale...

Było coś jeszcze. Krew. Ciemność. Zdałam sobie sprawę, że usiłuję wyperswadować sobie to, co wtedy poczułam, ale cokolwiek to było, było bardzo potężne i groźne.

- Chyba już pójdę do domu - powiedziałam. - Zostajesz? - spytałam, ale chciałam, żeby zaprzeczyła. Przyłapałam się na myśli, że byłoby lepiej dla Morticii, gdyby wyszła z biura.

- Mam jeszcze coś do zrobienia - skłamała Morticia, unikając mojego spojrzenia. Wiedziałam, że chciała być blisko Atanazji. Prawdopodobnie uraziłam ją, sugerując, że jej idolka supermodelka nie jest tego warta.

- W porządku, cóż, wyluzuj - odparłam, chwytając

swoją teczkę. (W której wciąż nie było żadnych zleceń, ale w końcu był to mój pierwszy dzień...). Następnego dnia miałam zacząć pracę o dziewiątej trzydzieści, co wydawało się przyzwoitą godziną. - Do zobaczenia jutro, Morticio - pożegnałam się. - Dziękuję za pomoc dzisiaj. Jesteś naprawdę miła. Mam nadzieję, że... pójdziesz wcześniej spać.

Rozdział 8

Kiedy wyszłam z pracy, poczułam się tak zmęczona i głodna, że wolałam zatrzymać pierwszą wolną taksówkę na ulicach SoHo, niż iść piechotą w ciemnościach. Choć znalezienie „pierwszej wolnej” zajęło mi trochę czasu. Mieszkając w Grechenville, nie miałam zielonego pojęcia o godzinach szczytu, tak więc po upływie dwudziestu frustrujących minut, gdy w siąpiącym deszczu przemierzałam ulicę za ulicą, nie marzyłam już o niczym innym, jak tylko o powrocie do mojego nowego komfortowego domostwa.

- Och, błagam, tylko jedna taksówka - wymamrotałam, niemal gotowa się poddać.

I właśnie wtedy, pół metra od miejsca, w którym stałam, zatrzymała się żółta taksówka, z której wysiadał pasażer. Gdy tylko zapłacił, złożyłam mokrą parasolkę i wsunęłam się na tylne siedzenie.

- Dziękuję - powiedziałam z wdzięcznością, siadając wygodnie.

Taksówka była dość czysta i unosił się w niej zapach sosny z odświeżacza wiszącego pod lusterkiem wstecznym. Między tylnym i przednim siedzeniem umieszczono grubą szybę z tworzywa, a fotel kierowcy okrywał włochaty pokrowiec.

- Do Spektor poproszę - powiedziałam.

- Słucham? - zapytał kierowca z lekkim akcentem. Był to starszy mężczyzna, lekko łysiejący na czubku głowy, choć usiłował to ukryć uczesaniem „na pożyczkę”. Mówiono mi, że wielu nowojorskich taksówkarzy jest nieuprzejmych, lecz ten wydawał się miły, choć może trochę niedosłyszał.

- Proszę mnie zawieźć do dzielnicy Spektor - powtórzyłam, spoglądając w blade, jakby sprane oczy patrzące na mnie pytająco w lusterku wstecznym. - To na Upper West Side - wyjaśniłam. - Tylko zdaje mi się, że musi się pan kierować wzdłuż wschodniej części, żeby przejechać tunelem przez Central Park. - Tą drogą wiozł mnie szofer, i tamtędy też szłam piechotą.

W lusterku zobaczyłam, jak taksówkarz marszczy krzaczaste szare brwi.

-Nigdy nie słyszałem o takiej ulicy, proszę pani -odparł - a jeżdżę tu taksówką od dwudziestu dwóch lat.

Powstrzymałam się od zrobienia wielkich oczu.

- Spektor to dzielnica, nie ulica - poprawiłam go, lecz w jego oczach wciąż widziałam zagubienie. - Po prostu proszę jechać na przedmieścia. Mogę prosić o mapę?

- Nie ma takiej dzielnicy na Manhattanie, mówię pani - powtórzył kierowca, teraz już trochę rozdrażniony. Wciąż staliśmy przy krawężniku.

- Nieważne - odparłam cierpliwie. - Czy mógłby pan ruszyć i podać mi mapę?

Przez szparę w szybie rzucił na siedzenie obok mnie ciężki przewodnik. Trafił mnie w dłoń, co odczułam boleśnie.

Cóż. *to nie było mile* - pomyślałam. Przerzucałam strony i, ku memu rozczarowaniu, nie mogłam znaleźć Addams Avenue ani Spektor. *Och, daj*

spokój - pomyślałam. Spędziłam długi dzień w Nowym Jorku, w nowym miejscu pracy, i zaczynałam czuć zniecierpliwienie na myśl o samotnym przebywaniu poza domem, w ciemnościach. Harold i Celia ostrzegali mnie przed tym. Co będzie, jeśli nie znajdę dzielnicy na tej mapie, tak jak nie mogłam jej znaleźć na mojej? Albo jeśli taksówkarz nie będzie chciał mnie tam zawieźć? Czy będę musiała wrócić do redakcji „Pandory”, stanąć twarzą w twarz z Atanazją i moją nową szefową po to, by zamówić kolejną taksówkę? Co za upokorzenie.

-Przecież musi to tu gdzieś być... wiem, że to znajdę - zrozpaczona mamrotałam cicho.

I w tym momencie znalazłam. Odetchnęłam z ulgą i odprężyłam się. Zaznaczyłam stronę i podałam mu triumfalnie z powrotem.

-O, tu jest, proszę - powiedziałam tak uprzejmie, jak tylko potrafiłam, wskazując taksówkarzowi punkt na mapie. - Proszę mnie zawieźć na Addams Avenue w Spektorze.

Tyle strachu na nic...

Bez słowa umieścił otwartą mapę na siedzeniu obok i ruszył. Na sąsiednim pasie zobaczyłam długi czarny samochód, podobny do tego, którym jeździł szofer Celi, i zadałam sobie pytanie, ile jest w mieście bogatych osób, których stać na taki luksus. Kiedy zatrzymał się na kolejnym skrzyżowaniu, chwycił plan miasta z westchnieniem.

- Zobaczmy - powiedział, niezbyt przekonany. Ale kiedy spojrział na mapę, zmienił ton. - A niech mnie. Hmm.

Pojechaliśmy do Central Parku, przez tunel i zapadającą ciemność do dzielnicy Spektor. Pomimo nieregularnie rozstawionych latarni powietrze wydawało się

gęstsze, a taksówkarz zwolnił i pochylił się do przodu, by przez przednią szybę oglądać ciche budynki. Nic nie mówił, ale czułam, że zastanawiał się, jak można mieszkać w takiej okolicy. Musiałam przyznać, że wyglądała ona trochę złowieszczo tej nocy. Kiedy mijaliśmy sklep Harolda, zdziwiłam się, widząc, że jest zamknięty. Był ciemny i wyglądał na opuszczony. Wydawało mi się, że Harold mówił, że ma zawsze otwarte? Chciałam wpaść tam dziś i odebrać ser, który mi obiecał. Uwielbiałam krakersy z serem. Moje pocieszacze. Miałam nadzieję, że nie stało się nic złego, co skłoniło Harolda do zamknięcia. Wywarł na mnie sympatyczne wrażenie, mimo że był zielony.

Taksówka zatrzymała się przy domu Celi, nad którego wejściem wisiała mała żółta latarenka. Kierowca uprzejmie zaczekał, aż otworzę najeżoną kolcami żelazną bramę i ciężkie drewniane drzwi, a potem odjechał. *Szybko.*

Jeśli otwarcie ciężkich drzwi w starym neogotyckim wiktoriańskim budynku wymagało jakiejś sztuczki, to najwyraźniej się jej nauczyłam. Zakładając, że drzwi będą sprawiać kłopoty, w kilku słowach dodałam sobie otuchy i pchnęłam je z całej siły. Prawie przewróciłam się, wpadając z impetem do środka, gdy drzwi, dla odmiany, otworzyły się z łatwością. A potem zamknęły się za mną. Cóż, tym razem nie było to trudne. Uśmiechnęłam się triumfująco, idąc po płytkach, i nie mogąc się doczekać, kiedy podzielę się dobrymi wieściami z Celią. Będzie zadowolona, że jej rada okazała się tak przydatna. Niemal nie zwracałam uwagi na pajęczyny, kurz i połamane żelazne ozdoby, oraz migotanie niegdyś majestatycznego kandelabru nad moją głową. Byłam w po-

łowie drogi na górę, gdy zamarłam, porzucając swoje rozmyślenia.

Usłyszałam dźwięk dochodzący spod podłogi.

Nastawiłam uszu i skupiłam wzrok na płytkach pod moimi stopami, wstrzymując oddech i ściskając teczkę w pobielających dłoniach. Poczułam, jak jeżą mi się włosy na karku.

Co to było?!

Ruch poniżej. Drgnięcie? Skrzypienie? Szuranie? Śpiew? Co usłyszałam? Wydawało się, że nie da się tego opisać w moim języku, lecz dopóki nie zidentyfikowałam dźwięku, ten działał mi na nerwy. Zdawało mi się, że poza mną, Celią i kotką Freją nie było tu nikogo. Czyżbyśmy się myliły? Poczułam zimno w brzuchu.

K-k-k-r-a-a-k. S-s-s-z-z-z-k.

Wciąż wpatrywałam się w płytki szeroko otwartymi oczami, ale podłoga nie rozstała się, by ściągnąć mnie w otchłań piekielną lub ciemną przepaść. Nic się nie stało. W budynku zapadła cisza, a ja stałam nieruchomo w holu. Może budynek po prostu osiadł? A może ktoś był w piwnicy? Moja wyobraźnia zaczęła brać górę. W sumie to nic dziwnego, że stary budynek trzeszczy. *Denerwujesz się tą przeprowadzką do dużego miasta* -wytłumaczyłam sobie i ruszyłam w kierunku windy.

Kiedy wjechałam na piętro i stanęłam przed drzwiami Celi, przypomniałam sobie że muszę zapukać. Ulżyło mi, że byłam już w „domu”. Odeгнаłam myśli o dźwiękach rzekomo dobiegających spod podłogi (zapewne wyobraziłam je sobie), o supermodelce w redakcji „Pandory” (po prostu niezbyt miłej supermodelce, ale jakie to miało znaczenie?) i dziwnej paczce od kuriera (znów moja żywa wyobraźnia). Teraz byłam w stanie myśleć

tylko o tym, jak to wspaniale, że moja cioteczna babka wiedziała, że powinnam ubiegać się o posadę w redakcji pisma noszącego moje imię. Dzięki temu już drugiego dnia mojego pobytu w Nowym Jorku znalazłam pracę w mediach. To najlepsza rekompensata za odrzucenie w „Mii”.

Zapukawszy, odczekałam kilka sekund, po czym otworzyłam drzwi.

- Celio, wróciłam - przywitałam się.

Weszłam do apartamentu z uśmiechem na ustach i zobaczyłam Celię na jej zwykłym miejscu, w fotelu, oświetloną przez małą lampkę do czytania. Okna były zasłonięte. Tym razem czytała z twarzą zakrytą woalką. Zdjęła buty i oparła nogi na podnóżku, elegancko je krzyżując. Freja spała zwinięta w kłębek obok jej stóp. Wyczuwszy moją obecność, uniosła głowę i spojrzała na mnie.

Nie mogłam się doczekać, aż podzielę się z nią nowinkami.

-Ciociu Celio, skąd wiedziałaś? - zapytałam. Zdjęłam mój zimowy szal, położyłam teczkę i parasol przy drzwiach wejściowych i podeszłam do niej, po drodze przypominając sobie o zdjęciu butów. - Zatrudnili mnie od razu! Nie mogłam w to uwierzyć!

Celia zaznaczyła stronę dużą zakładką w kształcie pióra i odłożyła książkę na poręcz skórzanego fotela.

-Zatem dziś wszystko poszło dobrze? - zapytała i uśmiechnęła się do mnie zza woalki.

-Jak nigdy! - Zsunęłam z ramion żakiet Chanel i ostrożnie przełożyłam go przez ramię. Celia wciąż siedziała w fotelu, w eleganckiej pozie. - Jesteś wprost niesamowita - zachwyciłam się. - Skąd wiedziałaś, że pilnie kogoś potrzebują?

Cioteczna babka uśmiechnęła się zagadkowo.

- Dziękuję. Dziękuję - powtarzałam. Gdyby nie zasugerowała mi tego czasopisma, kto wie, jak długo jeszcze szukałabym pracy? Ile dni odmowy i odrzucenia musiałabym przetrwać? Na jak długo wystarczyłyby mi moje nędzne oszczędności? Dzisiejszy przejazd taksówką do domu kosztował mnie więcej niż dwa obiady w restauracji w Gretchenville.

-Nie ma za co, kochana Pandoro. Powiedzmy, że był to szczęśliwy traf - odpowiedziała Celia.

-Miałaś rację. Wprost nie mogę uwierzyć w swoje szczęście - odparłam.

Oczywiście, nie łudziłam się, że moja praca będzie łatwa. Skye DeVille wyglądała na trudną osobowość.

- Za kilka dni muszą oddać nowy numer, więc wszyscy są nieco zestresowani. Może tak jest co miesiąc? Nie wiem. Spotkałam dziś modelkę z okładki nowego numeru - dodałam, myśląc o Atanazji. - Wyglądała dość... niecodziennie.

- Naprawdę? - Celia zdjęła stopy ze skózanego podnóżka.

Widziałam, że jest ciekawa ciągu dalszego, ale co miałam powiedzieć? Że naprawdę piękna modelka krzywo na mnie spojrzała?

- Hm, ciociu Celio, czy mieszka tutaj ktoś jeszcze? -zapytałam, zmieniając temat.

Uniosła głowę.

-Nie, Pandoro, nikt inny tu nie mieszka - odparła. -Tylko my trzy - skinęła na Freję, która spoglądała leniwie w moim kierunku, opierając mordkę na białych łapach.

- Nikt nie mieszka w piwnicy? - musiałam się upewnić.
Zdawało mi się, że uśmiechnęła się lekko zza woalki. -Nie ma tam żywego ducha. Dlaczego pytasz, Pandoro?
-Och, tak, bez powodu - odpowiedziałam szybko, żeby ukryć zdenerwowanie. - Byłam po prostu ciekawa. W każdym razie, nie mogę uwierzyć, że przyjęli mnie od razu. Dziękuję za dobrą radę.
-Ja też się cieszę, Pandoro - powiedziała Celia. -Myślę, że będziesz zaskoczona, ile możesz osiągnąć, kiedy się postarasz.

Rozdział 9

Następnego ranka znów poszłam do redakcji „Pandory”. Byłam podekscytowana, choć zdawałam sobie sprawę, że nie jest to moja wymarzona praca. Jeszcze. W myślach już planowałam, jak zaprezentować Skye moje umiejętności dziennikarskie i porzucić stanowisko gońca i osobistego baristy naczelnej.

Ku mojemu zdziwieniu Morticia postawiła na moim biurku płaski monitor komputera i bezprzewodową klawiaturę.

-Samanta używała tego przez jakiś czas - powiedziała - zanim dostała służbowy laptop.

- O rany. Komputer.

- Pożyczyłam sobie, kiedy Samanta dostała laptop -przyznała zawstydzona Morticia. - Wciąż go zresztą nie zwróciła. Powinien ci na razie wystarczyć. Założyłam ci konto mejlowe, a tu masz hasło do sieci bezprzewodowej - dodała i zapisała je na fioletowej karteczce samoprzylepnej z rysunkiem pajęczej sieci w rogu.

Przypomniały mi się pajęczyny w budynku Celi.

-Wiesz, jak tego używać? - zapytała.

Dość dobrze znam się na komputerach, a poza tym szybko uczę się nowych rzeczy. Miałam dostęp do komputera w gabinecie ciotki Georgii. Co prawda, jej monitor przypominał ekrany starych kineskopowych od-

biorników telewizyjnych. Na dodatek łączyła się z internetem przez sieć telefoniczną. Czekając, aż się załadują strony, mogłam czytać książki i często tak robiłam. Jednakże nawet takie połączenie było lepsze niż żadne, internet był moim oknem na świat; pozwalał uciec z tego małego miasta. Surfowałam po stronach informacyjnych, blogach o modzie, czytałam o ulubionych pisarzach i filmach. Komputer, który stał na moim biurku, był elegancki i nowoczesny. Już cieszyła mnie możliwość sprawdzenia niektórych informacji w sieci - między innymi na temat odzieżowych trendów vintage do artykułu, który chciałam napisać, informacji o supermodelce Atanazji i cudownym kremie, który reklamowała.

- Dam ci znać, jeśli nie będę czegoś wiedziała - odpowiedziałam. - Dzięki, Morticio. Jest świetny. Doceniam, że postanowiłaś mi go przekazać.

- Jasne. - Morticia mrugnęła. - Nie ma za co. - A jak poszło wczoraj? - musiałam zapytać. - Z Atanazją?

W tym momencie Morticia wzięła głęboki oddech.

- Och, czyż nie jest piękna? - zapytała, kierując swoje słowa raczej do niebios niż do mnie. - Siedziała w gabinecie Skye całą wieczność, chyba wybierała zdjęcia. Brakuje tylko tekstu z gali promującej krem i będziemy gotowi. Wiedziałam, że zdążymy na czas.

Uśmiechnęłam się do niej.

- Poznałaś ją? - wiedziałam, że o tym marzyła. Jej uśmiech przygasł.

- Nie. Jakiś odrażający facet przyszedł po nią i wyszła godzinę po tobie.

Może to i lepiej. Nie zrobiła na mnie wrażenia milej

osoby i niewątpliwie Morticia byłaby rozczarowana, gdyby udało jej się poznać swoją idolkę.

Zadźwięczał dzwonek u drzwi i Morticia skoczyła na równe nogi.

To była Skye - szefowa, naczelna pisma i biurowa hetera. Była punktualnie dziewięta trzydzieści, gdy kołysząc biodrami, przeszła przez recepcję, kierując się do swojego gabinetu, emanując pewnością siebie, cóż, po prostu promieniejąc. Minęła nas, najwyraźniej nieporuszona tym, że Morticia nie znajdowała się na swoim miejscu pracy. Tego ranka Skye ubrana była w kosztowny jedwabny top zdobiony koralikami, nieskazitelne dzinsy i buty na obcasie, na ramiona zarzuciła wełniany płaszcz, a gdy spojrzałam na jej twarz, pomyślałam, że wygląda inaczej niż wczoraj. Nie zmieniły się jej włosy; krótkie i zaczesane do tyłu. Makijaż też specjalnie się nie zmienił, ale wyglądała jakoś tak świetliście i świeżo, jakby zregenerowana po długim spokojnym śnie, co wydawało się nieprawdopodobne, zważywszy na goniące nas terminy.

Morticia z uwagą obserwowała przechodzącą Skye, a gdy drzwi się za nią zamknęły, obie odetchnęłyśmy z ulgą. Sekretarka uśmiechnęła się do mnie nerwowo i odeszła, skrzypiąc swoimi martensami na wypolerowanej podłodze.

Pozostawiona sama sobie skupiłam się na nowym komputerze. Po chwili znalazłam włącznik, niewielką wypukłość z tyłu na obudowie, niczym ślad po ukąszeniu komara. Gdy już go włączyłam, szybko zaznajomiłam się z ustawieniami, zalogowałam w programie pocztowym i wysłałam pierwszą wiadomość z nowego konta:

*Droga Ciociu,
doskonale się bawię w Nowym Jorku. Miasto jest niezwykle.
Celia jest wspaniałą i bardzo interesującą gospodynią. Udało
mi się znaleźć pracę w czasopiśmie „Pandora”. Ciekawy zbieg
okoliczności, prawda? Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko
dobrze się układa, a dzieci w szkole zachowują się grzecznie.*

Całusy, Pandora

*PS Wszystkie budynki są ogromne. PPS Gdy tylko kupię
telefon komórkowy, wyślę Ci mój numer.*

Kliknęłam „wyślij” i pożałowałam, że nie mam w
Gretchenville żadnych przyjaciół, którym mogłabym
zaimponować mejlem z nowej pracy w Nowym Jorku. Zawsze
byłam inna, a w małym miasteczku odmienność zauważano
natychmiast. Naturalnie, interesowali się mną chłopcy, ale
miałam tylko jedną sympatię, a i ten związek nie trwał długo.
Nie było zbyt wielkiego wyboru, a ja nie byłam aż tak
zdesperowana. Przywykłam do samotności. Może tu, w
Nowym Jorku, gdzie moja odmienność nie rzuca się tak w
oczy, sprawy przybiorą lepszy obrót.

Poranek upłynął na monotonnym katalogowaniu i
przygotowywaniu napojów. Skye była w dobrym humorze,
lecz wciąż była wymagająca. W południe, gdy większość osób
- włączając Skye - wyszła na lunch, ja zostałam przy biurku,
chcąc sprawdzić możliwości nowej przeglądarki i poszukać
informacji do artykułu.

Ubrania vintage. Recykling. Moda z odzysku.

Zrobiłam notatki i wróciłam myślami do wyjaśnionej mi przez Celię różnicy między modą a stylem. A potem pomyślałam o jej niezwykłym domu i słowach, które padły, gdy pierwszy raz tam weszłam. Coś o budynku przy Addams Avenue. Przez chwilę nie mogłam sobie przypomnieć nazwiska, które Celia wymieniła w windzie. Edward? Nie, to był Edmund Barrett. Gdy tylko przypomniałam sobie właściwe nazwisko, wpisałam je w wyszukiwarkę i otrzymałam mnóstwo wpisów na temat architekta i naukowca epoki wiktoriańskiej. Okazało się, że człowiek, który w 1888 roku zaprojektował niezwykły dom Celi, nie był pierwszym lepszym naukowcem po amatorsku zajmującym się architekturą neogotyku, lecz założycielem Światowego Towarzystwa Badań nad Parapsychologią. Nie miałam pojęcia, czym dokładnie miało zajmować się to stowarzyszenie, ale najwyraźniej była to istotna informacja w jego biografii, gdyż często się pojawiała.

Parapsychologia?

Wpisałam nazwę w wyszukiwarkę i już miałam kliknąć „szukaj”, gdy usłyszałam za sobą kroki. Była prawie pierwsza. Pora wrócić do pracy i przygotować chai latte dla Skye. Z poczuciem winy zamknęłam okno wyszukiwarki. Odwróciłam się i z ulgą zobaczyłam Morticię. Powinnam była rozpoznać jej skrzypiące martensy.

- Nie mogę uwierzyć, że Skye zachorowała tak po prostu! I to na kilka dni przed zamknięciem numeru. Musi być wściekła!

- Co? - zapytałam zaskoczona. Jeszcze dzisiaj

ranka Skye wyglądała na zdrową i wypoczętą. - Tak nagle? Jakaś grypa żołądkowa czy co?

- Nie wiem, Po prostu zadzwoniła i powiedziała, że już nie wraca dziś do biura - oświadczyła Morticia z błyskiem w oku. - I wygląda na to, że nie będzie mogła przyjść na promocję „Krwi Młodości” dziś wieczorem. Ciekawe, czy pozwolą mi iść? To będzie naprawdę ekscytujący wieczór!

Nie wydawało mi się, że czasopisma posyłają sekretarki na promocje kosmetyków, ale co ja właściwie wiedziałam? Nie zważając na jej entuzjazm, skupiłam się na jednym.

- Morticio, to pewnie dziwne pytanie, ale czy słyszałaś może o „badaniach parapsychologicznych”?

Sekretarka zamarła.

- Chodzi ci o badania na wariatach? - Uniosła brew i zamyśliła się. - Oglądałam *Lot nad kukułczym gniazdem*. Widziałaś ten film? Byli tam chorzy psychicznie pacjenci, których traktowali prądem czy jakoś tak.

- Ten film z Jackiem Nicholsonem? Tak, widziałam - odparłam lekko zniecierpliwiona. - Nie wiem, jakie znaczenie ma tutaj „parapsychologiczny” - powtórzyłam, tym razem do siebie. *Ale nie oznacza wariata*. - Nieważne. Opowiedz mi o dzisiejszej gali... - Niespecjalnie mnie to interesowało, ale pomyślałam, że powinnam być przynajmniej uprzejma. Morticia była prawdopodobnie jedyną przyjazną mi duszą w Nowym Jorku, nie licząc Celi. Z pewnością była moją jedyną przyjaciółką w redakcji.

- Uważaj, Pepper tu idzie - wysyczała Morticia przez zaciśnięte zęby.

Odwróciłam się i stanęłam twarzą w twarz z Pepper Smith, zastępczynią redaktor naczelnej. Zakładam, że jej

tytuł oznaczał, iż była tu druga po Bogu. Taki był system, ja zaś zajmowałam w nim najniższe miejsce. Poprzedniego dnia nikt nie przedstawił nas sobie formalnie. Właściwie, nie poznałam nikogo poza Skye i Morticią. Pepper, zastępczyni naczelnej w „Pandorze”, była zimną blondynką, żyłastą niczym biegacz długodystansowy. Nosiała bajerancki T-shirt i dżinsy, a na to zamszowy płaszcz do połowy uda. Miała dwadzieścia parę lat.

Pepper zlustrowała mój strój - kolejny zestaw w klimacie vintage pożyczony od Celi: długa do kolan wełniana spódnica i krótki żakiet z łódkowym dekoltem i ogromnymi okrągłymi guzikami.

-Vintage - stwierdziła raczej, niż zapytała.

Przytaknęłam.

- Musisz mi powiedzieć, gdzie się ubierasz - dodała. Uśmiechnęłam się. *Mowy nie ma.*

- Potrafisz pisać? - zapytała. Skinęłam energicznie głową.

-Tak, jestem dziennikarką.

-Jak wiesz gonią nas terminy, a naczelna właśnie zachorowała. Nie może przyjść na dzisiejszą galę. Zastąpisz ją.

Usłyszałam, jak Morticia wciąga powietrze do płuc.

- Jaką galę? Tę galę? - Byłam zbyt zdumiona, by zdobyć się na bardziej inteligentną odpowiedź.

- Galę promocyjną „Krwi Młodości” - potwierdziła Pepper. - Mamy napisać relację z tego wydarzenia. Chcę, żebyś zebrała informacje. Potrafisz to zrobić, prawda?

- Ja mogę pomóc - wtrąciła się Morticia, zanim zdołałam odpowiedzieć.

-Są tylko dwa zaproszenia, a poza tym nikt cię nie pytał - odparła szorstko Pepper, a zapął Morticii mo-

mentalnie zgasł. Strapiona odeszła w kierunku swojego biurka. Zastanawiałam się, czy będzie na mnie zła, że poszłam na promocję, o której ona marzyła. Gdybym mogła, zaprosiłabym ją natychmiast.

- Oczywiście, że mogę napisać tę relację - powiedziałam do Pepper profesjonalnym tonem. - Jaki ma mieć charakter?

Pepper popatrzyła na mnie z krzywym uśmiechem.

- Nie, Pandoro. Ja napiszę ten tekst. Ty tylko zbierz informacje i dostarcz mi je na jutro. Chodzi o towarzyskie nowinki. Kto był, gwiazdy, wszystko, co warte uwagi. Ja też wpadnę, ale nie mogę zostać zbyt długo, bo mam tutaj mnóstwo roboty.

Tym razem to mój zapal przygasł.

-I postaraj się wziąć tyle próbek, ile się tylko da -powiedziała z naciskiem. - Będą rozdawać torby z upominkami.

Zatem Skye zgarnęła wszystkie próbki dla siebie.

- Nie ma sprawy - odparłam śmiało. - Pójdziemy stąd czy...?

Pepper popatrzyła na mnie jak na wariatkę.

-Nie idziemy razem. Pojedziesz tam sama, zbierzesz informacje i przekażesz mi je jutro - powtórzyła i położyła zaproszenie na promocję kosmetyku na moim biurku po czym odwróciła się, by odejść. - Pandora to twoje prawdziwe imię? - zapytała jeszcze przez ramię.

- Jak najbardziej - odparłam radośnie. - Niezły zbieg... Jednak Pepper już oddalała się do swoich spraw, cokolwiek się zajmowała. Nie dowiedziałam się, czy była pod wrażeniem tego zbiegu okoliczności czy nie.

Rozdział 10

Pamiętałam, żeby zapukać przed wejściem do mieszkania.

Celia siedziała tam, gdzie zawsze, pod lampką do czytania. Elegancko skrzyżowane stopy oparła na podnóżku, obok spała kotka. Przy fotelu stały pantofelki na obcasie. Woalka była na swoim miejscu. Nawet jak na starą wdowę, jej nawyki były dość ekscentryczne.

- Dobry wieczór, ciociu Celio - przywitałam się i zsunęłam buty.

- Witaj, kochana Pandoro. Wróciłaś dziś wcześniej. Jak minął dzień? - Celia zaznaczyła czytaną stronę piórem i zamknęła książkę. Pozostała w fotelu, więc podeszłam do niej i postawiłam teczkę u moich stóp. Wciąż była pusta, nie licząc powieści, którą kupiłam. Freja zeskoczyła z podnóżka i miękkim krokiem zbliżyła się do mnie.

- Cześć, Freja - powiedziałam melodyjnym głosem i pogłaskałam ją. - Jak się masz? - Nadstawiła łepkę do głaskania i zamruczała. Podniosłam się i podekscytowana odwróciłam do Celi. - Dzień minął dobrze. Dali mi w pracy komputer, i dostałam pierwsze zlecenie. Relacja z promocji nowego kosmetyku. Krem o nazwie „Krew Młodości”.

Celia spojrzała na mnie z uznaniem. Freja przestała

mruczeć i krążyć wokół moich kostek, usiadła i popatrzyła na mnie.

- Mam tam być za godzinę - wyjaśniłam.

- No to powinnaś się już szykować. Poproszę kierowcę, by cię zawiózł - odparła pogodnie Celia.

- Nie trzeba - powiedziałam. - Zamówię taksówkę.
-Taksówkę? Nonsens. Nie mamy telefonu. W okolicy nie ma postoju, a poza tym, moja droga, to jak zjawisz się na takiej imprezie, stanowi połowę sukcesu. Drugą połową jest kiedy. Musisz się spóźnić, żeby twoje wejście zrobiło wrażenie. Musisz sprawić, by się zastanawiali, kim jesteś. Sprawić, żeby byli ciekawi i zazdrościli - ciągnęła Celia z szelmowskim błyskiem w oku.

Najwyraźniej tak to się robiło w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, kiedy Celia błyszczała wśród hollywoodzkich gwiazd, ale jakoś mnie nie przekonała. Nie chciałam mieć wielkiego wejścia, jak to określała. Chciałam napisać relację z promocji kremu, to wszystko.

- Samochód będzie czekał na ciebie za godzinę - nalegała i zrozumiałam, że jej nie przekonam. - Proponuję, żebyś założyła sukienkę, która wisi na drzwiach twojej szafy - dodała.

Uniosłam brwi. Kolejny strój?

- Zaprojektowałam ją dla Lauren Bacall. Myślę, że ci się spodoba.

Uśmiechnęłam się i ruszyłam w stronę mojego pokoju.

- Celio, wspominałaś, że ten budynek zaprojektował Edmund Barrett?

Przesłała mi uśmiech zza wszechobecnej woalki.

- Widzę, że zainteresowałaś się tym tematem. Bardzo mądrze.

- No właśnie - odpowiedziałam. - Poszukałam trochę

w internecie. Co to takiego Światowe Towarzystwo Badań nad Parapsychologią? - zapytałam.

Za woalką pojawił się jeszcze bardziej szelmowski uśmiech.

- Porozmawiamy o tym, kiedy wrócisz, dobrze? A teraz idź, przygotuj się. No to poszłam.

Sukienka wisząca na drzwiach mojej szafy była oszłamiająca. Uszyta ze szkarłatnego jedwabiu, z kołnierzykiem, delikatnymi guziczkami z przodu i paskiem w talii. Był to z pewnością najbardziej zachwycający strój, jaki kiedykolwiek miałam czy pożyczyłam, a dziś miałam go założyć na promocję „Krwii Młodości”, na dodatek do czerwonych czółenek Mary Jane. Włożyłam sukienkę i poczułam się odmieniona. Jedwab opinał moje kształty, kołnierzyk dodawał powagi, a pasek podkreślał wąską talię. Rzeczy Celi leżały na mnie jak ulał. *Dziwne.*

-Ta-daam - zanuciłam, zjawiając się w salonie czterdzieści pięć minut później, odświeżona, przebrana i umalowana.

Celia podeszła do mnie wolno. Zlustrowała mnie dokładnie i skinęła aprobująco głową.

-Jeszcze jedno - powiedziała, z widoczną przyjemnością oglądając swoje ubrania na mnie.

Zniknęła w swoich pokojach, a ja stałam, czekając na zaklęcie. Gdy wróciła, trzymała zdobioną koralikami rubinową torebkę, idealnie pasującą do butów. A także małą emaliowaną spinkę do włosów w kolorach czerwonym, niebieskim i czarnym.

- Mogę? - zapytała i delikatnie zaczęła układać moje włosy chłodnymi zręcznymi palcami.

Kiedy skończyła, spięła je spinką. Odwróciłam się i spojrzałam w lustro przy drzwiach.

-Powinnaś eksponować kości policzkowe i ładny zarys podbródka - wyjaśniła. - To twoje atuty. Spójrz, jak długa i zgrabna jest twoja szyja.

Nie zdawałam sobie z tego sprawy. Nowa fryzura pasowała do mnie. Włosy zostały zebrane wysoko na czubku głowy i spięte. Spływały elegancką falą na ramiona i odsłaniały twarz. Nie byłam przyzwyczajona do takiej fryzury, lecz zdecydowanie wyglądałam w niej bardziej wytwornie, nie jak dziewczyna z małego miasteczka.

-Czerwona szminka pasuje do ciebie. O tak... -dodała Celia w zadumie.

Dopasowałam jej kolor do koloru butów.

- Dziękuję - odparłam.

Freja pojawiła się na końcu korytarza i usiadła. Zamiauczała.

- Idź i baw się dobrze - powiedziała Celia, odprowadzając mnie do drzwi. - Wład czeka już na ciebie na dole.

Wład? Szofer nazywał się Wład?

-Naprawdę nie musiałaś... - zaczęłam jeszcze raz.

- Kochanie, tutaj nie da się złapać taksówki do centrum - powtórzyła. - Naprawdę. Zaufaj mi. A nie powinnaś iść piechotą przez miasto w tych butach ani w sukience.

To prawda.

- Dobrze, ale z powrotem wezmę taksówkę. I oddam ci pieniądze za wynajęcie kierowcy.

-Jak sobie życzysz - odpowiedziała Celia z porozu-

miewawczym uśmiechem. - Jak sobie życzysz - wyraz jej twarzy mówił, że jestem upartą dziewczyną, lecz nie przeszkadzało mi to ani trochę i wydawało się, że moja cioteczna babka to szanuje.

Rozdział 11

Przyjęcia są dla mnie torturą. Nie mam wielkiego doświadczenia w przebywaniu w tłumie - a co dopiero wśród śmietanki towarzyskiej. Myśl o tym była równie ekscytująca, co przerażająca.

Na zaproszeniu, które dała mi Pepper, napisano, że promocja odbędzie się w modnej restauracji „Elizabett” w dzielnicy Meatpacking. Zaproszenie ozdobił wampiryczny wizerunek ambasadorki „Krwi Młodości”, leżącej w kuszącej pozie na szeszlunku, w obcisłej sukni koloru krwi. Jej cera była świetlista, a usta lśniące. Wciąż mając w pamięci nasze krótkie spotkanie w redakcji „Pandory”, starałam się nie spoglądać na twarz Atanazji.

Wład, szofer Celi, wiedział, dokąd ma jechać. Podobnie jak Celi, powiedziałam mu, że po promocji wrócę do domu sama. Wład tylko skinął głową. (Stwierdziłam, że albo nie mówił po angielsku, albo w ogóle był niemy). Cisza panująca w samochodzie pozwoliła mi spokojnie przygotować się do mojego pierwszego wielkiego przyjęcia.

Wkrótce czarny samochód zatrzymał się przy restauracji. Ze zdenerwowania wysiadłam po stronie kierowcy, podczas gdy Wład okrążył samochód od strony pasażera, żeby otworzyć mi drzwi. Znalazłam się więc nagle na ulicy, mijana przez przejeżdżające samochody, ubrana w piękną czerwoną sukienkę Celi, ściskając

w dłoni zaproszenie niczym ogromny bilet autobusowy. Odwróciłam się w stronę restauracji i zamarłam. *No tak. Oczywiście.*

Ustawione przed restauracją reflektory oświetlały czerwony dywan i drzwi wejściowe niczym lampa w pokoju przesłuchań, a wokół nich roili się fotografowie pstrykający zdjęcia zaproszonym gościom. Co kilka sekund ciemność nocy rozjaśniały błyski fleszy niczym lampy stroboskopowe. Wystarczyło, żeby doprowadzić człowieka do ataku epilepsji. Zwykle oglądałam takie sceny podczas gali rozdania Oscarów. Oczywiście, te tutaj były na o wiele mniejszą skalę, choć w tej chwili wcale na to nie wyglądało. Dlaczego nie mogłam przyjść tu choćby z Pepper? Dlaczego nalegała, żebyśmy przyszły osobno? Nie miałam o niej najlepszego zdania, ale przynajmniej nie czułabym się tak zagubiona.

Jąkając się, pożegnałam Włada i przeszłam dookoła samochodu. Zaschło mi w ustach, a język miałam niczym wyschnięty kołek. Moje dłonie były wilgotne i lepkie od potu. Wzięłam głęboki oddech i stanęłam na czerwonym dywanie w rubinowych pantofelkach Celi.

Błagam, nie potknij się.

-Hej! - krzyknął jakiś fotograf, a za nim kolejni. Przeszłam szybko do wejścia z pochyloną głową, uśmiechając się nerwowo. Wokół mnie błysnęło kilka fleszy (miałam nadzieję, że fotografowali kogoś innego) i po stresujących trzydziestu sekundach, które zdawały się trwać wieczność, znalazłam się w restauracji, łapiąc oddech. Udało mi się to zrobić bez potknięcia czy pogrążenia się w inny sposób. W tej sytuacji był to swoisty triumf.

- Pani godność? - ktoś zapytał.

Odwróciłam się.

- Och Pandora. Pandora English - odpowiedziałam.

Za mną stała mała kobietka ubrana w czarny T-shirt z nazwą kremu. Sprawdziła listę zaproszonych gości.

- Pandora... Ach tak, pismo „Pandora”. Miłej zabawy - życzyła, odchodząc do następnej osoby.

Phi. x .

Główna sala restauracji „Elizabett” była wypełniona ważnymi osobistościami. Weszłam do środka. Naturalnie nie wiedziałam, kim są ci ważni ludzie, co mogło stanowić pewien problem. Rozejrzałam się, szukając Pepper, ale nigdzie jej nie było. Zwróciło moją uwagę, że organizatorzy usunęli wszystkie stoliki i przygotowali małą scenę z mikrofonem. Po jednej stronie ustawiono kartonową reklamę „Krwi młodości” z ogromną figurą piękności zapierającej dech w piersiach. Na środku sceny zbudowano piramidę z opakowań kremu, a za nią powieszono czerwoną kurtynę. (Pomyślałam, że raczej nieprawdopodobne byłoby, gdyby kelnerzy pojawiając się na sali z gorącymi daniami, musieli wyplątywać się z migoczących zwojów czerwonego materiału). Gdy wpatrywałam się w stos małych zafoliowanych pudełeczek, ogarnęło mnie takie samo uczucie, jak wówczas, kiedy do biura redakcji przybył kurier z paczką. I znów miałam dziwne wrażenie, że część energii z sali jest wchłaniana przez tę dekorację. Było to dość niepokojące.

Czując na sobie spojrzenia innych gości, celowo przeszłam na koniec sali. Byłam pewna, że niektórzy lustrowali mnie wzrokiem, tak jak lustrowali siebie nawzajem. Niezwykłe okoliczności mojej obecności na tej imprezie i strój od Celi sprawiały, że nie czułam się sobą. Gretchenville odchodziło w przeszłość, to pewne.

Znalazłam sobie kawałek ściany do podpierania, wyciągnęłam notatnik i długopis z torebki Celi i zaczęłam obserwować otoczenie.

Kto jest kim w tej grze? Nie mam zielonego pojęcia.

(Ale musiałam coś zrobić, żeby się dowiedzieć).

Chyba wspominałam już, że moje predyspozycje towarzyskie nie są zbyt imponujące? Cóż, doskonale zdawałam sobie z tego sprawę już w Gretchenville, zaś tu, w restauracji na Manhattanie, świadomość ta wzrosła przynajmniej trzydziestokrotnie. Było to dość nieprzyjemne stać samotnie w kącie sali pełnej atrakcyjnych i ważnych gości. Kobiety, a także wielu mężczyzn, wydali mi się zadbani do granic możliwości. Naprawdę. *Do granic możliwości* Ani jeden włoszek nie wyłamywał się z szeregu. Każdy paznokciec był wypolerowany do perfekcji. Do tego opalona skóra, choć lato dawno minęło. Spuściłam wzrok na swoje (spoczone) dłonie trzymające notatnik i zauważyłam czyste, niepolakierowane paznokcie i bladą skórę. Nie byłam jedną z nich. Ale jeśli kiedykolwiek miałam się pozbyć etykiety od-ludka, nadanej mi przez mieszkańców Gretchenville, to właśnie przez dążenie do czegoś tak nieuchwytnego i ulotnego jak bycie *cool*. A co może być bardziej *cool* niż pisanie o sławnych ludziach dla ekskluzywnego czasopisma?

I tak oto, ledwo wysiadłam z samolotu z Gretchenville, a już znalazłam się w prawdopodobnie największym i najatrakcyjniejszym mieście na świecie, w sali pełnej osobistości. Nie musiałam już o tym marzyć. To była moja szansa i wiedziałam, że powinnam ją wykorzystać najlepiej, jak umiem. Musiałam napisać o produkcie do pielęgnacji skóry w tak interesujący i dowcipny sposób,

żeby Skye zdecydowała się puścić go w nowym numerze pod moim nazwiskiem. Kto jest kim i najważniejsze wydarzenia podczas promocji? *Phi*. To dziecinne zadanie. Ja napiszę prawdziwy artykuł. O tym, jak krem działa, jak zorganizowano promocję, czego czytelniczki „Pandory” mogą się po nim spodziewać.

Jasne, że nie był to tekst, który może zmienić świat, ale lepsze to niż zbieranie dla kogoś informacji.

Zauważyłam ruch w pobliżu sceny. Wyglądało na to, że specjaliści od marketingu zaangażowali do prowadzenia imprezy aktorkę telewizyjną. Kobieta stanęła przy mikrofonie i uśmiechnęła się, pokazując przy tym olśniewająco białe zęby.

- Witam, nazywam się Toni Howard i mam zaszczyt poprowadzić dzisiejszą galę promocyjną rewolucyjnego kosmetyku do pielęgnacji skóry - rozpoczęła.

Toni błyszczała od cekinów. Przyznaję, nie oglądam telewizji, ale jej twarz wydała mi się znajoma - chyba grała w jednej z telenowel.

- „Krew Młodości” ocaliła mi życie! - wyszeptała do mikrofonu Toni, odrzucając opadającą blond grzywkę. Osłupiałam. Czy dobrze usłyszałam? - Teraz mam ponad czterdzieści lat i czuję się fantastycznie. Nigdy nie wyglądałam lepiej - ciągnęła, ponownie błyskając białym uśmiechem. - Moje zmarszczki zniknęły, tak samo jak przebarwienia i sińce pod oczami.

Patrząc na tę atrakcyjną blondynkę, trudno mi było uwierzyć, że kiedykolwiek dręczyły ją podobne plagi. Chociaż chciała przekonać wszystkich, że wcześniej była szkaradna, wiedziałam, że to nieprawda. Jej twarz promieniała, co przypomniało mi jak wyglądała Skye następnego ranka po dostarczeniu paczki z próbką „Krwii Młodości”.

Ruch w pobliżu drzwi przyciągnął moją uwagę. To była Pepper, wpadła w ostatniej chwili. Muszę przyznać, że wyglądała bardzo ładnie. Miała niesamowity zakiet, wcięty w talii i z mocno zaznaczonymi ramionami, włosy zaczesana do tyłu. Pomachałam do niej, po czym zorientowałam się, że to niewłaściwe i schowałam rękę. Udawała, że mnie nie zauważyła.

Na scenie Toni kontynuowała swoją gadkę.

-A wszystko to, panie i panowie - wyjaśniła - dzięki „Krwi Młodości”. Zapewne chcecie też zapytać, od jak dawna używam tego cudownego produktu? - Nie wydawało się, by ktokolwiek chciał o to zapytać, ale ja byłam ciekawa. - Od trzech dni. Tak, zgadza się. Używam „Krwi Młodości” zaledwie od trzech dni. - Usłyszałam kilka pomruków zdumienia w tłumie, zaś ludzie stojący tuż pod sceną sprawiali wrażenie, że zaraz przypuszczą szturm na wystawione próbki. - I dlatego jestem tu dziś, żeby powiedzieć wam, że to najlepszy kosmetyk dostępny w tym kraju. Zaledwie pojawił się na rynku, a już zniknął z półek, producent wręcz nie nadążał z dostawami. Nie jest tani, ale szanowni państwo, wart jest swojej ceny!

Pomyślałam, że ten tekst był szyty trochę zbyt grubymi nićmi, ale tłum najwyraźniej połknął haczyk. Może właśnie o to chodzi w promocjach?

- Cześć - powiedział męski głos tuż przy moim uchu.

Wzdrygnęłam się zaskoczona i odwróciłam się. Ujrzałam niezwykle wysokiego i dość przystojnego mężczyznę w skórzanej marynarce. Stał przy mnie i się uśmiechał.

- Cześć - odparłam.

- Mam na imię Jay - przedstawił się. - Jay Rockwell z magazynu „Tylko dla mężczyzn”. - Wyciągnął dłoń.

O rany. To był ten facet z windy. Ten, który myślał, że jestem urzędniczką. Ten, o którym fantazjowałam. Wyobrażałam sobie jego umięśniony tors i moją dłoń sunącą po jego klatce piersiowej. Czułam ciepło jego pocałunku. A teraz poczułam niesmak na wspomnienie tandetnej okładki „Tylko dla mężczyzn”.

-Tak, pamiętam cię - odparłam, czując, że się czerwienię. - Pandora English. - Uścisnęłam jego dłoń.

- Znasz mnie? - zapytał, najwyraźniej zaskoczony.

- No jasne - zapewniłam go z uśmiechem. Wydawał się zmieszany.

- Przepraszam, gdzie się poznaliśmy?

Tym razem to on mnie zaskoczył. Myślałam, że podszedł do mnie, bo chciał być uprzejmy, skoro spotkaliśmy się wcześniej. On jednak najwyraźniej tego nie pamiętał.

- Szesnaste piętro, prawda? Spotkaliśmy się w windzie - wyjaśniłam mu.

-Aha, szesnaste piętro - zgodził się, ale widać było, że nie pamięta tego spotkania. - Winda? - zabrzmiało to tak, jakby doszło do czegoś między nami w windzie, a on potem o mnie zapomniał.

-Jechałam na rozmowę w sprawie pracy do redakcji „Mii”, a ty myślałeś, że pracuję w kancelarii prawnej. Machnęłam zakietem tak, że uderzyłam cię w oko, jeśli dobrze pamiętam.

W końcu załapał. Jego piękne orzechowe oczy rozszerzyły się. (Żadne z nich nie było zaczerwienione. Na szczęście nie spowodowałam u niego trwałego uszczerbku na zdrowiu). Spojrzał na mnie z aprobatą.

-A niech mnie. Wyglądasz tak... inaczej. - Nie rozbierał mnie wzrokiem, ale intensywność jego spojrzenia sprawiła, że poczułam się niemal naga. - Wyglądasz

naprawdę wspaniale - powiedział i z tonu jego głosu wywnioskowałam, że naprawdę tak myślał.

- Dziękuję - odpowiedziałam. / *dziękuję tobie, Celio*. Jej czerwona sukienka projektowana dla Lauren Bacall wywarła odpowiednie wrażenie.

Tymczasem na dużym ekranie wyświetlano filmy promujące „Krew Młodości”. Po krótkim ujęciu, przedstawiającym piękną, nadąsaną i niesamowitą twarz Atanazji, pokazano siwego, budzącego zaufanie mężczyznę w białym kitlu. Zdaje się, że opowiadał o rewolucyjnych właściwościach nowego produktu do pielęgnacji skóry. Na dole ekranu wyświetlano napisy, ale jego głosu nie słyszałam, gdyż tonął w gwarze. Przeczytałam, że to dr E. Toth.

- Zatem dostałaś pracę? - powiedział Jay.

-Właściwie nie - wyjaśniłam. - Nie w „Mii”. Ale dostałam pracę w „Pandorze”. Mam napisać tekst o promocji do następnego numeru.

Spodobało mi się brzmienie tego zdania, i była to prawda, nawet jeśli dostałam zaproszenie tylko dzięki tajemniczej chorobie Skye. I nawet jeśli Pepper mnie ignorowała. Rzuciłam okiem w jej kierunku i zobaczyłam, że wita się z kilkoma elegancko ubranymi kobietami. Wskazały na niskiego łysiejącego mężczyznę stojącego obok, a Pepper przywitała się także z nim. Najwyraźniej nawiązywała kontakty.

-Przygotowujesz relacje dla „Tylko dla mężczyzn”?
-zwróciłam się do Jaya. - Nie wyobrażam sobie, żeby twoje pismo było właściwym miejscem dla takiego produktu.

Wyobraziłam sobie rybaków, drwali i kierowców ciężarówek. Macho, którzy przeglądają pisma ze zdjęciami kobiet w bikini, przed wizytą w sklepie z narzędziami.

- Coś ty, z lasu wyszłaś? - wykrzyknął Jay, całkiem

wiernie określając moje rodzinne miasto. - Ten kosmetyk to prawdziwy hit. Od tygodni mówiło się o tym, że ma się pojawić. Trafił na półki dziś rano, a w Macy's po godzinie wyprzedali wszystko. Wielu czytelników marzy, żeby go kupić. Zwłaszcza jeśli naprawdę ujmuje lat, jak się mówi.

W tym momencie Toni oznajmiła na scenie: - A teraz, chciałabym przedstawić państwu ambasadorkę „Krwi Młodości”... Atanazję!

Zesztywniałam, słysząc imię modelki, i rozejrzałam się wokół, szukając jej w tłumie. Nie wiadomo dlaczego, denerwowałam się na samą myśl o przebywaniu z nią w jednym pomieszczeniu. Następnie czerwona kurtyna rozsunęła się i modelka pojawiła się na scenie, w kręgu światła. Wspaniałe wejście. Podejrzewam, że Celia byłaby pod wrażeniem. Atanazja miała na sobie obcisłą karmazynową suknię z trenem, który to kolor pięknie kontrastował z jej bladą świetlistą cerą. Właściwie suknia była w tym samym kolorze, co moja, jednak ona nosiła ją inaczej. Sunęła w kierunku sceny, jakby unosiła się nad podłogą, a głęboko wycięta suknia połyskiwała w świetle reflektorów.

Tym razem z łatwością oparłam się pokusie wpatrywania się w modelkę, lecz prawdopodobnie byłam w tym osamotniona. Pozostali goście pożerali ją wzrokiem, wręcz czułam pulsujące wokół zbiorowe pożądanie. Atanazja była piękna, ale zdawałam sobie wyraźnie sprawę, że część jej magnetyzującego uroku brała się z obietnicy - co to było? *Niebezpieczeństwo. Tanatos. Śmierć.* Była pociągająca jak czarna magia. W niewyjaśniony sposób zdawała się rzucać czar na całą salę i ciekawiło mnie, co było w niej takiego, że mogła to uczy-

nić. To byli przecież cynicy z wielkiego miasta, znawcy mody. Widzieli tysiące olśniewających twarzy. Jakim cudem Atanazja potrafiła do tego stopnia nimi zawładnąć? Jak to się stało, że wszyscy w „Pandorze” byli pod jej urokiem, nawet ja - zanim wstrząsnęło mną jej spojrzenie śmierci?

Atanazja położyła dłoń na biodrze, a jej ciemne oczy spoglądały na adorujący ją tłum, zatrzymując się na każdej twarzy.

Och, nie.

Niewiarygodne, zauważyła mnie i spojrzała ponownie -na małą, nic nieznaczącą przecież osobę, ukrytą w głębi sali. Pomyślałam, że to chyba moja wyobraźnia, ale mogłabym przysiąc, że zatopiła we mnie spojrzenie. Poczułam, jak moje serce pod nim zamiera. Poczułam strach.

A potem, jak gdyby nigdy nic, przeniosła wzrok na tłum, a ja byłam wdzięczna, że przestałam być obiektem jej zainteresowania. Aż się otrząsnęłam, by pozbyć się drżenia ze strachu, który poczułam. Czy aby na pewno sobie tego nie wymyśliłam?

Odwróciłam się do Jaya, zastanawiając się, czy zauważył, jak zareagowałam na Atanazję, ale on - oczarowany

- po prostu wpatrywał się postać na scenie. Obserwowaliśmy, jak Atanazja podchodzi do mikrofonu i przysuwa go do siebie.

- Dziękuję - wyszeptała z udawaną bliskością, zamilkła na chwilę, podczas gdy rozbłysło tysiące fleszów.

- Nazywam się Atanazja - dodała, gdy fotografowie skończyli robić zdjęcia. - Zapraszam do skorzystania z cudownego kremu „Krew Młodości”. Wiem, że niektórzy z was umierają z pragnienia, by go już w końcu mieć... - i mówiąc to, odsunęła się od mikrofonu i pode-

szła do dekoracji z pudełek kremu. Wzięła kilka z nich i rzuciła je w tłum. Pomyślałam, że zaczną się rozróżba. Zamożni bywalcy, ludzie ze świata biznesu i mody rzucali się na siebie nawzajem, chcąc zdobyć próbkę. Jakiś mężczyzna podskoczył, żeby złapać pudełko, i upadł na podłogę. Mogłam tylko ze zgrozą patrzeć na to, co się wokół mnie dzieje. Atanazja rzuciła jeszcze więcej pudełek z kremem, przybrała ponownie wampiryczną pozę dla fotografów i zniknęła za czerwoną kurtyną. Tłum ruszył do przodu i wszystkie próbki zniknęły, zanim jeszcze zasunięto kurtynę.

-Jasna... rany - wykrzyknęłam. - Czy promocje kosmetyków zawsze są takie... emocjonujące?

Jay uśmiechnął się łagodnie.

-Nie zawsze - oznajmił. - Trzeba przyznać, że ona wie, jak działać na publiczność - zauważył. Roześmiałam się nerwowo.

-O tak.

-Dziwne, że nie przemawiał żaden przedstawiciel producenta „Krwii Młodości” - powiedział Jay. - Zawsze przychodzi jakiś dyrektor generalny albo PR-owiec zanudzający nas na śmierć gadaniem o firmie, podczas gdy my marzymy tylko o tym, żeby wziąć torebki z próbkami i zniknąć.

Zaferowana zapomniałam o tym.

- Czy mogę cię prosić o przysługę? Mógłbyś podać mi kilka nazwisk najważniejszych gości? VIP-y i gwiazdy? Nie mam pojęcia, kto jest kim.

-Jasne. Jeśli w zamian dasz mi swój numer telefonu - odparł.

Uniosłam brew. *Odważne.*

- Nie mam telefonu - przyznałam szczerze.

Jednak Jay inaczej zinterpretował moje słowa.

- Oczywiście, że nie masz - w jego głosie pobrzmiwał sarkazm. - Rozumiem, w porządku. Nie boję się na niego zapracować.

Zatem myślał, że gram trudną do zdobycia? Pochylił się do przodu i wyszeptał konspiracyjnie: -Spójrz, widzisz tego mężczyznę? Tego z łysiną na czubku głowy? To jeden z najbogatszych ludzi w Nowym Jorku. A widzisz tę kobietę obok niego? To nie jest jego żona...

Przez następne pół godziny Jay Rockwell opowiadał mi o VIP-ach zgromadzonych na promocji „Krwi Młodości”, dodając zabawne szczegóły z ich biografii. Dobrze się przy tym bawiliśmy. Jego zainteresowanie schlebiało mi, a zapach wody kolońskiej uderzał mi do głowy. Kiedy już podał mi nazwiska wszystkich obecnych na sali (wyglądało na to, że miał dobre układy), postanowiłam poszukać Pepper, a także Toni - aktorki, żeby przeprowadzić z nią wywiad. Podziękowałam Jayowi i z niechęcią opuściłam miejsce przy jego boku. Zauważyłam, że patrzył za mną długo, zanim zaczął rozmowę z kimś innym.

Nie znalazłam Pepper przy drzwiach, przy których ją ostatnio widziałam, ale za to niemal wpadłam na aktorkę prowadzącą promocję.

- Przepraszam, Toni?

Stała obok stolika, z którego kompletnie wymiotło wszystkie próbki kremu. Pepper będzie wściekła, że nie rzuciłam się w tłum po pudełko dla niej, ale nie zamierzałam dać się stratować.

- Przepraszam, mogę zadać ci kilka pytań? - powtórzyłam.

Słyszając to, aktorka odwróciła się z tak szerokim uśmiechem, że mogłam policzyć wszystkie jej błyszczące zęby. Jej blond włosy płynęły za nią w powietrzu.

- Czeeeeść - odparła, potrząsając moją dłońią.

- Nazywam się Pandora English i pracuję dla pisma „Pandora”. Czy mogłabym zadać ci kilka pytań?

-Naturalnie. - Wyjęła z torebki wizytówkę i podała mi. - Oto kontakt do mnie i adres strony internetowej.

Przeczytałam wizytówkę z zainteresowaniem, zanim schowałam ją to kieszeni, a w tym czasie kobieta, z którą Toni rozmawiała wcześniej, oddaliła się bym, mogła w spokoju przeprowadzić wywiad.

- Dziękuję - powtórzyłam, gdy zostałyśmy same. - Po pierwsze, ciekawi mnie dlaczego zdecydowałaś się promować ten konkretny kosmetyk?

-Dlaczego? - Wyglądała na lekko zaszokowaną tym pytaniem. - Cóż, dlatego że to działa. Nie widać?

- pstryknęła palcami przed swoją rozświetloną twarzą. Skinęłam głową.

-Tak. Wyglądasz świetnie - przyznałam. Postanowiłam podejść ją z innej strony. - W jaki sposób zaangażowano cię do kampanii promocyjnej? Za pośrednictwem twojego agenta?

-Tak naprawdę to nie - przyznała z miną winowajcy.

- Nie współpracuję ze swoim agentem od czasu tego nieporozumienia podczas *Tańca z gwiazdami*. Obecnie szukam nowego agenta. Znasz może kogoś?

Potrząsnęłam przecząco głową.

- Przykro mi, jestem od niedawna w Nowym Jorku - wyjaśniłam. - Ale wracając do promocji...?

- Przesłano mi próbki. - Toni wzruszyła ramionami. -1 produkt spełnił twoje oczekiwania?

-Naturalnie. I obiecano mi, że dostanę ich więcej, więc...
Zrozumiałam, w czym rzecz.

- Czyli będziesz dostawać „Krew Młodości” przez jakiś czas?
Masz szczęście - powiedziałam z uśmiechem. -A w zamian miałaś poprowadzić galę promocyjną?

- Powiedziano mi, że dostanę zapas na rok. Pokiwałam głową
- to był naprawdę korzystny układ.

Ale czy w ten sposób załatwiano się zwykle takie sprawy? Nie wyobrażałam sobie, żeby Cate Blanchett zapłacono wyłącznie zapasem produktu, niezależnie od tego, jak bardzo przypadł jej do gustu.

- Kto zatem jest twoim zleceniodawcą w firmie „Krew Młodości”?

-Właściwie to wszystko załatwiała agencja reklamowa - odparła, wskazując na jedną z kobiet w czarnym T-shircie. -
Henrietta Woods.

Zanotowałam, żeby porozmawiać z Henriettą.

- Nie znasz dyrektora generalnego ani nikogo innego z tej firmy? - spytałam, pamiętając o uwadze Jaya.

-Znam modelkę. - Toni w teatralnym geście wyciągnęła rękę w kierunku kurtyny. - Choć najwyraźniej ona nie lubi udzielać wywiadów.

Rzeczywiście, Atanazja sprawiała wrażenie osoby mało mównej.

-Dziękuję Toni. Hm, jeszcze ostatnie pytanie. Jak myślisz, co sprawia, że ten krem jest tak skuteczny? Co to za tajemniczy składnik? - chciałam również tę informację zawrzeć w artykule.

Na jej twarzy pojawił się grymas.

-Nie wiem. Tajemniczy składnik to tajemnica, jak przypuszczam.

-Jeszcze raz dziękuję, Toni. - Było jasne, że nie dowiem się więcej na temat sekretów kremu.

Uśmiechnęła się, tym razem mniej olśniewająco, i odwróciła, by powitać kogoś innego.

Bez trudu odnalazłam Henriettę. To była ta sama mała kobietka z notatnikiem, która przepytывała mnie, gdy weszłam do restauracji.

-Podoba ci się gala? - zapytała, gdy do niej podeszłam.

-Bardzo, dziękuję. Czy mogłabyś odpowiedzieć na kilka pytań dla pisma „Pandora”?

-Ja? Jestem trochę zajęta - odparła. - Ale mogę ci powiedzieć, że to najlepszy produkt, jaki kiedykolwiek promowaliśmy. Jestem pewna, że sama się o tym przekonasz, gdy spróbujesz.

-A zostały jakieś próbki? - zapytałam z nadzieją.

- Nie dostałaś żadnej?

- Niestety - odpowiedziałam. Wzruszyła ramionami.

-A to pech. - Domyśliłam się, że nie było już próbek.

- Cóż - ciągnęłam z wymuszonym uśmiechem. - A czy mogłabym dostać egzemplarz płyty promującej krem?

- Oczywiście. „Pandora” prowadzi promocję w prasie, prawda? - zapytała. - Kiedy wyjdzie nowy numer?

Potwierdziłam.

- Tak. Nowy numer będzie w piątek. Z tego, co słyszałam, zdjęcia poszły naprawdę dobrze. Kto z „Krwi Młodości” z wami współpracuje? - zapytałam, szykując pióro.

- Korespondujemy z kimś z Europy - odpowiedziała.

-Przepraszam, ale muszę się zająć resztą gości. - Zatrzymała jedną z dziewczyn w czarnym T-shircie. - Josephine, daj proszę Pandorze egzemplarz promocyjnej płyty.

- Macie zamiary na doktora Totha? Jest tu dzisiaj? -zapytałam Henriette na odchodnym.

-Jest chyba Węgrem. My zajmujemy się tylko promocją na Manhattanie.

- Czyli nie poznałaś jeszcze nikogo z firmy?

- Osobiście? Nie - rzuciła.

Widziałam, że moje pytania zaczęły ją denerwować. Oddaliła się i tym razem jej nie zatrzymałam.

- Dziękuję - powiedziałam już do jej pleców. Josephine wręczyła mi płytę i torebkę.

- Dzięki - odpowiedziałam grzecznie. Skwapliwie otworzyłam torebkę - i zdrętwiałam. Znalazłam w niej tylko broszury reklamujące „Krew Młodości” oraz kupon zniżkowy na zakup kremu w sklepie. Próbki nie było.

Pepper nie będzie zadowolona. Gdzie ona była? Może już wyszła? Może wróciła do redakcji, żeby popracować? Przez chwilę zastanawiałam się nad swoim następnym ruchem. Miałam wystarczająco dużo informacji, by spełnić oczekiwania Pepper, ale nie miałam próbki kremu. Spojrzałam na czerwoną kurtynę. *Zawsze mogę sprawdzić...* Przeszłam przez tłum, mijając Toni, która tym razem nie zwróciła na mnie najmniejszej uwagi. Złapałam w przelocie uśmiech Jaya Rockwella rozmawiającego z krytykiem filmowym, którego sam określił mianem kobieciarza. Uniosłam lekko kurtynę i, zrobiwszy kilka kroków, znalazłam się w wyłożonym płytkami korytarzu, prowadzącym w jednym kierunku do toalet, a w drugim - do kuchni. Na końcu korytarza zobaczyłam drzwi i ujrzałam czerwony błysk, gdy się zamykały. Ruszyłam w tamtą stronę, trzymając w rękach torebkę z broszurami, notatnik i torebkę od Celi.

Drzwi okazały się tylnym wyjściem z restauracji.

Och.

Stałam sama na wprost topmodelki Atanazji. W małej ciemnej uliczce. No, nie całkiem sama. Atanazji towarzyszyło dwóch mężczyzn o wyglądzie przedsiębiorców pogrzebowych. Przedsiębiorców pogrzebowych, którzy spędzili sporo czasu na siłowni.

Przełknęłam ślinę i gwałtownie nabrałam powietrza w płuca.

-Ty - powiedziała Atanazja, odwracając się w moim kierunku. Ubrana była w obcisłe skórzane spodnie i T-shirt, a czerwoną sukienkę przewiesiła przez ramię. To właśnie tę smugę czerwieni widziałam. Za Atanazją zaparkowana była długa czarna limuzyna. Reflektory oświetliły ją i na tylnym siedzeniu zobaczyłam czyjaś sylwetkę - kobiety, której szyję okrywał wysoki kołnierz. Czułam, że bije od niej jakaś siła. Oprócz limuzyny stał tam jeszcze jeden samochód, pusty. Miał żółty lakier i niskie zawieszenie. Znaczek z przodu, w kształcie trójzębu Neptuna, sugerował, że ten pojazd kosztował tyle, co mały apartament. Albo dwa. *Odjazdowy.*

Typowa przerażająca scena w ciemnej uliczce z dwoma samochodami w tle.

- Kim jesteś? - zapytała zimno Atanazja, krzyżując ramiona, przez co suknia zasłoniła ją niczym toga. -Dlaczego nie jesteś taka jak inni?

Uznałam, że nie dam się zastraszyć jakiejś wrednej modelce, niezależnie od tego, czy jest na topie, czy nie. Wyprostowałam się i podniosłam głowę.

- Jestem dziennikarką - odparłam dumnie, jakby znaczyło to tyle samo, co „Jestem szeryfem w tych lasach”. - I nie jestem taka jak inni... - *ponieważ przyjechałam z małego miasteczka* - nie brzmiało to dobrze, więc

tego już nie dodałam. Nagły podmuch wiatru uniósł mi sukienkę, więc ją przytrzymałam.

Atanazja zmrużyła oczy. Było w nich coś złego. Psuło jej piękne rysy tak, że przez chwilę miałam wrażenie, że patrzę na nietoperza.

-Widzisz mnie - powiedziała z wściekłością. - Dlaczego możesz mnie widzieć?

Widzisz mnie? Przypomniał mi się porucznik Luke i jego pytania o to, czy mogę go zobaczyć. Dlaczego wszyscy dziwili się, że ich widzę?

Stałam nieruchomo, milcząc. Wydawało się, że ją to drażni.

- Kto cię tu przysłał? - zapytała z wściekłością w oczach. Rozejrzała się, sprawdzając, czy jestem sama. Byłam.

- Czasopismo „Pandora” - odparłam chłodno. Uniosłam pióro i notatnik. - Mam kilka pytań...

- Nie odpowiem na żadne - przerwała mi. - I nie mam nic wspólnego ze zniknięciem twojej małej przyjaciółki - dodała.

Kogo?

-Wyszła ze studia i więcej jej nie widziałam.

Zamurowało mnie. Samanta? Mówiła o Samancie?

Atanazja odwróciła się i ruszyła do limuzyny, a jej czerwona sukienka powiewała na zimowym wietrze. Powiedziała coś do towarzyszących jej mężczyzn; zwracała się do nich w obcym języku. Jeden z nich odpowiedział, a ona wręczyła mu sukienkę. Usiadł za kierownicą, położył sukienkę na siedzeniu obok i włączył silnik limuzyny. Długi samochód odjechał.

Kobieta na tylnym siedzeniu. Była ważniejsza od Atanazji. I potężniejsza od niej.

Obserwowałam, jak limuzyna odjeżdża, próbując zro-

zumieć, czego byłam świadkiem. Atanazja podeszła do swojego samochodu i stanęła przy drzwiach kierowcy.

- Napisz coś o mnie, a pożałujesz - zagroziła.

Moja ciekawość sięgała zenitu. *Moja „mata przyjaciółka”?*

Usłyszałam, że ktoś otwiera tylne drzwi restauracji, i się odwróciłam. To był Jay.

-A, tu jesteś - powiedział i podszedł do mnie, udając poufałość. Ujął mnie delikatnie za łokieć. - Kochanie, powinniśmy już iść.

Zrozumiałam, o co mu chodziło, i wzięłam go pod ramię.

- Naturalnie.

Uśmiechnęłam się do modelki.

-Miło było cię poznać, Anastazjo - powiedziałam. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam, Celowo przekreśliłam jej imię.

Jej oczy błysnęły złowrogo.

-Atanazja. Mam na imię Atanazja - wysyczała.

Uroczą kobietą.

- Dobranoc - pożegnał się Jay i pociągnął mnie w stronę restauracji.

-Wcale nie potrzebowałam wsparcia - powiedziałam, gdy już znaleźliśmy się w środku.

- Stęskniłem się za tobą. Zastanawiałem się, dokąd poszłaś. Naprawdę wkurzyłaś tę modelkę. O co poszło?

-Tego właśnie zamierzam się dowiedzieć - odparłam.

- Cóż, przyjęcie właściwie się skończyło - podsumował. - Pozwól, że odwiozę cię do domu. Nie gryzę, przysięgam - zapewnił i uśmiechnął się.

Muszę przyznać, że zabrzmiało to kusząco. Ale pozwolić zupełnie obcemu mężczyźnie odwieźć się do domu w Nowym Jorku? Nie, nie uśmiechało mi się to.

- Mam jeszcze coś do załatwienia. Złapię taksówkę. Ale dziękuję za propozycję - powiedziałam.

- Pandoro, czy mogę dostać twój numer telefonu? Moje wahanie uznał za odmowę.

-Dobrze. Rozumiem - rzekł, zawiedziony. - Nie będę naciskał. Pomyślałem, że może chciałaś mieć przyjaciela w tym mieście. Jego propozycja zabrzmiała szczerze.

-Dziękuję - odpowiedziałam. - Naprawdę miło było cię poznać, Jay. Muszę już iść. I dziękuję za pomoc, nie zapomnę o tym.

Poczułam nagłą ochotę, żeby przytulić się do tego dużego przystojnego mężczyzny. Ale nie mogłam tego przecież zrobić. Ledwo go znałam.

- Cześć! - Uśmiechnęłam się i odeszłam.

Ale tak naprawdę nie miałam ochoty odchodzić.

W restauracji „Elizabett” wciąż było pełno ludzi, choć trochę się już przerzedziło. Wychodząc, minęłam grupę sześciu młodych kobiet w jednakowych T-shirtach z napisem „Krew Młodości” i krótkich czarnych spódniczkach, trzymały w rękach małe torebki z logo kremu. Podziękowałam dziewczynie, która wręczyła mi jedną z nich, i po kilku kolejnych krokach zajrzałam do środka. W niej także znalazłam tylko broszurki i kupon rabatowy. Bez próbki „Krwi Młodości”. Pepper nie będzie zadowolona. Zawaliłam. Mogłam tylko mieć nadzieję, że jej samej udało się zdobyć próbkę, zanim wyszła, o ile wyszła.

Miałam ochotę uciec z wytwornego tłumu i poczułam dziwny, dojmujący lęk, wywołany przez Atanazję i „Krew Młodości”. Z opuszczoną głową kroczyłam po czerwonym dywanie jak ktoś, kto wie, dokąd idzie. Ale szybko się zatrzymałam, zobaczywszy długą kolejkę

elegancko ubranych ludzi, oczekujących na taksówki, limuzyny i parkingowego podstawiającego samochody pod restaurację. Może nie powinnam była tak bardzo się upierać przy samodzielny powrocie do domu.

Stałam na końcu kolejki, za niską platynową blondynką z mocno natapirowaną fryzurą. Kobieta, która zdawała się przygnieciona przez własne futro, rozmawiając ze swoim towarzyszem, mocno gestykułowała upierścienionymi, grubymi palcami. Blask jej biżuterii na chwilę mnie rozproszył. Potem zauważyłam modną kopertówkę, którą trzymała pod pachą. Była wypchana próbkami „Krwi Młodości”. Kobieta musiała stać z przodu, gdy Atanazja zaczęła rozrzucać próbki, a wszyscy ruszyli je zbierać. Tuż przed sobą miałam cztery słoiczki pożądanego kremu. Ta kobieta miała torebkę pełną chciwie porwanych próbek, a sądząc po wyglądzie, spokojnie mogła sobie pozwolić na kupno tego kosmetyku.

- Potrzebuję tylko jedną - wyszeptałam bez tchu.

Niesamowite, ledwo wymówiłam te słowa, a słoiczek „Krwi Młodości” wypadł z otwartej torebki. Pomyślałam, że rozbije się o krawężnik, ale wylądował na miękkim czerwonym dywanie i potoczył się do moich stóp.

Zamrugałam z niedowierzaniem i rozejrzałam się. Nikt poza mną tego nie zauważył.

-Dziękuję - wymamrotałam, schylając się i podnosząc słoiczek. - Dziękuję - powtórzyłam. Nie miałam najmniejszego poczucia winy, wkładając go do torebki z broszurami.

Phi.

Coraz więcej gości opuszczało restaurację, samochody i limuzyny zakorkowały ulicę, a taksówek wkrótce zabrakło. Po naszej rozmowie byłoby mi trochę nieswo-

jo, gdyby Jay wyszedł i zobaczył mnie czekającą w tej kolejce, więc zignorowałam ostrzeżenia Celi, aby nie chodzić samotnie ulicami Nowego Jorku w nocy, i postanowiłam właśnie to zrobić. Opuściłam kolejkę i ruszyłam w drogę. Kilka osób obejrzało się za mną, czułam ich spojrzenia. Smagły mężczyzna w białym garniturze, o gładko zaczesanych włosach nawet mrugnął do mnie zachęcająco, gdy podstawiono jego porsche. (Nikt nigdy do mnie nie mrugał w takiej sytuacji. Czy sprawiła to sukienka Celi, czy taki właśnie był Nowy Jork?) Minęłam go szybko, oddaliłam się od eleganckich ludzi, taksówek, ekskluzywnych samochodów i poszłam dalej. Odchodząc, wciąż czułam, że jestem obserwowana, miałam więc nadzieję, że wyglądam na pewną siebie, choć nie bardzo wiedziałam, dokąd idę.

Przecznicę dalej poziom adrenaliny opadł i przypomniałam sobie, że jestem bardzo głodna. Przed galą nie zjadłam obiadu, a serwowane podczas niej przekąski przeszły mi koło nosa. Ruszyłam więc w kierunku jasno oświetlonych delikatesów, dwie przecznice dalej, ale zanim tam dotarłam, poczułam, że bolą mnie stopy i burczy mi w brzuchu.

- Dobry wieczór - powitałam pogodnie sprzedawcę.

Spojrzał na mnie zaskoczony i nie odpowiedział.

Doszłam do wniosku, że u Harolda może być już zamknięte, kupiłam więc makaron, słoik sosu, kawałek parmezanu, kilka pomarszczonych pomidorów i główkę czosnku. (Kiedy zapytałam o świeżą bazylię, sprzedawca popatrzył na mnie jak na wariatkę). Gdy sprzedawca wymamrotał cenę, zapłaciłam gotówką, którą miałam przy sobie.

Zaledwie wyszłam ze sklepu, niosąc torbę z zakupami, minęła mnie żółta taksówka jadąca w kierunku kolejki przed restauracją.

- Hej! - krzyknęłam, unosząc rękę.

Kierowca zauważył mnie i zahamował z piskiem opon.

Zadziwiająco, ale również jego musiałam przekonywać, że istnieje dzielnica zwana Spektor.

Wychodziło na to, że nowojorscy taksówkarze nie znali zbyt dobrze swojego miasta.

Rozdział 12

Tuż przed godziną dziewiątą weszłam do domu Celi. Niebo przybrało atramentową barwę, przez co w holu było jeszcze ciemniej. Przy drzwiach znalazłam włącznik światła, nacisnęłam go i zakurzony żyrandol ożył.

Gdy podążałam do windy, echo moich kroków odbijało się od ścian, a torba z zakupami szeleściła. Winda już czekała, zaczęła się unosić w górę ze zwyczajowym grzechotaniem i stukotem. Obserwowałam mijane piętra. *Klik, klik. Stuk, puk.* Planowałam przygotować szybko makaron z sosem i spędzić resztę wieczoru nad tekstem o gali „Krwi Młodości” dla „Pandory”.

Zesztywniałam, gdy kątem oka zauważyłam jakiś ruch na trzecim piętrze.

Co to było?

Spojrzałam ponownie.

W pobliżu pokrytych pajęczyną drzwi stała młoda kobieta - naga młoda kobieta. Byłam tak zaskoczona, że aż krzyknęłam. Zniknęła w mgnieniu oka. Winda jechała dalej, a ja upuściwszy zakupy, przykucnęłam, żeby spojrzeć jeszcze raz przez żelazne pręty, ale nie zobaczyłam już nagiej postaci. Winda zatrzymała się na piętrze Celi i budynek ponownie pogrzył się w ciszy. Przez chwilę stałam niezdecydowana, nie zwracając

uwagi na czosnek i pomidory rozsypujące się po podłodze windy.

W głowie wciąż słyszałam ostrzeżenie Celi, żeby nie chodzić po innych piętrach budynku, ja jednak nie mogłam tak po prostu zapomnieć o tym, co widziałam. Nacisnęłam guzik z numerem trzy.

O rany...

Winda, grzechocząc, zaczęła zjeżdżać piętro niżej. Gdy się zatrzymała, otworzyłam drzwi i ostrożnie wyszłam na korytarz. Zwracając baczną uwagę na jakikolwiek odgłos lub ruch, byłam niczym zwierzę badające niebezpieczny nowy teren. Stałam nieruchomo, rozglądając się na wszystkie strony. Za moimi plecami drzwi windy zamknęły się i zapadła cisza.

- Halo? - zawołałam niepewnie.

Nie było odpowiedzi.

Spróbowałam dokładnie odtworzyć to, co widziałam. Była tu młoda kobieta, naga. Miała blond włosy, tak mi się wydawało. Jasne i falujące. Jej ciało też było jasne. Na ramieniu zauważyłam chyba coś ciemnego. Opaskę? Tatuaż? Znamię?

-Jest tu kto? - krzyknęłam. Podeszłam do drzwi apartamentu i nacisnęłam klamkę. Była zimna, a drzwi były zamknięte na klucz.

Zapukałam.

-Halo?

Wszędzie panowała cisza.

Pchnęłam je delikatnie. Potem trochę mocniej. Nie, na pewno były zamknięte. A oplatające je pajęczyny potęgowały wrażenie, że drzwi nie otwierano od dłuższego czasu. Mimo to pomyślałam, że ta kobieta weszła do środka. Bo dokąd miałaby pójść? Niemożliwe, żeby przeszła przez

drzwi, prawda? Zadrżałam. Może była duchem. Tak jak porucznik Luke. Ale przecież, to był tylko sen... czyż nie?

Winda za mną nagle ruszyła. Przestraszyłam się i podbiegłam do niej natychmiast, jakbym mogła w jakiś sposób ją zatrzymać, ale oczywiście było za późno. Nacisnęłam guzik, by przywołać ją z powrotem, i bezradnie patrzyłam, jak moje zakupy jadą na górę. Nagle poczułam niewytłumaczalny strach na myśl o samotnym przebywaniu na tym piętrze. Równie mocno przerażało mnie to, że windę wezwała prawdopodobnie moja cioteczna babka Celia. Co by powiedziała, widząc mnie tu, na trzecim piętrze, po tym jak wyraźnie zabroniła mi odwiedzać inne kondygnacje?

Świetnie.

Kolejna minuta mijała nieskończenie wolno. Przemknęło mi przez myśl, żeby się ukryć, ale gdzie? Poza tym na podłodze windy znajdowały się moje zakupy. Nie było wyjścia - zostałam przyłapana. Poprzez pulsujący w uszach szum usłyszałam, że piętro niżej drzwi najpierw się otworzyły, a potem zamknęły. Winda ruszyła w dół. Zebrałam się na odwagę, by stawić czoło Celii.

Ciociu Celio, przepraszam, wydawało mi się, że widzę nagą kobietę z tatuażem kręcącą się gdzieś tutaj i po prostu musiałam to sprawdzić...

Winda zatrzymała się na trzecim piętrze. Drzwi się otworzyły, a ja nabrałam powietrza, żeby coś powiedzieć...

Ale winda była pusta.

Nie licząc moich zakupów, oczywiście. Wskoczyłam do środka i nacisnęłam przycisk czwartego piętra. Poczułam ulgę i wyrzuty sumienia, że nie zastosowałam się do życzeń Celii. Wstyd mi było, że okazałam się tchórzem i tak bardzo się przeraziłam. Naprawdę zdawa-

ło mi się, że kogoś tam zobaczyłam... albo coś. Czy to znów sprawka mojej wyobraźni? Mój ojciec powiedziałby: „Mam dość twoich nieprawdopodobnych historyjek, młoda damo. Dorośnij w końcu”.

Zebrałam porozrzucone warzywa i wyszłam z windy. Zapukałam ostrożnie do drzwi i weszłam do środka.

-Ciociu Celio, wróciłam - oznajmiłam od progu. Zagryzłam wargi. Nie widziałam żadnej nagiej kobiety na trzecim piętrze. Wszystko było w porządku, powiedziałam sobie.

Moja cioteczna babka siedziała jak zwykle w fotelu. Z miejsca, w którym stałam, mogłam zobaczyć jej stopy.

-Wcześniej wróciłaś - odparła. Zdjęła stopy z podnóżka i postawiła je na podłodze. - Jak było na promocji? Poznałaś kogoś wyjątkowego?

Pomyślałam o Jayu i uśmiechnęłam się.

- Poznałam trochę miłych ludzi - odpowiedziałam. -A ta modelka, Atanazja?

- Ona nie należy do miłych osób.

W odpowiedzi usłyszałam zduszony śmiech. -Tak - powiedziała. Usłyszałam skrzypienie skórzanego fotela i zobaczyłam, że oparła stopy na podnóżku.

- Umieram z głodu, ugotuję sobie makaron. Masz na coś ochotę?

- Och, nie, moja droga. Dziękuję - odparła. - Jesteś naprawdę przemiała.

Zsunęłam ze stóp czerwone czółenka i poszłam do kuchni. Położyłam zakupy na blacie, wyjęłam deskę do krojenia i nóż i nalałam wody do garnka. Włączyłam gaz i ustawiłam płomień. Gdy umieściłam garnek na ogniu, przez chwilę słychać było syczenie wody.

-Zdejmę tylko tę piękną sukienkę - zawołałam. -

Dziękuję ci bardzo, że mi ją pożyczyłaś! Zrobiła ogromne wrażenie!

Powiesiłam ostrożnie czerwoną sukienkę Celi na wieszaku na drzwiach wysokiej szafy. Na szczęście, nic na nią nie wylałam, a delikatne zagniecenia materiału od siedzenia w taksówce wkrótce same się wyprostują, pomyślałam. Byłam zaskoczona, że tak przyciągała uwagę. Jay Rockwell nawet nie rozpoznał we mnie dziewczyny spotkanej w windzie zaledwie dwa dni wcześniej. *Ubrania nie świadczą o kobiecie, ale sprawiają, że zostaje zauważona* - przemknęło mi przez głowę.

- Och! - usłyszałam zduszony krzyk. Rozległ się łomot i brzęk tłuczonego szkła.

Zaalarmowana, pobiegłam za tym odgłosem, ubrana tylko w bieliznę, i ujrzałam cioteczną babkę Celię kulącą się pod ścianą w korytarzu naprzeciwko kuchni. Przewróciła wazon w korytarzu i parkiet pokrywały teraz płatki kwiatów, woda i kryształowe odłamki.

-Nie ruszaj się, bo się skaleczysz! - krzyknęłam. -Posprzątam to szkło.

Pobiegłam z powrotem do swojego pokoju, narzuciłam szlafrok, w kuchennym schowku znalazłam miotłę i śmietniczkę. Błyskawicznie wróciłam i uklęknęłam przy Celi. Zauważyłam, że była w butach, a więc ryzyko zranienia się było naprawdę niewielkie.

- Ciociu Celio?

Wyglądało na to, że kuliła się nie z powodu potłuczonego szkła, ale ze względu na coś innego. Coś z kuchni.

- Zabierz to! - Celia na pół ryknęła, na pół krzyknęła zmienionym nie poznania głosem.

Dźwięk ten sprawił, że natychmiast się wyprostowałam i otworzyłam ze zdumienia usta. W końcu Ce-

lia poruszyła się i uciekła z korytarza, zakrywając nos i usta rękami. Zdezorientowana, rozejrzałam się dookoła. Moje zakupy leżały na blacie. Woda na kuchence właśnie zaczynała się gotować. Nie widziałam tu nic niewłaściwego.

- Co mam zabrać?

Moja cioteczna babka przystanęła na chwilę w wejściu do swojej sypialni.

- Czosnek! Wyrzuć go! Zatrzasnęła drzwi.

Rozdział 13

Po dobrych trzydziestu minutach cioteczna babka Celia pojawiła się w korytarzu, teraz już pogodna. Zdążyłam posprzątać bałagan i na nowo nastawiłam wodę. Kryształowego wazonu nie dało się uratować. Musiała naprawdę mocno uderzyć w stół, skoro się przewrócił.

- Pandoro, kochanie? - zapytała.

- Pozbyłam się czosnku - odparłam sztywno, wciąż mocno zszokowana całym zajściem. Ciotka Georgia ostrzegała mnie, że cioteczna babka będzie stara, krucha i prawdopodobnie trochę zniedołężniała, ale nie zaobserwowałam u Celi ani przez chwilę zniedołężnienia czy kruchości, aż do zdarzenia pół godziny temu. - Wyrzuciłam. Jest w koszu na zewnątrz budynku.

Zadowolona, że przeszkadzające jej warzywo zostało usunięte z mieszkania, Celia zaczęła wolno iść do przodu, wachając powietrze.

- Och, jeszcze go czuć, prawda? - narzekała.

Ja tylko kupiłam główkę czosnku, nawet nie zdołałam ugotować ani jednego ząbka. Absurdem byłoby przypuszczać, że ktokolwiek mógłby wyczuć zapach czosnku w tym mieszkaniu.

Celia westchnęła i podeszła do mnie. Jej czarna woalka była na swoim miejscu, a przez jej oczka widziałam, że wrócił jej pogodny nastrój.

- Przepraszam, że tak cię nastraszyłam - powiedziała. - Powinnam była cię ostrzec, że mam silną alergię na czosnek.

- Och, nie. To ja przepraszam - odparłam, próbując ukryć zaskoczenie. Nie byłam ekspertem, ale czy alergie pokarmowe nie odnosiły się zazwyczaj do jedzenia, a nie wąchania? - Wszystko w porządku? Nie skaleczyłaś się?

- Nic mi nie jest. Czy byłabyś tak dobra i otworzyła okno w kuchni? - poprosiła.

Otworzyłam okno, jak chciała. Uderzyło mnie chłodne nocne powietrze. Kiedy wróciłam, poklepała mnie serdecznie.

- Powinnam była cię ostrzec - powtórzyła. - Nieważne. Teraz już wiesz.

Potem spuściła wzrok, spojrzała na moją prawą dłoń i zmrużyła oczy. Przez materiał woalki zobaczyłam na jej twarzy dziwną dzikość. Powędrowałam za jej spojrzeniem i zdałam sobie sprawę, że sprzątając kryształowy wazon, skaleczyłam się w palec wskazujący. Na jego czubku miałam małą rankę. Wzdrygnęłam się instynktownie i schowałam dłoń za plecami.

- Kochanie - powiedziała Celia z uśmiechem. - Lepiej opatrz to skaleczenie.

-Ach... nie zauważyłam.

- Będzie ci potrzebny plaster, moja droga. Jest w twojej łazience, na górnej półce - dodała.

Usłyszałam za sobą odgłos wygotowującej się wody. Pobiegałam do kuchni wyłączyć gaz. Wcześniej umierałam z głodu, ale teraz zupełnie straciłam apetyt.

- Usiądź - zaproponowała Celia, gdy wróciłam z kuchni. Wskazała na podnózek.

Usiadłam, składając nerwowo ręce na kolanach. Dłonią ścisnęłam mocno skaleczony palec. Później przykleję plaster, jeśli będę go potrzebowała.

- Pytałaś mnie wcześniej o Światowe Towarzystwo Badań nad Parapsychologią. Czy ktoś ci kiedykolwiek mówił, że masz umysł dziennikarki śledczej?

Ożywiłam się nieco, słysząc ten komplement. Kto wie, może pewnego dnia naprawdę zostanę dziennikarką śledczą. Może będę pisać artykuły na ważne tematy zamiast o promocji kosmetyków.

- Może opowiem ci co nieco o tym budynku? - zaproponowała Celia, a mnie nagle przyszło do głowy, że próbuje odciągnąć moją uwagę od tego dziwnego incydentu z czosnkiem.

- To wspaniale - odparłam z rezerwą. - Naprawdę jestem ciekawa.

- Towarzystwo Badań nad Parapsychologią powstało w Wielkiej Brytanii za panowania królowej Wiktorii. Miało na celu badanie zjawisk paranormalnych i para-psychologicznych.

Paranormalnych.

Parapsychologicznych.

Moje wyparcie było tak silne, że zmroziło mnie na samo wspomnienie. Zacisnęłam dłonie.

- Towarzystwo założyła w Londynie grupa ważnych osobistości, profesorów akademickich, badaczy i naukowców - wyjaśniła Celia. - Wkrótce potem za oceanem zaczęły powstawać podobne organizacje. Edmund Barrett, człowiek, który zaprojektował ten budynek, był członkiem takiego właśnie stowarzyszenia. Oczywiście, w przeszłości nie brakowało szokujących doniesień o telepatii, zdolnościach parapsychologicznych, duchach

i nawiedzaniu. W czasach wiktoriańskich seanse spirytystyczne były dość popularne. Jak mniemam, towarzystwo powstało właśnie po to, żeby badać takie zjawiska i szukać prawdy. Naturalnie, od tego czasu wiele się zmieniło. Istnienie zjawisk paranormalnych po prostu nie jest akceptowane w naszej kulturze. Jeśli w przeszłości stowarzyszenie egzystowało na marginesie społeczeństwa, to teraz praktycznie zeszło do podziemia.

- Ono nadal istnieje? - byłam w szoku.

-Tak. TBP wciąż istnieje. Od lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku wydają swoje czasopismo.

Byłam tak zafascynowana jej opowieścią, że moje obawy dotyczące jej dziwnego zachowania zeszły na drugi plan.

-Wydaje się jednak, że Edmund Barrett różnił się od swoich przyjaciół - ciągnęła Celia. - Jego eksperymenty były bardziej odważne. Pamiętaj, że pochodził z bogatej i poważanej rodziny - powiedziała, pochylając się do przodu - zatem to naturalne, że przez jakiś czas nikt nie odważył się go powstrzymać. - Zamyślona spojrzała na cienie. - Ale kiedy wywołał skandal, został wyrzucony z towarzystwa, które sam założył. Chodzą słuchy, że przyczyną tego były jego eksperymenty, choć mówi się też, że odszedł sam z powodu różnicy zdań. W każdym razie, gdy to się stało, Barrett zaczął prowadzić badania na własną rękę tutaj.

-Tutaj?

Serce w piersi waliło mi niczym młot, a dłonie zaczęły się pocić.

-Barrett prowadził eksperymenty parapsychologiczne w tym budynku? - zapytałam bez tchu. -Właśnie tak, moja droga. Właśnie tu. W tym cza-

się tu mieszkał - odparła poważnie Celia. - O ile wiem, budynek, w którym się znajdujemy, był zarówno jego domem, jak i laboratorium, w którym prowadził testy umiejętności paranormalnych. Dopiero później został on podzielony na osobne mieszkania.

Bez słowa zamrugałam. Było tu tyle pokoi. Naturalnie, bogaty człowiek mógł sobie pozwolić na tak okazały dom. Ale laboratorium badawcze? Gdzie się mieściło? Co w nim robił?

-Jako architekt Barrett wierzył, że można z powodzeniem stworzyć taką konstrukcję, która będzie wzmacniać umiejętności parapsychologiczne badanych osób. Swoje projekty architektoniczne traktował jak projekty naukowe. Wierzył, że odpowiednie otoczenie może wzmocnić działania paranormalne, a także pełnić rolę swego rodzaju nadprzewodnika dla duchów, telepatii, zdolności parapsychologicznych i tak dalej. Zaprojektował ten budynek specjalnie w tym celu. - Spojrzała na mnie uważnie, chcąc się zorientować, jak reaguję na jej słowa. - Budynek, w którym mieszkamy, jest swoistym magnesem przyciągającym pewnego rodzaju energię oraz aktywność. A dokładniej tym właśnie był według Barretta. Zderzają się w nim wielkie moce.

Poczułam, jak włosy na karku stają mi dęba i dostaję gęsiej skórki.

-Oczywiście, większość ludzi uważała, że postradał zmysły - dodała, jakby chcąc złagodzić te rewelacje. -Historia nie była łaskawa dla Barretta.

-Jakie eksperymenty tu prowadził? - odważyłam się zapytać. Cioteczna babka splotła swoje delikatne palce.

-Trudno to stwierdzić z całą pewnością. Po pożarze nie odnaleziono jego zapisków.

Moje serce znów na chwilę się zatrzymało.

- Po pożarze? - Z tego, co do tej pory widziałam, budynek wyglądał na nieuszkodzony, nie licząc nadgryzienia zębem czasu.

-Barrett zginął w dość niecodziennym pożarze w... kiedy to było? Chyba w 1908 roku. Ponoć doszło do „samozapłonu”.

Jak dotąd słyszałam to określenie tylko w humorystycznym kontekście. Czy to nie Morticia żartowała właśnie w ten sposób?

- Jego ciało spłonęło do szcztetu, a razem z nim wszystkie jego notatki. Mówiono, że reszta pokoju i budynku pozostała nietknięta. I jego stopy, też były nietknięte. Zostały w butach.

Poczułam, że ogarnia mnie fala mdłości.

- Ale przecież samozapłon jest niemożliwy - odparłam z rezerwą. - Ludzie nie stają, ot tak, w płomieniach.

- Być może.

Zamilkłam na dłuższy czas. Nie wiedziałam, jak zareagować na całą tę pogadankę o badaniach paranormalnych, telepatii, duchach i samozapłonie. Wyobraźnia podsuwała mi wizję ciotecznej babki Celi jako zwariowanej starej kobiety, mimo jej zwodniczo młodego wyglądu. (Na który, notabene, wciąż nie znalazłam wytłumaczenia. Może jej świeża, gładka twarz była tylko wytworem mojej wyobraźni?)

- A co się stało z jego rodziną? Miał dzieci?

-Ach, to smutna historia - odparła Celia. - Nie mieli dzieci, a wdowa po nim powiesiła się dokładnie rok po pożarze. W holu, z tego, co pamiętam. Niezły skan-

dal. Targnięcie się na własne życie jest straszne, nie sądzisz?
Przytaknęłam.

- Czy odkąd tu zamieszkałaś, zauważyłaś coś niezwykłego? - zapytała Celia, patrząc na mnie badawczo. To nie był wzrok szalonej staruszki. W moim umyśle wciąż tkwił obraz pogrążonej w żalu wdowy, która wiesza się w holu, tak więc trwało to dobrą chwilę, nim pomyślałam o moim przystojnym żołnierzu.

Porucznik Luke. I kobieta na trzecim piętrze.

Spuściłam wzrok i wpatrywałam się w swoje dłonie. *Czy ona wie o nim?* - zastanawiałam się. Skąd miałyby się dowiedzieć? Przecież był tylko wytworem mojej wyobraźni.

-Mam pewne zdolności, ale nie nawiedzają mnie duchy zmarłych - w głosie Celi wyczułam nutę żalu. -A ciebie, Pandoro?

Czy Celia sugerowała, że moje fantazje były prawdziwe?

- Nie wierzę w takie rzeczy - odparłam słabym głosem, unikając jej spojrzenia. Było mi głupio, bo zdawałam sobie sprawę, że kłamię. Czy na pewno? Wciąż nie wiedziałam, w co wierzę i co widzę. Ale przecież zawsze widziałam coś. Zawsze. Moje fantazje zaczęły się we wczesnym dzieciństwie i choć stopniowo zanikały, nigdy nie udało mi się ich całkowicie wyeliminować, nawet gdy mieszkałam u ciotki Georgii - a mówię wam, ciotka Georgia jest ostatnią osobą na ziemi, z którą chciałoby się poruszać temat duchów lub wizji. Kiedy miałam trzynaście lat, myślałam, że odwiedza mnie moja zmarła matka. Przez rok dużo rozmawiałyśmy. Nawet uczyła mnie trochę archeologii. Tłumaczy-

łam sobie, że to był taki etap żałoby. Moje myśli przerwał nagły ruch, Celia wstała ze swojego skórzanego fotela i wygładziła fałdy sukienki. Delikatnym ruchem wsunęła stopy w buty.

- Przepraszam, ale muszę już iść - oznajmiła.

Zrozumiałam, że nasza rozmowa dobiegła końca. Zastanawiałam się, czy stało się tak, bo cokolwiek powiedziała, stawiałam opór.

- Mam randkę - dokończyła.

To były najbardziej zaskakujące słowa, jakie wypowiedziała tego wieczoru.

- Och! - Staralam się, jak mogłam, ukryć zaskoczenie, by nie dać jej do zrozumienia, że ona i randki do siebie nie pasują, i by jej w ten sposób nie urazić. - Cóż, to wspaniale, ja, hm, baw się dobrze - wykrztusiłam.

Uśmiechnęła się.

- Och, będę. Nie martw się, porozmawiamy jeszcze

o tym później, droga Pandoro. Pomyśl o tym, co powiedziałam. Wiem, że będziesz miała wiele pytań. W każdym razie, cieszę się, że opowiedziałam ci o tym budynku. Mam nadzieję, że zrozumiesz dzięki temu niektóre sprawy. Dobranoc, nie czekaj na mnie - powiedziała

i podeszła do drzwi. Zarzuciła na ramiona etolę z lisa i otworzyła drzwi.

Zauważyłam, że nie zawracała sobie głowy mahoniową laską, która stała samotnie oparta o stojak do parasoli.

- A tak przy okazji, jaki jest twój ulubiony numer? Zamrugałam.

- Ulubiony numer? No... siedem - odpowiedziałam. Celia uśmiechnęła się porozumiewawczo.

-Tak. Siedem.

Teraz byłam naprawdę skołowana.

-1 opatrz to skaleczenie, dobrze? - przypomniała mi spokojnie, wychodząc. Wciąż nie przykleiłam plastra, ale rana przestała krwawić. - I nie kombinuj.

Wiedziała o trzecim piętrze! Otworzyłam usta, żeby przeprosić, ale zamknęła za sobą drzwi.

Rozdział 14

Staralam się. Naprawdę.

Zjadłam małą porcję makaronu - bez czosnku -i wykapałam się w ozdobnej wannie na lwich łapach. Potem siedziałam w swoim pokoju ubrana w koszulę nocną, okrywszy stopy kocem. Próbowałam czytać książkę, ale jakoś nie mogłam się na niej skupić. Zaczęłam porządkować notatki do artykułu na temat promocji „Krwii Młodości”, ale nie mogłam się skoncentrować. Zamiast tego wpatrywałam się w ozdobną sztukaterię na suficie i w myślach odtwarzałam jedno po drugim słowa ciotecznej babki Celi.

Samozapłon. Badania nad parapsychologią. Nawiedzenia.

Czyżby moja cioteczna babka dawała mi do zrozumienia, że to, co przez całe życie brałam za wytwory mojej wyobraźni, było prawdą? Przez dziewiętnaście lat wmawiano mi, że jestem dziwna, inna, nienormalna i pomyłona. Mówiono mi, że mam zbyt żywą wyobraźnię. A jednak, jeśli dobrze ją zrozumiałam, moja ciotka zdawała się sugerować, że przez cały czas to nie ja, lecz moi oskarżyciele się mylili. To było szokujące.

Trzecie piętro. Wróc na trzecie piętro.

Musiałam się upewnić, czy moje wyobrażenia były prawdziwe. Czym było to coś na trzecim piętrze? Du-

chem? Czy naprawdę miałam zdolności parapsychologiczne? Byłam medium? Natura badacza kazała mi zejść tam i sprawdzić tę teorię. Jeśli był tam duch taki jak porucznik Luke, to jaką szkodę mógł mi wyrządzić? A skoro na pewno nie spałam, nie mógł to być sen. Jeśli coś zobaczę, będę wiedziała, że nie wyobraziłam sobie tego. To przesądzi sprawę.

Zdjęłam koszulę nocną i założyłam moje ulubione džinsy i T-shirt, owinęłam się ciepłym szalem i wyszłam z mieszkania uzbrojona w nóż kuchenny (cóż, w końcu to był Nowy Jork) i pewność siebie zmieszana z ciekawością.

- Przepraszam, Celio - powiedziałam głośno, wsiadając do windy i naciskając guzik na trzecie piętro.

Neogotycka maszyna, trzęsąc się, ruszyła w dół. Nie była to długa podróż, lecz nim drzwi się otworzyły, miałam serce w gardle. Wsiadłam.

- Halo? Czy jest tu ktoś? - stałam nieruchomo tuż przy drzwiach windy, które zamknęły się za mną, grzechocząc jak zwykle. - Haaalo?

Przeszłam kilka kroków. Naturalnie, drzwi były nadal zamknięte. Oparłam się o poręcz, przechyliłam się przez nią i nasłuchiwałam. Nic, cisza.

Po chyba najdłuższych dziesięciu minutach w moim życiu uznałam, że ta próba porozumienia się ze zmarłymi była śmieszna. To, że wcześniej wydawało mi się, że widziałam tu nagą kobietę, nie znaczyło, że będzie tu teraz. I tylko dlatego, że przed moimi widzeniami otworzyły się nowe rewolucyjne perspektywy, nie znaczyło to, że pojawią się i powitają mnie w tym nowym podejściu.

Głupia.

Odwróciłam się w kierunku windy - i zatrzymałam się.

Błada postać siedziała skulona w rogu korytarza, trzymając kolana pod brodą. Była to ta sama kobieta, którą widziałam wcześniej. Nie wymyśliłam jej sobie. Była tam. Tak prawdziwa - jak tylko prawdziwy może być duch. Tym właśnie musiała być. Duchem. Jak ten rzeźnik, wiele lat temu. Jak Luke.

-Cześć - powiedziałam, zbierając się na odwagę. -Nazywam się Pandora English. Przychodzę w pokojowych zamiarach. - *Co to? Film o kosmitach?* - To znaczy, nie zrobię ci krzywdy - poprawiłam się. - Podejdę do ciebie. - Ostrożnie położyłam nóż kuchenny na podłodze, między moimi stopami.

Powoli zbliżyłam się do skulonej postaci, wstrzymując oddech. To bynajmniej nie był pierwszy duch, jakiego spotkałam, lecz teraz, gdy Celia zachęciła mnie, bym uwierzyła, że to, co widzę, jest prawdziwe, czułam się inaczej. Zatrzymałam się w bezpiecznej odległości -około dwóch metrów.

- Cześć. Jak masz na imię? - zapytałam, przerażona i zafascynowana.

- Dlaczego tu jestem? - zapytała kobieta, patrząc za mnie i rozglądając się na boki. Bezkrwistymi palcami dotknęła swojej twarzy i zaczęła kołysać się do przodu i do tyłu. - Dlaczego tu jestem? Dlaczego tu jestem? -pytała błagalnie.

Zagryzłam wargi.

-Przykro mi. Pytasz niewłaściwe medium, jeśli tym właśnie jestem. Jeszcze nie wiem, jak to działa - odparłam przeproszającym tonem.

Podeszłam bliżej i podałam jej dłoń. Wyciągnęła swoją i, ku mojemu zdziwieniu, w dotyku była ona taka sama jak dłoń człowieka, tylko o wiele chłodniejsza. Wstała,

a ja się zarumieniłam. W końcu była zupełnie naga. Nie wspominając już o tym, że także nieżywa i najwyraźniej trochę zagubiona.

-Może chcesz się tym okryć? - zaproponowałam, zdejmując mój szal.

Wzięła go i owinęła się.

-Dziękuję - odparła niewyraźnie, a potem stanęła nieruchomo w kącie, milcząc.

Zastanawiałam się, w jaki sposób pomóc jej znaleźć odpowiedzi na dręczące ją pytania.

-Moja cioteczna babka Celia i ja rozmawialiśmy właśnie... Wiesz, ona jest właścicielką tego budynku, i mówi, że został zaprojektowany tak, by wzmacniać zdolności parapsychologiczne. Dlatego jesteś tutaj, teraz po, hm... śmierci.

Moje wyjaśnienia na temat niezwykłości budynku jakoś nie wpłynęły na nią budująco.

- Spotkałam już tutaj jednego ducha - dodałam cicho, mając na myśli Luke'a. Jednakże ten duch była jakiś inny. Ona zdawała się bardziej „prawdziwa” niż porucznik, choć bardzo blada. Nie rozplywała się w powietrzu. A jej ręka była niemal prawdziwa w dotyku. - Pamiętasz to miejsce? - zapytałam. - Mieszkałaś tu?

Zaprzeczyła.

-Nie wiem. Niczego tu nie poznaję... chociaż, może trochę. - Rozejrzała się niepewnie. - Jesteś jedyną osobą, którą tu spotkałam i która chce ze mną rozmawiać.

Poczułam się lepiej, jakbym wykonywała jakieś usługi dla żyjących po śmierci.

-Wszystko będzie dobrze. Musisz być spokojna. Jakoś to rozwiążemy.

A potem co? Wyśle ją do nieba? Może i bytom medium, ale nie Bogiem

- Od dawna tu jesteś? - zapytałam nagiego ducha. Potrząsnęła głową.

- Nie sędzę.

Jej dolna warga zaczęła drżeć. Czy to jej śmierć wyczułam, gdy pierwszy raz wkroczyłam do tego budynku? Czy to możliwe? Duch kobiety odwrócił się i oparł o ścianę. Zaczęła płakać.

- Powiedziałaś, że jestem duchem? Czyja umarłam? Przytaknęłam.

- Obawiam się, że tak - odparłam, nie mając na podorędziu mniej makabrycznej odpowiedzi.

Usłyszawszy to, zaczęła histeryzować.

- Umarłam! - krzyczała. - Umarłam! Umarłam! Znów zagryzłam wargi i położyłam ręce na jej ramionach, próbując ją uspokoić. Jednak ona się odsunęła i odepchnęła mnie.

- Nie żyję! Och, nie żyję!

- Och, nie! Och, przykro mi! Ja tylko myślałam... -Cóż, „myślałam” to za dużo powiedziane. - Niczego nie pamiętasz? Nie pamiętasz, co ci się przydarzyło? - zapytałam.

Znów zaprzeczyła. Uspokajała się powoli. Jej rysy złagodniały, a ramiona opadły.

- Byłam na sesji zdjęciowej, a potem... a co potem nie pamiętam.

- Na sesji? - powtórzyłam, zdziwiona. A potem przyszła mi do głowy pewna myśl. Czy to możliwe? - Masz na imię Samanta? - zapytałam zszokowana. Wstrzymałam oddech, czekając na odpowiedź.

- Samanta - powtórzyła sennie. - Tak, Samanta. Mam na imię Samanta.

Nie mogłam w to uwierzyć. Moja poprzedniczka w „Pandorze”! Poznałam ją, bo widziałam jej zdjęcie w szufladzie biurka. Ale w jaki sposób zmarła i jak znalazła się w domu Celi? To był niezły zbieg okoliczności. I tylko zbieg okoliczności... prawda?

- Nie wiesz, dlaczego tu jesteś? - wypytywałam ją.

- Nie, chyba nie znam tego miejsca. A może znam, ale sobie nie przypominam.

Zastanawiałam się.

-A może chodzi o mnie? O to, że dostałam twoją pracę? - wydawałam się jedynym ogniwem.

Czy będę nawiedzana przez wszystkich dawnych pracowników „Pandory”? - przemknęło mi przez głowę. *Bo może to się przekształcić w pełnoetatowe zajęcie.*

-Co ci się przydarzyło? - powtórzyłam. Chwyciłam jej twarz w swoje dłonie, błagając ją, żeby sobie przypomniała. (Zdecydowanie w dotyku była jędrna. Nie to, co mglisty żołnierz z czasów wojny secesyjnej). - Czy ktoś cię skrzywdził? - Przechyliłam głowę. - Co tam masz na szyi? - Opuściłam ręce i potarłam palce o szwy dzinsów.

-Co? Co? - zapytała, próbując spojrzeć na własną szyję, co oczywiście było niemożliwe.

Mój Boże.

-To wygląda jak... ślady po ugryzieniu. Masz na szyi ślady po ugryzieniu. - Cofałam się powoli na trzęsących się nogach, tak jakby ziemia usuwała mi się spod stóp.

Czy mogą to być ślady po ugryzieniu? Ślady kłów?

O *mój Boże*. Moja słodka, hojna, życzliwa, zbyt-młodo--wyglądająca, unikająca światła cioteczna babka Celia

jest wampirem i zabiła tę biedną dziewczynę, żebym mogła dostać jej posadę!

Zakryłam usta dłonią, żeby nie zacząć krzyczeć.

-O co chodzi? - zapytała martwa Samanta, wciąż próbująca zobaczyć swoją szyję.

-Nic takiego. Nieważne. Zapomnij, że cokolwiek mówiłam.

Och, niedobrze. Bardzo niedobrze. Czy moja miła cioteczna babka wysała krew z tej dziewczyny, żeby zapewnić mi pracę? *Naprawdę?* Nie. Nie mogłam uznać Celi za winną tylko na podstawie śladów ukąszeń na szyi zjawy mieszkającej w tym samym budynku. Nie byłoby to uczciwe. A może jednak? Potrzebowałam wiarygodnej opinii. Ale kogo?

Wyrwałam się z zadumy, gdy zdałam sobie sprawę, że z martwą Samantą coś się dzieje. Jej oczy zrobiły się czarne jak smoła i wpatrywała się nieruchomo w moją dłoń. Chwilę trwało, nim zdałam sobie sprawę, że patrzy na czubek mojego palca. Skaleczenie zaczęło krwawić. Szwy moich dżinsów były lekko ubrudzone krwią.

Samanta otworzyła usta i straszliwie warknęła. Tym razem nie mogłam powstrzymać krzyku. Ta miła, zagubiona młoda kobieta miała kły!

Co u licha? Rzuciła się do przodu, a ja cofnęłam się tak szybko, jak mogłam.

- Hej! Czeka! - zawołałam.

Nie była martwa. Była nieumarła. A to duża różnica.

Przypomniałam sobie o czosnku, który wyrzuciłam ze względu na Celię. Miałam pecha, że leżał teraz w śmietniku, a nie w torbie na zakupy jak wtedy, gdy ją pierwszy raz zobaczyłam. Może dlatego właśnie uciekła.

Och!

Zupełnie zniecka nastąpił głośny wybuch między nami i młodą kobietę odrzuciło na dwa metry do tyłu. Upadła na podłogę z ciężkim łoskotem i leżała tam, wyglądając na jeszcze bardziej zagubioną niż wcześniej. Cała jej agresja się ulotniła.

- Przepraszam. Co się stało? - wymamrotała. - Gdzie jestem?

Nagle poczułam zimno, nie tylko dlatego że stworzenie leżące na podłodze miało mój szal. Powietrze wokół mnie było wilgotne i chłodne niczym chmura. Przed sobą zobaczyłam zarys postaci porucznika Luke'a Thomasa formujący się najpierw powoli, a później coraz szybciej. Objął mnie delikatnie.

- Wracajmy na górę - ponaglił. Nie sprzeciwiałam się.

Mój nieżyjący przyjaciel zaprowadził mnie do windy, a gdy wjechaliśmy na górę, wszedł ze mną do mieszkania, choć jak przypuszczam, nie potrzebował do tego otwartych drzwi. Celia jeszcze nie wróciła, co zauważyłam z ogromną ulgą. Zaprowadziłam Luke'a do swojego pokoju, zamknęłam drzwi i usiadłam na krawędzi łóżka, z całych sił starając się nie rozkleić.

- Nie potrzebowałam pomocy - powiedziałam już drugi raz tej nocy. Tym razem jednak to nie była prawda.

Porucznik Luke trzymał czapkę w dłoni.

-Naprawdę? Bo wyglądało to tak, jakby jej panienska potrzebowała...

-No dobra. Może trochę potrzebowałam - przyznałam. - Myślałam, że jest duchem, jak ty. Żaden duch mnie nigdy nie skrzywdził, nie zdawałam sobie sprawy, że są tu jeszcze... - zamilkłam.

- Wampiry? - dokończył. - Właśnie. One.

- Spektor pełen jest przeróżnych istot - poinformował mnie porucznik Luke. - Lepiej nie wychodzić samotnie w nocy.

W końcu zaczęłam przyjmować to do wiadomości.

-To przez ten budynek - dodał. - Jest centralnym punktem w okolicy. Od czasu gdy go wybudowano, z każdym rokiem wszystko zaczęło się zmieniać. Chociaż z tego, co słyszałem, pozostałe dzielnice Nowego Jorku wcale nie są bezpieczniejsze w nocy - wyjaśnił, próbując rozładować napięcie.

Spektor wydawał się dziwny, to pewne, ale w sumie niezbyt dokładnie poznałam tę dzielnicę. Pochodziłam z Gretchenville, jakie więc miałam prawo oceniać, co jest dziwne? Mieliliśmy tam mnóstwo niezwykłych śmierci i skandali, nawet było jedno porwanie małego chłopca przez pedofila. Żyjąc wśród takich potworów, czy tak trudno było uwierzyć w wampiry? Duchy?

-Ta dziewczyna jest tu nowa - powiedział Luke. - Nie widziałem jej wcześniej. Myślę, że jest całkiem świeżym wampirem.

W pewnym stopniu wyjaśniało to jej zagubienie.

- Uważałbym na nią. Nowi bywają zupełnie nieprzewidywalni.

A starzy nie? - zastanawiałam się.

- Już nie będzie panienka wychodzić, prawda, panno Pandoro?

- Wychodzić z mieszkania? Nie dziś!

- Nie, panienko. Mam na myśli, że nie opuści już pani dzielnicy Spektor, prawda?

Pomyślałam o tym i wzdrygnęłam się.

-Nie wiem. Obawiam się, że Celia może być... cóż, niebezpieczna.

- Och, nie - odparł Luke. - Nie - powtórzył i podszedł bliżej. - Czy mogę usiąść?

Gdy skinęłam głową, usiadł obok mnie, swym ciężarem ledwo robiąc wgłębienie na łóżku. Otoczył mnie ramieniem. Poczulałam przyjemny chłód.

- Proszę się nie obawiać pani Celii. Nigdy by panienki nie skrzywdziła. W tym mieszkaniu jest panienka bezpieczna. Nikt panienki tutaj nie skrzywdzi. Przecież Celia próbowała panienkę ostrzec, żeby nie wychodzić nocą - tłumaczył mi.

Harold też. -Wiem, ale...

Ale myślę, że zrobiła z kogoś wampira, żebym ja dostała pracę. Chyba posunęła się trochę zbyt daleko, nawet jeśli miała najlepsze intencje.

-Panienko Pandoro, proszę nie odchodzić - błagał Luke. Jego jasne błękitne oczy nakazywały mi zostać. -Od tak dawna z nikim nie rozmawiałem. Naprawdę panienkę polubiłem.

-A ja ciebie - usłyszałam swoje słowa.

Nasze spojrzenia się spotkały. A potem nasze usta.

Niebywałe wrażenie.

Usta Luke'a były miękkie niczym poduszki, trzymał mnie w ramionach z pasją, jakiej nigdy dotąd nie doświadczyłam. No dobra, nie całowałam się zbyt wiele razy, ale rany, to były zupełnie inne pocałunki niż te, którymi obdarzali mnie chłopcy w rodzinnym mieście. Moim jedynym stałym chłopakiem w Gretchenville był Ben Roberts, którego poznałam, gdy mieliśmy po sześć lat, ale całować uczyliśmy się dopiero, kiedy mieliśmy

piętnaście. Gdy rok później wyprowadził się ze swoimi rodzicami, pojawili się inni, typowe nieudolne zaloty od czasu do czasu - nachalny język w moim uchu podczas oglądania filmu na kanapie w domu ciotki Georgii i tym podobne. Ostatecznie miejscowi chłopcy przestali mnie interesować. Myślę, że tych, z którymi się całowałam, mogłam policzyć na palcach jednej ręki. A oni z całą pewnością nie potrafili tego, co właśnie robił ze mną nieżyjący porucznik Luke Thomas.

Och, co za rozkosz. Rany, rozkosz całowania pięknego ducha...

Żołnierz popchnął mnie delikatnie na łóżko, a ja oplotałam ramiona wokół jego silnej chłodnej szyi. Jego ciało było jednocześnie jędrne i mgliste, jakby częściowo był prawdziwy, a częściowo - sennym marzeniem. Nasze języki spotkały się i widziałam błyski białego światła. Czułam, że się unoszę.

- Och, Luke... - wyszeptałam z zadowoleniem. Odsunął się gwałtownie.

- Och, panienko Pandoro. Bardzo przepraszam. Oparłam się na łokciach.

- Nie przepraszaj - powiedziałam. Nie chciałam, żeby przestał mnie całować.

- Poniosło mnie, panienko. Przeżyłaś dziś tak wiele. Nie mogę tego wykorzystywać. - Chwycił w dłoń swoją czapkę i stanął z pochyloną głową. - Powinna się panienka położyć.

Wykorzystana przez ducha? To dopiero. Spojrzałam na zegar. Było po pierwszej. To była noc pełna wrażeń.

- Rano muszę iść do pracy - powiedziałam z trudem. Moje ciało powoli wracało do normalnego stanu. Ciepłe

mrowienie ustępowało. Boże, naprawdę całowałam się duchem? Wsunęłam się pod kołdrę i ściągnęłam dzinsy. Rzuciłam je na podłogę obok łóżka. W jakiś sposób, ponieważ był martwy, czułam się przy nim komfortowo.

- Jeśli się panienka wystraszy czegoś, proszę mnie zawołać, dobrze? - powiedział Luke, przykładając chłodną rękę do mojego czoła.

Sennie skinęłam głową.

- Śpij, Pandoro. Śpij. Jesteś już bezpieczna - zapewnił mnie i pocałował ostatni raz.

Poczułam, że moje powieki robią się ciężkie i wkrótce Luke zniknął, by pójść tam, dokąd zapewne udają się duchy, gdy nie nawiedzają żyjących.

Mój duch zniknął, ale ja nie czułam się samotna.

Rozdział 15

Sen byłby zbyt łatwym wyjściem.

Kiedy się ponownie obudziłam, było wciąż ciemno. Leżałam w łóżku w T-shircie i bieliźnie, stanik uwierał mnie pod pachami. Zegar wskazywał za kwadrans trzecia.

Co za noc.

Naprawdę, jak mogłam spać snem sprawiedliwego po takich wydarzeniach? (Wy moglibyście? Nie sądzę).

Długo nie trwało, nim zdecydowałam się wstać, by sprawdzić kolejną teorię. Byłam przekonana, że Celia nie wróciła jeszcze ze swojej „randki”. (Naszły mnie mroczne myśli. Czy wyszła po to, by wyssać z kogoś całą krew?) Byłam wyczerpana, ale nie spałam aż tak głęboko, by nie usłyszeć, jak wraca, pomyślałam. Wstałam i w tym, co miałam na sobie, na palcach przeszłam się po mieszkaniu. W korytarzu nie było etoli z lisa. Zbliżyłam się do jej sypialni i nasłuchiwałam pod drzwiami. Cisza.

Poczułam przyływ nowych sił, poziom adrenaliny wzrósł i następne dwadzieścia minut spędziłam, przestawiając meble i przygotowując się na powrót Celi. Potem usadowiłam się w jej skórzanym fotelu. I czekałam.

Czekałam.

Być może przysnęłam na chwilę, ale w końcu dotarło do mnie delikatne dzwonienie kluczy i drzwi się otworzyły. Usłyszałam kroki.

Celia.

Było po czwartej rano, czułam, że pieką mnie oczy byłam przejęta i zdenerwowana jak nigdy w życiu. *Edmund Barrett? Parapsychologia? Widzenia? Wampiry? Pocałunki duchów?* Te słowa przewijały się przez moją głowę wystarczająco długo, by doprowadzić mnie prawie do szaleństwa.

Choć było późno, Celia wyglądała równie świeżo, jak wtedy gdy wychodziła.

A teraz prawda, Celio.

Surrealistyczne odwracając role, zapaliłam małą lampkę do czytania i Celia zobaczyła mnie czekającą w jej fotelu. Na szyi miałam krzyż, wisiorek kupiony kiedyś w Gretchenville na zabawę taneczną w stylu lat osiemdziesiątych. Był wielki, plastikowy i zwisał ciężko na mojej szyi. (Nie, nie założyłam do niego paska z napisem „TOY BOY” na klamrze, choć był częścią zestawu). Przetawiłam lustro w strategiczne miejsce, żeby sprawdzić, czy Celia się w nim odbija. Powstrzymałam się tylko przed wygrzebaniem czosnku ze śmietnika, bo zanadto bałam się wyjść z domu po nieporozumieniu z Samantą.

-Witaj, Pandoro. Nie śpisz jeszcze? - spytała Celia na mój widok. Powiesiła etolę i zatrzymała się w przejściu, elegancka i spokojna.

-Jeszcze nie - odparłam tak spokojnie, jak tylko potrafiłam. - Zastanawiałam się, czy mogę cię o coś zapytać? - Wstałam z fotela i poprosiłam ją, by usiadła.

Zdawało mi się, że pod wieczną woalką błysnął uśmiezek.

- Z pewnością. Mamy dużo do omówienia - zgodziła się. - Ufam jednak, że możemy z tym poczekać do rana?

- Rano nigdy cię nie widuję - odparłam stanowczo.

Zapadła niezręczna cisza.

-To prawda - przyznała. Teraz uśmiechała się zza woalki z zaciśniętymi ustami. - W porządku. Zatem sądzę, że teraz też jest dobra pora.

Moja cioteczna babka przeszła przez salon i stanęła przede mną. Jej wzrok spoczął na wybranej przeze mnie biżuterii, a potem na mojej twarzy. Nawet nie drgnęła, nie mówiąc już o stawaniu w płomieniach. Lustro za jej plecami odbijało zupełnie normalną sylwetkę. Poczułam się jak idiotka. Dopiero co uporałam się z faktem, że potrafię porozumiewać się ze zmarłymi. Najwyraźniej musiałam się jeszcze wiele nauczyć o sprawach nieumarłych.

Jak zwykle pełna wdzięku, Celia zajęła miejsce w swoim fotelu. Zaskrzypiał lekko pod jej ciężarem. Skłoniła głowę w moim kierunku, a pajęczyna woalki rzucała delikatny cień na jej doskonałą alabastrową skórę.

Moje serce biło zbyt szybko, chciałam, żeby zwolniło do normalnego rytmu. Usiadłam na podnóżku naprzeciwko niej i wzięłam głęboki oddech.

- Celio, ile masz lat? - zapytałam wprost. Zamrugowała powiekami. Wyraz jej twarzy się nie zmienił. Skrzyżowała ramiona.

- Kochanie, twoja mama powinna cię nauczyć, że to niegrzeczne pytać damę o wiek.

-Ale jesteś moją cioteczną babką, tak? Siostrą matki mojej matki?

-Oczywiście, że tak, kochanie - zapewniła mnie. -O to chciałaś mnie zapytać? O nasze drzewo genealogiczne? Wyglądasz na strasznie zmęczoną. Powinnaś się wyspać. Możemy porozmawiać o tym innym...

- Dlaczego więc jesteś taka młoda? - spytałam nie-znoszącym sprzeciwu tonem.

Cioteczna babka Celia zacisnęła usta i lekko westchnęła.

-Rozumiem. Nie dasz się zbyć, tak? - słowa padały ciężko z jej ust. Ujęła moje dłonie - jej skóra była w dotyku o wiele chłodniejsza niż moja - i powiedziała poważnym tonem: - Zastanawiałam się, kiedy będziemy musiały odbyć tę małą pogawędkę, ale miałam nadzieję, że nie nastąpi to tak prędko. Jestem pewna, że masz już kilka teorii na temat przyczyn mojego młodego wyglądu...

W tym momencie zdałam sobie sprawę, jak usilnie pragnęłam, żeby wszystko się poukładało, jak bardzo chciałam zostać w tym domu, a nie wracać do ciotki Georgii i mieszkać w nudnym małym Gretchenville do końca mojego życia. Nawet po tym, co zobaczyłam tej nocy, byłam gotowa uwierzyć w każde kłamstwo. Ziola. Źródło młodości. Niesamowita operacja plastyczna. Wiadra kremu „Krew Młodości”. Cokolwiek.

- Naprawdę? - zapytałam.

-Tak - odparła spokojnie i delikatnie uścisnęła moje dłonie. Jedną ręką uniosła czarną woalkę, za którą się zawsze ukrywała, i przypięła ją do włosów.

Bałam się trochę mniej, gdy stanęłam twarzą w twarz z kobietą, którą już zdążyłam polubić. Była dla mnie taka dobra, taka przyjacielska, pomocna i opiekuńcza. Z jej twarzy emanowało łagodne piękno, nie było w niej zła ani niczego złowieszczonego, tylko babcine ciepło oprawione w zbyt doskonałą i zbyt młodą ramę. Wydało mi się niemożliwe, żeby ta kobieta miała kogoś zabić, ale zastanawiałam się, czy potrafiłabym jej wybaczyć, gdyby to uczyniła.

-Słuchaj, to naprawdę nie jest takie straszne, jak ludzie to widzą. Nie wierz we wszystko, co czytasz o...

- O? - podchwyciłam, czekając aż skończy zdanie. Nie ja powinnam je zakończyć. To byłby absurd.

- Naprawdę, to nic takiego. *Zatem to prawda.*

- Jesteś WAMPIREM! - wyrzuciłam z siebie i cofnęłam się tak gwałtownie, że omal nie spadłam z podnóżka. Zakryłam dłonią usta, ale było już za późno. Wymknęło mi się.

W odpowiedzi Celia roześmiała się gardłowo. Przechyliła się do tyłu i chichotała cicho.

-Naprawdę zrobiłaś to Samancie, żebym mogła dostać tę pracę? - sondowałam ją. - Zrobiłaś to? Mój Boże! To okropne!

-Co? - Celia przestała się śmiać. - Co zrobiłam komu? Proszę, kochanie, uspokój się. Nie wiesz, o czym mówisz.

- Och, myślę, że wiem - sprzeciwiłam się. Usłyszawszy nowe oskarżenie, znów zaczęła się śmiać.

- Co? To nie jest śmieszne! Dlaczego się ze mnie śmiejesz? - domagałam się odpowiedzi.

- Nie, moja droga. - Uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając zęby. - Nie jestem wampirem. Widzisz? Nie mam kłów.

To prawda, jej zęby były zupełnie normalne. Ani jeden siekacz nie był spiczasty. Inaczej niż u Samanty.

Przypomniałam sobie książki o wampirach, które czytałam - zawsze myślałam, że to fikcja. Ale czy w większości z nich nie pisano, że wampiry potrafią ukrywać swoje kły jak kot pazury? Albo gdy są, hm, podniecone?

-Ale mogłaś je... schować - zakwestionowałam. - Nie oznacza to, że ich nie masz. Moja cioteczna babka znów zachichotała.

- To dlatego założyłaś ten wielki krzyż Madonny? Musiałam przyznać, że jestem śmieszna i trudno było

mi ją nadal oskarżać. Osunęłam się na podnózek, czując się jak idiotka.

-I co jeszcze? Co nie jest takie straszne? - musiałam wiedzieć. Westchnęła i spoglądała na mnie cierpliwie.

- Och, twoja matka niczego cię nie nauczyła, prawda?

- Czego niby miała mnie nauczyć?

- Och, Aurelia - wypowiedziała imię mojej matki z lekkim zniecierpliwieniem. - Droga Pandoro, jesteś niezwykłą dziewczyną żyjącą w niezwykłym świecie - odparła, wykonując ręką teatralny gest.

Zamrugałam. Byłam gotowa na wszystko, co pomogłoby nadać sens mojemu życiu, a nie na parafrazę piosenki Madonny.

-Pozwól, że zacznę od początku, zanim przejdziemy do tematu nieśmiertelnych - powiedziała Celia, pochylając się i grożąc mi palcem. - A ty nie powinnaś była chodzić po innych piętrach budynku nocą. Ostrzegałam cię i mnie nie posłuchałaś, a teraz masz rezultaty. Zachowujesz się histerycznie.

Zwiesiłam głowę z miną winowajcy.

-Możesz zdjąć ten głupi krzyż. Jest tani i w żaden sposób nie obroniłby cię przed prawdziwym nieumarłym. A urody też ci nie dodaje.

Upokorzona zdjęłam krzyż.

-A teraz, najważniejsza rzecz, jaką powinnaś o sobie wiedzieć, i naprawdę wolałabym, żeby twoja matka tro-

chę mi w tym pomogła... - Ponownie chwyciła moje dłonie. - Masz dar - powiedziała w końcu. - Pandoro, jest on zawarty w twoim imieniu, w twoim dziedzictwie. Zostałaś obdarzona, jak wszystkie kobiety z rodu Lucasta.

Lucasta to było panięskie nazwisko mojej matki. To była także nazwisko Celi, i byłoby moje, gdyby zwyczaj nadawania nazwisk dzieciom nie był tak zdominowany przez patriarchy.

-Masz zdolności. I... cóż... Jesteś wyjątkową dziewczyną z naszego rodu. - W spojrzeniu, którym mnie obdarzyła, było coś szczególnego. *Wyjątkowa?* - Z pewnością jesteś tego świadoma?

Celia popatrzyła na moją twarz i zamarła. Potrząsnęła głową.

-No tak. To przez tego człowieka, którego poślubiła

- powiedziała ze złością. - Przepraszam, kochanie.

-Widocznie przypomniawszy sobie, że był też moim ojcem. Poklepała moją dłoń. - Chodzi o to, że chciała poślubić twojego ojca wbrew swoim przeczuciom. On stłumił jej zdolności. Była utalentowana, miała potencjał. Moim zdaniem to niepowetowana strata. Sądzę, że był dobrym człowiekiem, i myślę, że uszczęśliwił twoją matkę. Ale...

- Skrzyżowała ramiona. - Cóż, twój ojciec i ja nigdy nie nadawaliśmy na tej samej fali.

To było widać.

- Pandoro, twoją praprababką była Madame Aurora -oznajmiła z dumą Celia, jakby to imię powinno mi coś mówić. Musiałam mieć wypisane na twarzy, że nie mówi mi nic. - Madame Aurora dawała pokazy na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Była najbardziej utalentowanym medium Barnuma i Barneya - westchnęła. - Rozumiem, że Aurelia tego także ci nie powiedziała?

- Chyba nie - odparłam. Nie słyszałam nigdy o swojej praprababce ani o Madame Aurorze.

Rozczarowana Celia potrząsnęła głową. -Zatem nie jesteś wampirem - zaczęłam delikatnie, wstydząc się, że kiedykolwiek przyszło mi to na myśl. -Nie, kochanie. Ale ta twoja modelka, cóż... -Słucham? Celia wstała z fotela.

-Teraz powiedziałam za dużo. Posłuchaj, jest już późno. Musisz się wyspać, moja droga. Jesteś zbyt zmęczona, żeby zrozumieć wszystko od razu. - Z jej tonu wywnioskowałam, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Poza tym rzeczywiście byłam wyczerpana. Wręcz czułam ciężar mojego zmęczenia. Było wpół do piątej rano, po pełnym wrażeń dniu ledwo trzymałam się na nogach.

- Nie jesteś wampirem? Nie masz kłów? - wymamrotałam. Czułam zmęczenie i zagubienie, ale po prostu nie mogłam przestać mówić. - Nie zamierzasz mnie zabić?

Celia popatrzyła na mnie poważnie.

- Nie, kochanie. Nie zamierzam cię zabić. - Pomogła mi wstać i odprowadziła do pokoju. - Przed tobą ważny dzień w pracy. Musisz sprawdzić wiele informacji do artykułu. Jeśli się od razu nie położysz, nie dasz rady dojechać do biura. Porozmawiamy jutro - obiecała.

Zanim na dobre usnęłam, usłyszałam jeszcze, że mówi do siebie: -Ten Bram Stoker powinien za to odpowiedzieć...

Rozdział 16

Przyjechałam do redakcji „Pandory” o dziewiątej dwadzieścia pięć rano, po mojej pierwszej w życiu zarwanej nocy. Miałam przekrwione, podpuchnięte i obwiedzione sińcami oczy. Bezsenność i panika zostawiły ślady na mojej twarzy. Morticia natychmiast zauważyła tę zmianę w moim wyglądzie.

- O, musiałaś dobrze się bawić na promocji - zauważyła, dzielnie próbując ukryć nutkę zazdrości.

To była ważna noc. Ale nie jedna z tych ważnych nocy, o których mogłabym się zwierzać sekretarce. W odpowiedzi skinęłam ze znużeniem głową.

- Jest Pepper? - ciekawa byłam, czy wróciła do biura, po tym jak wymknęła się z gali.

Morticia zaprzeczyła. -Jeszcze nie.

Rozejrzałam się. W biurze było raczej spokojnie.

- Skye wciąż chora? - zapytałam.

-Tak. A numer idzie do druku za trzy dni. Nigdy wcześniej tak nie robiła, to znaczy, prawie wyszła z siebie, kiedy Samanta rzuciła pracę tuż przed zamknięciem numeru, i wydawało się, że nie jest sobą. Niewiarygodne, co? - Spojrzała na mnie badawczo. - Ale ty chyba nie złapałaś tego co ona, prawda? - zapytała z troską.

- Nie, nie jestem chora, po prostu jestem niewyspana -zapewniłam ją bez wdawania się w szczegóły. Zresztą, co bym jej powiedziała? Że całowałam się z duchem? Albo że wampirzyca próbowała mnie ugryźć? -Morticio, możesz mi powiedzieć, co się stało z tą drugą dziewczyną, Samantą? - zapytałam ostrożnie. W końcu to normalne pytanie. Byłam nowa w redakcji i mogłam po prostu być ciekawa, dlaczego odeszła. - Pokłóciła się ze Skye, czy co? - starałam się mówić swobodnym tonem, chociaż za zmęczeniem, które malowało się na mojej twarzy; ukrywałam ogromne pragnienie, by usłyszeć odpowiedź. - Nie chciałabym popełnić tego samego błędu.

- Och, nie - odparła Morticia. - Skye często wybucha, ale w końcu się uspokaja. - Wzruszyła ramionami. - Naprawdę nie wiem, co się stało. Nim przyjęli cię do pracy, Samanta była w nocy na sesji zdjęciowej z Atanazją. Miała służyć pomocą, gdyby czegoś potrzebowali. - Westchnęła głęboko i na moment odwróciła wzrok. Zorientowałam się, że Morticia czuła się pominięta, bo to nie ją poproszono o pomoc. A mnie znów dopadły wyrzuty sumienia, że nie dostała zaproszenia na galę. - Samanta kontaktowała się ze Skye i mówiła, że wszystko idzie zgodnie z planem. I nagle, kilka godzin później zostawiła wiadomość na automatycznej sekretarce w redakcji, że się zwalnia i już nie przyjdzie do pracy. Tak po prostu, rzuciła pracę przez telefon! Dowiedziałam się dopiero następnego dnia rano, po odsłuchaniu wiadomości. Nawet nie zabrała rzeczy ze swojego biurka. - Morticia spojrzała na mnie. - Ale to już wiesz, prawda? I tyle. Już się nie odezwała. Dziwne. Gdyby nie odeszła, Skye zwolniłaby ją za takie zachowanie.

To prawda.

- Zastanawiałam się, czy może coś poszło nie tak podczas sesji - dodała Morticia. - Ale to niepoważne. Prawdopodobnie planowała to od dawna.

Zadziwiające wyczucie.

- Myślisz, że mogło się tam coś wydarzyć?

Może to Atanazja ją zaatakowała? Czy to by wyjaśniało moje dziwne przeczucia na jej temat? Czy jest wampirem, tak jak Samanta? Należy stwierdzić, że po tym wszystkim, czego się ostatnio dowiedziałam, nie byłby to zbyt daleko posunięty wniosek. Czy Celia sama nie zasugerowała czegoś podobnego? Szkoda, że byłam tak zmęczona, gdy rozmawialiśmy. Ledwo pamiętałam, co wtedy powiedziała, i niczego bardziej nie pragnęłam, jak tylko móc odtworzyć każde jej słowo.

Morticia wzruszyła ramionami.

- Fotograf uważał, że wszystko było w porządku. Sesja poszła dobrze. Nie znaczy to, że Samanta pracowała tu od dawna. Takie jak ona nie zagrzewają u nas miejsca.

Mając w pamięci Skye-Meduzę, nietrudno było mi to sobie wyobrazić.

Ognistowłosa sekretarka na chwilę się zamyśliła, a potem znów się ożywiła.

-Ale Skye o mało co nie dostała apopleksji, bo wszystko to działo się niecały tydzień przed zamknięciem numeru i bez żadnego wypowiedzenia! Dałam ogłoszenie na tych samych, co zawsze stronach. Myślę, że gdybym szybko nie znalazła kogoś na miejsce Samanty, Skye udusiłaby mnie - powiedziała zdławionym głosem i zrobiła zeza.

-To dobrze, że się zjawiłam - powiedziałam.

- Bardzo dobrze - zgodziła się. - I to zaledwie godzinę po wysłaniu ogłoszenia. To chyba czary!

Czary.

Morticia spuściła na chwilę wzrok.

- Samanta była w porządku, ale ciebie lubię bardziej. Mam nadzieję, że nie odejdiesz. - Spojrzała na mnie i posłała mi swój piękny uśmiech, a ja się wzruszyłam.

- Dzięki, Morticio. Nie planuję odejść - zapewniłam ją. Pomyślałam o zdjęciu, które znalazłam w szufladzie biurka.

-Pytam cię o to wszystko, bo znalazłam w biurku zdjęcie, które mogło być dla niej ważne - wyjaśniłam. Przeszłam do swojego boksu, odłożyłam teczkę i płaszcz i wróciłam z pomiętym zdjęciem w dłoni.

I wtedy właśnie zauważyłam tatuaż na jej ramieniu. Widziałam go już wcześniej na tym zdjęciu, ale dopiero teraz to do mnie dotarło. Teraz skojarzyłam - naprawdę skojarzyłam i zyskałam całkowitą pewność.

- Taak, to ona - potwierdziła Morticia. - Równie dobrze możesz je wyrzucić. Nie sądzę, żeby po nie wróciła.

Prawdopodobnie masz rację - pomyślałam. Ale jeśli wróci, nie chciałabyś być w pobliżu...

Co robicie następnego dnia po tym, jak dowiedzieliście się, że świat wcale nie jest taki, jak myśleliście? Że wampiry istnieją? Że rozmawialiście ze zmarłymi... i nieumarłymi?

Pracujecie. Pracujecie naprawdę ciężko.

Mając niewiele danych na temat moich ostatnich odkryć (racjonalne podejście było domeną mojego ojca), postanowiłam poszukać czegoś związanego z artykułem, który chciałam zaprezentować Pepper. Przyszła późno i wyglądała na o wiele bardziej wypoczętą niż ja,

ale sprawiała wrażenie zajętej i nie męczyła mnie pytaniem o notatki z gali. Pasowało mi to, gdyż każda odpowiedź na pytanie o „Krew Młodości” prowadziła do dalszych pytań.

Obejrzałam materiały promocyjne kremu na DVD i przeczytałam dokładnie przemowę dr. Totha. Co dziwne, wśród składników tego rewolucyjnego kremu nie było żadnych rewolucyjnych nowych substancji. Zadzwoiłam do Toni, aktorki prowadzącej galę, żeby zapytać, czy wie, że patent na cudowny krem odmładzający polega na połączeniu parabenów, symetykonu i substancji zapachowej - czyli nie różni się składem od innych zwykłych kremów, a więc logicznie rzecz biorąc, nie ma podstaw do tak spektakularnego oddziaływania na skórę. Jednakże Toni nie odebrała telefonu. Wysłałam zatem do niej mejl, licząc na szybką odpowiedź, abym mogła ją zacytować w tekście, który zamierzałam pokazać Pepper. Podobną wiadomość wysłałam do Henrietty z agencji reklamowej, lecz tu spodziewałam się raczej ostrożnej reakcji, jeśli w ogóle jakąś otrzymam.

Ciekawe, że przeszukując internet pod hasłem „Krew Młodości”, napotkałam dużo szumu wokół tego produktu, ale niewiele informacji. Strona internetowa producenta zawierała jedynie podstawowe informacje. O ile mogłam się zorientować, siedziba firmy mieściła się gdzieś w Europie Wschodniej i w przeciwieństwie do większości popularnych marek, nie była częścią żadnej większej firmy kosmetycznej. „Krew Młodości” w krótkim czasie doprowadziła Amerykę do stanu wrzenia, choć nie było ku temu żadnych farmaceutycznych powodów. Zaintrygowało mnie też, że nazwisko dr. Totha, twórcy „rewolucyjnego” kremu, pojawiło się w kilku zaledwie

artykułach dotyczących „Krwi Młodości”. Wyglądało na to, że nie jest związany z żadnym uniwersytetem ani instytucją naukową czy firmą kosmetyczną. Kim był? Postanowiłam sprawdzić każdy link z jego nazwiskiem.

W południe wyszłam kupić coś na lunch, a gdy wróciłam z tacą sushi, zauważyłam bukiet kwiatów na moim biurku. Był tak wielki, że widziałam go już od progu biura i, aż wstyd się przyznać, jego widok sprawił, że serce zabiło mi szybciej. *Długie czerwone róże? Dla mnie?* Chwilę trwało, nim oczywista prawda dotarła do mnie, a nadzieje legły w gruzach. No jasne, pewnie są dla Skye, a nie dla mnie. Na pewno od jej chłopaka albo wielbiciela. Powinny mieć gdzieś dołączoną kartkę. Skąd pomysł, że są dla mnie? Nikt nigdy w życiu nie wysłał mi kwiatów.

Głupia.

Morticia jadła precel na lunch. Nogi w martensach położyła na biurku i mrugnęła do mnie.

-Zdaje się, że podczas gali zrobiłaś na kimś wrażenie...

- Kwiaty? - spojrzałam na nie znowu. - Dla mnie? -*Czy duchy mogą wysyłać kwiaty?* - pomyślałam, ale na szczęście nie powiedziałam tego na głos.

-Tak - odparła Morticia. - Przyniesiono je chwilę po twoim wyjściu.

-Och... - Podeszłam szybko do swojego biurka, a Morticia podążyła za mną, wciąż żując precel. Kiedy stanęła obok, rzuciłam jej ostrzegawcze spojrzenie.

- Daj spokój - powiedziała. - To chyba nie jest tajemnica, co? Od kogo je dostałaś?

Kiedy uniosłam brew, zrozumiała aluzję.

- No dobra - powiedziała niechętnie. - Nie chcesz mi

powiedzieć, kim jest twój chłopak, nie ma sprawy - odeszła rozczarowana do swojego biurka i usiadła w fotelu.

Zdjęłam płaszcz i usiadłam na krześle. O *rany...* Kwiaty były wspaniałe; ciemnoczerwone, na długich łodygach. Nie pachniały, ale wyglądały zachwycająco. I było ich tak dużo. To bardzo romantyczny gest - ale kogo było na niego stać? Do bukietu dołączono małą karteczkę w białej kopercie. Wzięłam głęboki oddech i otworzyłam kopertę. Przymykając oczy, wyjęłam małą prostokątną karteczkę. Trzymając ją w dłoni, przeczytałam.

*Droga Pandoro,
miło było Cię spotkać wczorajszego wieczoru. Proszę, podaj mi swój numer telefonu.*

Chciałbym pokazać Ci Nowy Jork.

Jay

Moje serce zatrzepotało. Odłożyłam kartkę na biurko. W kopercie była też druga kartka, mniej romantyczna. Służbowa wizytówka Jaya z czasopisma „Tylko dla Mężczyzn”. Był na niej jego adres mejlowy i numer telefonu komórkowego.

O *rany...*

Rozdział 17

Dotarłam do domu, zapukałam i weszłam do apartamentu Celi z głową pełną pytań.

- Dobry wieczór, ciociu Celio.

- Witaj, kochana Pandoro - odparła, zamykając książkę. - Ojej, wyglądasz na nieco zmęczoną. Przytaknęłam.

- Wiem, wiem. Nieważne, jestem genialna! - wykrzyknęłam.

- Tak, wiem - odparła powściągliwie.

Wyciągnęłam wydrukowany mejl, który dostałam od pewnego aktora z Rumunii - aktora, który na liście swoich ról miał występ w reklamie „Krwi Młodości”. Chętnie odpowiedział na moje pytania, prawdopodobnie dlatego, że liczył, iż skandal przyniesie mu sławę. To był hit. Absolutny hit.

- Mam ich! Nie ma żadnego doktora Totha - wynajęli aktora, żeby go zagrał. To oszustwo! - Triumfalnie machałam kartką.

- Cóż, wygląda na to, że miałaś interesujący dzień.

- Och, wybuchnie skandal, kiedy to wyjdzie na jaw - powiedziałam Celi podekscytowana. - Pepper dała mi czas do jutra rana. Myślę, że będzie pod wrażeniem.

Jak mogłaby oprzeć się puszczaniu takiej historii? To było coś.

-A co z resztą? Czy oni też będą pod wrażeniem? -zapytała Celia. Nie wyglądała na tak uradowaną jak ja.

-Kto? Czytelnicy? - zapytałam. - Będą zdumieni i wściekli, gdy dowiedzą się, że wydali mnóstwo pieniędzy na kosmetyk, który nie różni się niczym od byle kremu do rąk! Tajemniczy składnik nie istnieje. To bzdury! - oznajmiłam.

Słyszałam już o takich przypadkach - o tym, jak sprzedawanie zwykłych produktów, opatrzonych elegancką etykietką i intensywnie reklamowanych, przynosiło fortuny. Teraz sama odkryłam podobny przypadek produktu rozprowadzanego przez nieuczciwą firmę. To biło na głowę mój pomysł na artykuł o ubraniach w stylu vintage. A jednak moja cioteczna babka Celia nie wyglądała na tak uradowaną, jak tego oczekiwałam.

-Tajemniczy składnik nie istnieje? - powtórzyła wolno i uniosła brew. Było coś dziwnego w sposobie, w jaki wypowiedziała te słowa. Jakby już знаła odpowiedź i zadawała to pytanie tylko dla mnie.

-Nie - potwierdziłam, marszcząc brwi. - Wszystkie składniki kremu można znaleźć też w innych produktach.

Odkryłam to, zresztą dość łatwo. W kremie nie było nic nowego, a jego twórcy pewnie myśleli, że sprzedadzą ten niby-rewolucyjny kosmetyk tylko dlatego, że inni producenci robią tak samo. Powariowali, jeśli myśleli, że im się to uda.

- Hm - westchnęła Celia, nieprzekonana.

Znów zmarszczyłam brwi. Wyglądało na to, że coś przeoczyłam, a ona usiłowała mi to uświadomić, choć nie potrafiłam sobie wyobrazić, co by to mogło być.

- Cóż, życzę ci powodzenia w pracy nad artykułem, kochana.
- Celia spuściła wzrok i skrzyżowała nogi. -

A teraz powiedz, przemyślałaś może to, o czym rozmawialiśmy wczorajszej nocy? - zapytała, gładko zmieniając temat.

- Rozmawialiśmy o twoim wieku. I o... - *Wampirach*.

- No tak, mój wiek, mój ulubiony temat - odparła.

- Myślałam o naszej rozmowie - powiedziałam, choć w rzeczywistości byłam tak zajęta prywatnym śledztwem, że poza rozmową z Morticią o biednej nieumarłej Samancie, nie poświęciłam tej kwestii wiele uwagi. Próbowałam przypomnieć sobie jedno z wielu pytań, które tłoczyły się w mojej głowie, gdy szłam dziś rano do pracy. - Mówiłaś, że kobiety z rodu Lucasta mają dar. Czy twoim darem jest nieśmiertelność?

Celia westchnęła.

- Nie - odpowiedziała cierpliwie. - Usiądź proszę. Usiadłam, zajmując jak zwykle miejsce na krawędzi

podnóżka, podczas gdy moja gospodyni wygodnie usadowiła się w fotelu. Wciąż buzowało we mnie podniecenie wywołane odkryciem, którego dokonałam, przygotowując artykuł o „Krwi Młodości”. Niecierpliwie zaczęłam poruszać stopą, złapałam się na tym i przestałam.

- Kochanie, wszystkie kobiety z rodu Lucasta miały jakiś dar, niejeden, były to różnego rodzaju uzdolnienia, ale nigdy żadna z nich nie była nieśmiertelna - wyjaśniła moja cioteczna babka i zmarszczyła brwi. - W każdym razie, nigdy o takiej nie słyszałam. Podejrzewam, że niektóre z nich mogły być nieumarłe, ale jeśli tak było, to żadna nie odezwała się choćby słowem. A to byłoby niegrzeczne, nie sądzisz?

Twarz Celi pozostawała wytwornie nieruchoma, jak zawsze. Wydawało się, że nieumarły było nowym, ważnym sło-

wem w moim wielkomięjskim słowniku, podobnie jak parapsychologiczny i samozapłon. Opuszczając Gret-chenvüle, wiedziałam, że muszę się dużo nauczyć.

-Wiem, że jesteś inteligentną dziewczyną o analitycznym umyśle, Pandoro. Wiem też, że się nie poddasz i będziesz szukać prawdy o moim wieku i tożsamości. Ale jeśli ci powiem, musisz mi obiecać, że nikomu tego nie powtórzysz. Ani Georgii, ani żadnemu ze swoich przyjaciół w pracy.

Energicznie pokiwałam głową.

- Obiecuję.

- Zmuszę cię do dotrzymania tej obietnicy - ostrzegła mnie. - A mam swoje sposoby, by sprawić, że ktoś dotrzyma tajemnicy.

Nie było trudno w to uwierzyć.

Ale czy na pewno mogłam jej to obiecać? A jeśli Celia powie mi, że jest seryjną morderczynią i oszustką? Oczywiście, nie wierzyłam w to, ale jeśli tak by było?

Celia uśmiechnęła się, jakby słyszała moje myśli.

- Bądź cierpliwa, a dowiesz się wszystkiego - powiedziała mi. - Po pierwsze, uważam, że powinnaś obejrzeć te zdjęcia. - Celia sięgnęła za siebie i wyciągnęła duży album. - To powinno zaspokoić twoją ciekawość w kwestii mojej tożsamości.

Album, który mi wręczyła, był ciężki i trochę zakurzony. Wypełniały go pożółkłe fotografie i wycinki prasowe dokumentujące dawne życie Celi, ambitnej projektantki przygotowującej stroje dla gwiazd. Na fotografii towarzyszyła Lauren Bacall - dla której zaprojektowała tę powalającą czerwoną sukienkę - a także Humphreyowi Bogartowi, Frankowi Sinatrze i Avie Gardner.

Otwierałam oczy coraz szerzej.

-Och, rety! Celio, to niesamowite - przeglądałam zdjęcia zafascynowana postaciami z kinowego ekranu. Wśród zdjęć *znalazłam* nawet to, które przechowywała moja matka. Tak, to była Celia.

-To plan zdjęciowy *Kulisy wielkiej rewii* - wyjaśniła Celia. - A to Judy Garland.

Przewróciła stronę, by pokazać mi czarno-białe ujęcie dwóch kobiet stojących na tle wieszaków przeładowanych kostiumami. Widziałam wśród nich pióra, cekiny, futra.

- A to Lana Turner z Judy. Piękna kobieta, nie sądzisz? Zatrzymałam się, gdy doszliśmy do zdjęcia dwóch podobnych do siebie kobiet. Jedną z nich była Celia, choć jej twarz była wtedy pełniejsza. Kobieta stojąca obok wyglądała jak jej starsza siostra.

- Kto to jest?

- To Hedy Lamarr.

Zmrużyłam oczy. Znałam to nazwisko, choć niezbyt dobrze.

-Przyjaźniłam się z Hedwigą. - Celia zadumała się, stukając w zdjęcie paznokciem. - W Hollywood znano ją jako Hedy, ale ja wolałam używać jej prawdziwego imienia, Hedwiga. To trudna kobieta, ale bardzo inteligentna, jej ciało było stworzone do mody, a głowa - do nauki. Dobrze radziła sobie z matematyką, ale i w innych dziedzinach miała sporą wiedzę. Miała „dar”, trochę jak ty, Pandoro. Mogłaby należeć do naszego rodu.

Przyglądałam się twarzy kobiety na fotografii. Było coś bardzo niezwykłego w jej oczach. Przypomniało mi się co nieco o niej. Była bardzo znana swego czasu, w latach trzydziestych i czterdziestych. Teraz pewnie niewielu ludzi pamięta jej nazwisko.

-Wiedziałaś, że razem z kompozytorem George'em

Antheilem wynalazła technologię komunikacji opartą na systemach szerokopasmowych? - zapytała Celia. Pokręciłam głową.

- Naprawdę?

-Tak. Kiedy byłam młoda i dopiero co przyjechałam do Nowego Jorku, wzięła mnie pod swoje skrzydła -opowiadała. - To dzięki niej zainteresowałam się nauką. Częstotliwości i tak dalej. Uciekła od swojego obrzydliwego męża, producenta broni w Wiedniu, i przyjechała do Hollywood uzbrojona we wszelkiego rodzaju wiedzę polityczną i wojskową. Gdy się poznałyśmy, była u szczytu sławy. Zaledwie kilka lat później jej życie się skomplikowało. - Celia zamyśliła się, patrząc na zdjęcie. - Podczas wycieczki do Nowego Jorku znalazłyśmy to miejsce. Było ruiną, ale ona potrafiła wyczuć, że jest niezwykle, ja także to czułam... Pandoro, twoje zdolności rozwiną się tutaj, tak samo jak moje. Przeprowadzka do tego miejsca zmieniła moje życie.

Westchnąwszy, zamknęła album.

- Czy teraz już wierzysz, że jestem twoją cioteczną babką? Że nie jestem oszustką?

Przytaknęłam. Nadal nic nie tłumaczyło jej młodzieńczego wyglądu, ale nie wątpiłam w jej tożsamość.

- Co stało się z Hedy? - zapytałam.

- Och, Hedwiga. Kiedy kupiłam to miejsce, nasze drogi się rozeszły. Hollywood było daleko. Wtedy nie podróżowało się odrzutowcami w tę i z powrotem tak łatwo, jak obecnie. Ona zaczęła się starzeć i trochę popadać w obłąd, bo gdy jej uroda zbladła, Hollywood odwróciło się od niej. W 1951 roku było już po wszystkim. Hollywood najpierw pożera piękne kobiety, a potem je wypluwa, gdy ich uroda przemija. - Celia zacisnęła usta ze

złością. - Zawsze tak było. Możesz to sobie wyobrazić? Była zaledwie po trzydziestce. A ona nie była typem osoby, która odchodzi w ciszy. Sądzę, że jej geniusz nieco jej ciążył. Trafiła na pierwsze strony gazet, gdyż przyłapano ją na kradzieży bielizny w centrum handlowym. Resztę życia spędziła na Florydzie, biedactwo. Kiedyś napisała do mnie w liście, że w swoim życiu zarobiła i wydała prawie trzydzieści milionów dolarów, a teraz okazało się, że nie stać jej na kupno kanapki. Przyjaciele próbowali jej pomóc, ale była dumną kobietą. Czy można ją winić? Żałuję, że nie została w Nowym Jorku. Mogła być przy tym, jak Deus odwiedził mnie po raz pierwszy. Myślę, że bardzo by ją polubił.

Łatwo było się zorientować, że właśnie zaczyna się naprawdę interesująca część opowieści.

- Pandoro - zaczęła, pochylając się do przodu. - Mam wyjątkowego przyjaciela. Nazywa się Deus. Jest... san-gwinikiem.

Sangwinikiem?

- Masz na myśli, że jest pogodnym optymistą? - zapytałam. Moja cioteczna babka zachichotała.

- Nie, kochanie. Nie jest pogodny. Jest, no wiesz, sanguineus.

Oślupiałam. Słowo kołatało mi się po głowie. *Sanguineus...* przywodziło na myśl muzea, podręczniki. Było używane w łacińskich nazwach przedmiotów. Pomyślałam o gatunku ryby. *Czerwonej.*

-*Sanguineus*: krwisty - powiedziałam triumfalnie, gdy tylko sobie przypomniałam. A zaraz potem przyszło mi do głowy inne znajome określenie: *exsanguina-*

te, wykrwawić, i z mojej własnej twarzy odpłynęło trochę krwi. - Czy chcesz powiedzieć, że jest wampirem?

Łagodna twarz Celi napięła się, a jej czerwone usta wykrzywiły się z niesmakiem.

- Kochanie, naprawdę powinnaś wiedzieć, że nie używamy tego słowa. To brzydkie słowo. Powinnam była to jasno powiedzieć wczorajszej nocy. Istoty takie jak Deus to sangwinicy.

Jasne. Radosne wampiry. Lepiej niż, gdyby miały być melancholijne - pomyślałam.

-Wampir to pejoratywne określenie - ciągnęła Celia. - Cóż, wamp jeszcze ujdzie. Niektórzy z nich używają go dla żartu albo z ironią, sądzę, że w podobny sposób Afro-amerykanie używają tego straszego słowa na „n” , którego nie jestem w stanie wypowiedzieć. - Zmarszczyła nos. - W każdym razie, nie wyobrażam sobie, żeby komuś upiekło się użycie słowa na „w” wśród sangwiników. Nie przyjmą tego dobrze. Ale cokolwiek zrobisz, nie nazywaj ich Nosferatu. To stare słowiańskie słowo oznaczające „siewcę dżumy”.

O Boże. Wampiry. Sangwinicy. To się dzieje naprawdę.

Słyszając, jak mówi to na głos, wypuściłam powietrze z płuc. Zrobiło mi się słabo i poczułam, jak mocno podtrzymują mnie lodowate dłonie ciotki Celi. Przez cały czas wstrzymywałam oddech.

-Weź głęboki oddech - poinstruowała mnie.

Zrobiłam to, o co mnie prosiła.

- A ty musisz? Oddychać? - zapytałam.

- Oczywiście. Już ci mówiłam, moja droga. Nie jestem nieumarła.

*** ang. *nigger* - wulgarnie „czarnuch”.**

Jak dobrze. Celia jest żywa. Nie mieszkam z nie-umarłą. To miło.

-Technicznie rzecz biorąc, Deus nie musi oddychać, ale, kochanie, nikt cię nie zmusza, żebyś się z nim spotykała - choć jeśli do tego dojdzie, przekonasz się, że jest prawdziwym dżentelmenem, więc nie ma się czym martwić. Jak mówiłam, nie powinnaś wierzyć w to, co przeczytałaś w tych swoich głupiutkich książeczkach.

Mówiła o swoim przyjacielu wampirze tak swobodnym tonem, jakiego ktoś inny używałby, opowiadając o przyjacielu wegetarianinie lub scjentologu. Czułam nadchodzący atak paniki, ale go stłumiłam. Kim byłam, żeby decydować, co jest dziwne albo z kim moja cioteczna babka powinna się zadawać? Jako „dziwadło”, które rozmawiało z martwym rzeźnikiem z Gretchenville, nie miałam prawa osądzać.

Przytaknęłam.

- Rozumiem, więc Bram Stoker się mylił.

-Co do wielu spraw, to prawda. - Zastanowiła się przez chwilę. - I sangwinicy nie iskrzą w świetle dziennym, jak wmawiają wam te książki, które wszyscy teraz czytają.

- ...i nie istnieją sangwinicy „wegetarianie”. Przełknęłam głośno ślinę. W porządku.

- Ale wampiry są nieśmiertelne, tak? Celia pokręciła przecząco głową.

-Tylko bogowie są naprawdę nieśmiertelni - powiedziała. - A nawet o nich mówi się ostatnio, że upadają. Wszystko przemija, moje dziecko, chociaż spotyka się istoty, które nie starzeją się ani nie brzydą. Niektóre z nich żyją tak długo, że w porównaniu z nimi nasze

krótkie życie wydaje się mało znaczące, jak krótkie życie motyla.

Nie całkiem rozumiałam, do czego zmierzała.

-Ale w takim razie, dlaczego jesteś taka młoda, skoro nie jesteś... sangwinikiem?

-Istnieją różne sposoby - odparła i mrugnęła znacząco. - Kilkadziesiąt lat temu zaczęłam się starzeć. Naturalnie. I szczerze mówiąc, kochanie, to nie jest nic przyjemnego, biedna Hedy może zaświadczyć. Teraz, dzięki mojemu przyjacielowi, jestem silniejsza i piękniejsza niż kiedykolwiek wcześniej - oznajmiła Celia.

-Ale czy jesteś... szczęśliwsza, ciociu Celio? - zapytałam z naciskiem.

Jeśli oczekiwałam, że zawaha się, zmagając się z tym głęboko moralnym czy duchowym dylematem, to się zawiodłam.

- Szczęśliwsza? Ależ oczywiście - odparła bez wahania. - A jak myślisz, dlaczego „sangwinik” od tylu lat oznacza radosny? Zastanów się.

O rany. Czy to możliwe? A co z Hipokratesem i jego czterema humorami? Czy on o tym wiedział?

- Naturalnie, że jestem szczęśliwsza - odpowiedziała drwiąco Celia, przerywając moją podróż w czasie. - Pomyślałaś o tym, jaka krucha byłabym teraz? Co z tego, że mam alergię na czosnek i lekką nadwrażliwość na światło dzienne? Co z tego? To niewielka cena za to, co zyskałam.

Zamrugałam.

-To przez rozszerzone źrenice - wyjaśniła z nutą żalu w głosie. - Są doskonałe do nocnego widzenia, ale sprawiają ból w świetle dziennym.

Rozszerzone źrenice. Nocne widzenie. Wykrwawianie się.

Staralam się nie utonąć w zalewie nowych, zaskakujących informacji. Jeśli dobrze zrozumiałam, byłam swego rodzaju medium mieszkającym z cioteczną babką, którą jej wysysający krew przyjaciel, sanagwinik, utrzymywał w stanie wiecznej młodości.

-Zatem twój przyjaciel Deus jest jednym z tych sangwiników...

Celia uśmiechnęła się, jakby myślała o kochanku.

- To prawda, moja droga. Bardzo potężnym. Starożytnym.

Starożytnym. O rany.

- Zatem on wysysa krew z ludzi i zabija ich? -Zabija? O nie, kochanie. Po co miałby zabijać?

Naprawdę, na świecie pełno jest chętnych młodych kobiet. I mężczyzn także, choć nie są oni raczej w jego guście.

Zastanowiłam się przez chwilę nad znaczeniem słowa „gust”.

-Ale on nie zrobił z ciebie... sangwinika? - chciałam się upewnić. -Nie.

-I nie wysysasz krwi?

- Nie - potwierdziła, co sprawiło mi ulgę.

- Zatem dlaczego się nie starzejesz? Nie rozumiem. Westchnęła.

- Moja droga Pandoro, użyj swojej wyobraźni - zasugerowała.

- Moja wyobraźnia jest ostatnio nieco nadwerężona - odparłam stanowczo. - Dopiero co odkryłam, że naprawdę mogę widzieć duchy.

-Naprawdę? Dopiero co odkryłaś? Bądź ze sobą szczerą, kochanie.

Zastanowiłam się nad tym. Oczywiście, miała rację, wiedziałam to od dawna - a jednak jakbym nie wiedziała.

-Moi rodzice - zwłaszcza tata - twierdzili, że takie rzeczy nie istnieją.

- Och, byli tacy krótkowzroczni - powiedziała z żalem Celia. - Spróbuj zapomnieć, co ci mówili. Nie pomoże ci to tutaj. - Pochyliła się w moim kierunku. - Pandoro, twoja matka musiała wiedzieć. Nie wierzę, że nie miała pojęcia o tych rzeczach. Sangwinicy są na całym świecie, niektórzy dość mocno zaawansowani kulturowo, a inni całkiem prymitywni i brutalni. Jestem pewna, że o nich słyszała. Pewne kultury, które badała, miały więcej wspólnego z nieumarłymi niż my w Nowym Jorku. Choćby Otgiruru w Namibii czy Erestun w Rosji. - Obserwowała moją twarz, by sprawdzić, czy nazwy te coś mi mówią. Nie mówiły. - Albo Draugowie w północnej Europie. O, albo te obrzydliwe upiory jedzące ludzkie mięso. Sangwinicy są wokół nas - zadumała się.

-Po prostu myślałam, że istnieją tylko w książkach i filmach - odpowiedziałam cicho.

- Cóż, wampiry są w książkach i filmach, ale jak we wszystkich fikcyjnych postaciach tkwi w nich ziarno prawdy. Niektóre błędne wyobrażenia o sangwinikach utrwały się na zasadzie „głuchego telefonu”. Inne to plotki rozpuszczane specjalnie, by im zaszkodzić.

- Kto mógłby rozsiewać takie plotki?

- Kościół... inni - odparła oględnie. *Inni*. - Istoty, które w naturalny sposób stoją w opozycji do sangwiników - wyjaśniła.

Pomyślałam o książce, którą właśnie czytałam.

- Masz na myśli wilkołaki? Celia roześmiała się głośno.

- Naprawdę uważasz, że śmiertelny, na wpół szalony włochaty człowiek-pies byłby równy „nieśmiertelnej” istocie? Daj spokój.

Och.

- Zatem istnieje coś w rodzaju nadprzyrodzonego ekosystemu? - odkryłam, starając się nie myśleć o innych istotach, jakie jeszcze mogą w nim żyć.

- Och, tak. Teraz zaczynasz rozumieć. Wszyscy jesteśmy częścią ekosystemu. Tylko, że my - ludzie - wolimy wierzyć, że świat nadprzyrodzony nie istnieje, przez co upewniamy się, że mamy rację. W ludzkim mózgu postrzeganie i wiara - to, co chcesz zobaczyć - są powiązane. To działa u wszystkich, naprawdę. Ludzie, którzy nie potrafią zaakceptować istnienia mocy nadprzyrodzonych, zwykle nie muszą się o to martwić. To, co im się przytrafia, uznają za zbieg okoliczności, szczęśliwy traf lub instynkt albo wytwór wyobraźni.

- Rozumiem. Zatem nie będą wychodzić z szafy i pić sztucznej krwi?

Westchnęła.

- Nie. Nikt nie chce tu krucjat, Pandoro. Na przykład Spektor jest niewidoczny dla większości ludzi od czasu, gdy Barrett zbudował ten budynek. Jest magnesem dla świata duchów i odrzuca świadomość ludzi, którzy nie wierzą w świat nadprzyrodzony. To coś w rodzaju martwego pola. Uważam, że to niezwykle, a ty?

Przytaknęłam zdecydowanie.

- Zauważyłam, że taksówkarze nie mają o nim pojęcia.

-Masz zapisaną w genach wrażliwość na siły nadprzyrodzone, tak jak ja. I twoja matka.

Miałam tyle pytań, nie wiedziałam, od czego zacząć, więc zaczęłam od kwestii najpilniejszej.

-Celio, czy twój przyjaciel mógł... - Zawahałam się, nie chciałam, by zabrzmiało to histerycznie. - Mógł zamienić ciebie w wamp... - poprawiłam się szybko -...czy on mógł cię zamienić w sangwinika? - Wyobraziłam sobie, jak budzę się w środku nocy i widzę uroczą cioteczną babkę Celię pochylającą się nade mną z ogromnymi kłami i demonicznym błyskiem w oku.

- Oczywiście. Ale nie zrobiłby tego. Nie chce mnie jako swojego dziecka.

- A co ze mną?

- Z tobą? - Uniosła brwi w wyrazie szczerego zdziwienia. - Kochanie, twoja ciotka Georgia byłaby taka zmartwiona.

To była prawda.

- Z pewnością nie do czasu, aż ukończysz dwadzieścia jeden lat - odparła zdecydowanie Celia. - I tylko jeśli będziesz pewna, że tego właśnie chcesz. Życie nieśmiertelnego jest strasznie długie. Ja wiem, że nie chciałabym tego.

Mogłam zostać nieśmiertelna w wieku dwudziestu jeden lat, jeśli się bym na to zdecydowała. Dotarło do mnie, że to była prawdziwa rozmowa. Oczywiście, Celia bardzo różniła się od ciotki Georgii. Ale podobało mi się to.

- Ciociu Celio, na dole w budynku jest młoda dziewczyna, Samanta. Ma kły. Czy Deus jej to zrobił?

Celia pokręciła głową. Wyglądała na mocno oburzoną tą sugestią.

- O nie. Deus nie lubi rozmnażania i jest zbyt starożytny i potężny, by przez przypadek mieć dzieci.

Dzieci? Już drugi raz użyła tego określenia w odniesieniu do kogoś zamienionego w wampira.

- Samanta została zamieniona przez kogoś innego. Tego się właśnie obawiałam.

- Co ci podpowiada twój instynkt? - zapytała, spoglądając na mnie przenikliwie.

To *sprawka Atanazji* - pomyślałam. *Atanazja jest wampirzycą.*

- Mówiono mi, żebym nie ufała swojemu instynktowi - odparłam ostrożnie.

Celia przewróciła oczami.

- Nie jesteś już w Gretchenville, moja droga. Odrzuć te bzdury. I zacznij myśleć - nalegała. - Czuć. Stać cię na więcej, wiem to. Zaufaj sobie.

Zrobiłam tak, jak kazała.

- Cóż, jestem przekonana, że ta kobieta tam na dole, to Samanta, moja poprzedniczka w „Pandorze”. I jestem pewna, że została zamieniona w... - Celia skinęła zachęcająco głową, bym kontynuowała. - Ostatnio widziano ją na sesji zdjęciowej z Atanazją.

-Tak?

- Zatem twarz „Krwi Młodości” jest wampirzycą? - zapytałam. - To znaczy, sangwiniczką? - trochę to potrwa, zanim przyzwyczaję się do tej nazwy.

-Po prostu sangwinikiem. Tak się to wymawia. Zarówno on, jak i ona to sangwinik. - Celia wciąż przypatrywała mi się z uwagą, wzrokiem ponagląjąc do dalszych wniosków.

-Zatem, jak... hmm... taka istota ukrywa swoją prawdziwą naturę przed pracodawcami? Przypuszczam,

że spotyka się z ludźmi tylko po zmroku, uczestniczy w sesjach zdjęciowych i galach po zachodzie słońca. Chyba, że nie musi? - zapytałam, mając na myśli kobietę na tylnym siedzeniu limuzyny. Kobietę w wysokim kołnierzu. - Ponieważ jej pracodawcy także są...

Czy to mogła być prawda? Czy „Krew Młodości” została wprowadzona na rynek przez grupę wampirów--przedsiębiorców?

- No właśnie - zakończyła Celia. - Och.

Zamilkłam.

-No dobrze - powiedziała zwawo Celia i wstała. -Może napijemy się herbaty? - zaproponowała i poszła do kuchni, żeby nastawić czajnik.

Siedziałam na podnóżku, wciąż myśląc.

- Biedna Samanta - powiedziałam w końcu. Cieszyłam się, że Morticia nie znalazła się sam na sam z uwielbianą supermodelką. Poszłam za Celią do kuchni. -Dlaczego Samanta jest tutaj?

- Prawdopodobnie jest porzuconym pisklęciem - wyjaśniła Celia, wsypując aromatyczną herbatę English Breakfast do imbryka. Ciekawa pora dnia na ten rodzaj herbaty, przyszło mi do głowy. - Takie zachowanie jest niedopuszczalne w oczach społeczności nadprzyrodzonych - kontynuowała Celia. - Jak zapewne sobie wyobrażasz, biedna dziewczyna, nie ma pojęcia, skąd się tu wzięła.

- Musimy jej pomóc - oznajmiłam.

Celia zamarła, ale nie odezwała się. Czajnik zaczął gwizdać; cioteczna babka ogrzała dwie filiżanki herbaty gorącą wodą i zaparzyła herbatę w imbryku.

- Chcesz pomóc tej Samancie? - zapytała w końcu.

-Tak - usłyszałam swój głos. To prawda, próbowała mnie ugryźć, ale była tak zagubiona, że nie sędzę, żeby tego naprawdę chciała. Skoro biedactwo nie wiedziało, gdzie jest ani dlaczego była taka spragniona, ktoś musiał jej pomóc.

-Jesteś wielkoduszna - stwierdziła Celia, uśmiechając się, jakby zbity z tropu, ale i zadowolona. - Cóż, jeśli nie mogę cię powstrzymać przed pójściem tam, to przynajmniej powinnam iść z tobą - zasugerowała.

- Mogłabyś?

-W porządku. Ale najpierw wypijmy herbatę.

Rozdział 18

Około godziny dziewiątej wyszliśmy z cioteczną babką Celią z mieszkania. Celia wiedziała, jak parzyć dobrą herbatę, dzięki czemu byłam pełna energii do działania. Nalegała, żebym włożyła jakieś wygodne ciuchy, na wypadek gdyby „zrobiło się nieprzyjemnie”, jak to ujęła. Posłusznie włożyłam dżinsy i T-shirt oraz stary sweter, chociaż zauważyłam, że ona pozostała w swojej eleganckiej jedwabnej sukience, jedwabnych pończochach, czółenkach Mary Jane, zapinanych skórzanych rękawiczkach, etoli z lisa i nieodłącznej czarnej woalce. Wzięliśmy latarkę oraz, co wydało mi się dziwne, małą paczkę ryżu.

- Myślisz, że bezpiecznie jest tam iść? - zapytałam ją, gdy zjeżdżałyśmy starą windą.

-Tak samo jak zawsze, moja droga. Biorąc pod uwagę okoliczności, jej odpowiedź nie pokrzepiła mnie.

- Po co wzięłaś ryż? - musiałam zapytać.

- Masz, potrzyмай. - Celia podała mi paczkę.

Była cięższa, niż się spodziewałam. Chwyciwszy ją, stęknęłam lekko. Winda stanęła na trzecim piętrze, drzwi się otworzyły. Na korytarzu światła były zapalone, lecz większość kinkietów na ścianach była zepsuta lub

miała przepalone żarówki, dlatego niewiele można było zobaczyć, a całość okrywała warstwa kurzu.

- Powinnaś wiedzieć dwie rzeczy o tych istotach - tłumaczyła mi Celia. Włączyła swoją latarkę, zrobiłam to samo ze swoją. - Po pierwsze, żeby wejść do czyjegoś domu, muszą zostać zaproszone.

Już to kiedyś słyszałam, ale słyszałam też, że stają w płomieniach na widok krzyża i że nie mogą być fotografowane. Co z tego było prawdą?

- W porządku - odpowiedziałam.

- Tak więc gospodyni może łatwo uchylić takie zaproszenie, jeśli chce - ciągnęła Celia, rozglądając się dookoła w poszukiwaniu śladów nieumarłych. Wyszła z windy, nim drzwi się zamknęły, a ja za nią. - Jeśli ktoś naruszy moje zasady, mogę go wyrzucić. Nie znaczy to, że kiedykolwiek musiałam to robić. Wiedzą, jak należy się zachować.

Wygodne - pomyślałam.

Stałyśmy na korytarzu tuż przy windzie i świeciłyśmy latarkami po podłodze. Celia omiatała także światłem swojej latarki sufit, jakby szukała pajaków. Było to dość niepokojące.

- Zatem Samanta musiała poprosić cię o pozwolenie, żeby tu przyjść? - powiedziałam. Celia przez cały czas wiedziała, że ona tu jest? Czy wiedziała, że jest z „Pandory”? Czy dlatego wiedziała o wakacie w redakcji?

- Nie. Samanta była w stanie przyjść tutaj siłą własnej woli - albo ktoś ją tu przyprowadził, gdy została przemieniona, albo nawet żeby ją tutaj przemienić, nie mamy pewności. Na tym polega umowa, którą mam z Deusem i jego, hm, szefami. Nieumarli nie mają wstępu na poziom apartamentu bez wyraźnego zaproszenia,

ale mogą korzystać z pozostałej części budynku. - Swobodnym gestem dłoni wskazała korytarz dookoła nas, jakby mówiła o sprawach zupełnie prozaicznych. - Takie są zasady. Zatem pisklęta, takie jak Samanta, będą się pojawiać od czasu do czasu, jeśli ktoś je przemieni i tu podrzuci. Choć to niezbyt miłe.

- Racja - powiedziałam, próbując zrozumieć znaczenie tej umowy. Czy po zmroku budynek był pełen wampirów? Poczułam, jak jeżą mi się włosy na karku. - A druga rzecz? - zapytałam, zerkając nerwowo na wszystkie strony.

- A drugą rzeczą jest ryż - odparła, wskazując na paczkę, którą trzymałam w dłoni. - To taka ich ciekawa właściwość... jeśli rozsypiesz ryż, albo jakieś ziarna, możesz łatwo odwrócić ich uwagę, zwłaszcza tych nowych, piskląt. Poczują wewnętrzny przymus, by policzyć każde ziarno. Chińczycy wiedzą to od wieków. Mówi się, że Polacy rzucają raczej nasiona marchwi, ale ja wolę ryż - przerwała. - Chodźmy tędy.

Poszłam za nią, bardzo zaintrygowana.

Ryż? Nasiona marchwi? To była prawdopodobnie najbardziej absurdalna wiadomość, jaką kiedykolwiek słyszałam. W silnej reakcji alergicznej na czosnek widziałam jakiś sens, gdyż czosnek ma działanie oczyszczające krew. A tu tymczasem miałam uwierzyć, że nieumarli mają obsesję na punkcie liczenia, gdyż cierpią na rodzaj arytmomanii? *Niepojęte.* Ale zaraz potem pomyślałam o moim ulubionym bohaterze z dzieciństwa, Liczyhrabii z „Ulicy Sezamkowej”. Twórcy „Ulicy Sezamkowej” wiedzieli o tym?

To niemożliwe.

Przyszło mi do głowy, że powinnam robić notatki. Po-

winnam zapisać te wszystkie zasady i fakty - zaproszenie, ryż, czosnek - trochę by mnie to uspokoiło. Jakkolwiek było, szukałyśmy początkującego wampira na okropnym głodzie, który już raz mnie zaatakował. A jeśli dobrze zrozumiałam słowa Celi, mogło ich tu być o wiele więcej. *Ach*.

Znalazłyśmy Samantę skuloną w kącie korytarza. Spała albo była nieprzytomna. Wciąż otulona była moim wełnianym szalem, nie oddaliła się za bardzo od miejsca, gdzie ją ostatnio widziałam. Kolana miała przyciągnięte do klatki piersiowej, a jej głowa kołysała się pochylona pod lekko nienaturalnym kątem. Wyglądała naprawdę okropnie. Jej jasna cera zmieniła się chorobliwie, a ona sama wyraźnie zeszcupiała w tym krótkim czasie. Kości policzkowe ostro rysowały się na jej twarzy.

-Och, spójrz tu. Przeklęte pisklęta... - Cioteczna babka Celia zaklęła cicho, patrząc na drewnianą poręcz obok niej. Została pogryziona niczym koniec ołówka, jakby przez zębującego szczeniaka. - A niech to - podeszła niebezpiecznie blisko do młodej kobiety, uklękła na chwilę i przyjrzała się jej ustom. - Świeże kły - potwierdziła. -Hm. Kochanie, zostań tu z nią. Ja pójdę przynieść kota.

- Kota? - *Czy to był jakiś rytuał?*

- Ona musi coś zjeść, biedactwo... *Kot?* Nie mogłam jej na to pozwolić.

Stałam zeszywniała na trzecim piętrze, trzymając paczkę z ryżem, podczas gdy Celia wsiadła do windy i ruszyła na dół. Usłyszałam, jak winda zatrzymuje się na parterze, a następnie dobiegł mnie stukot jej pantofelków. Gdy drzwi budynku się zamknęły, ponownie zapadła cisza, a ja poczułam się bardzo samotna, mając

za towarzystwo śpiącą wampirzycę. Samotna i zdenerwowana. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie byłabym bezpieczniejsza w apartamencie, aż do powrotu Celi. Spojrzałam na paczkę ryżu, a potem na śpiącą (martwą?) wampirzycę. *Hm.*

Nie mogłam się powstrzymać. Musiałam sprawdzić, czy to prawda.

-O rany... - wymamrotałam i usypałam mały kopczyk z ziaren ryżu u stóp Samanty.

Czekałam. Nie poruszyła się.

-Och, ale ze mnie idiotka - powiedziałam na głos i rozejrzałam się nerwowo dookoła. Wydawało mi się że w każdym cieniu kryją się żądne krwi istoty, każda kolejna bardziej niebezpieczna od poprzedniej. Trzymałam paczkę z ryżem niczym broń. Zagryzłam wargi. -

O rety. Naprawdę wolałabym nie być tu teraz sama... Natychmiast poczułam otaczający mnie chłód, a przed poręczą zmaterializował się biały mglisty kształt. *Porucznik Luke!*

Formował się przed mną, początkowo powoli, a potem coraz szybciej. Uniosłam lekko głowę, by spojrzeć na jego twarz.

- Cześć - powiedziałam, uśmiechając się promiennie, i upuściłam paczkę z ryżem.

-Panienko Pandoro, nic się pani nie stało? - zapytał zaniepokojony. Zdjął swoją ciemnoniebieską czapkę i trzymał ją w dłoniach z szacunkiem.

Skinęłam głową.

- Nic mi nie jest. Cześć - powtórzyłam. - Naprawdę miło cię widzieć.

Luke objął mnie chłodnym mglistym ramieniem.

- Nie chcę, żeby ktoś panią skrzywdził. Zauważyłam, że się uśmiecham. Oparłam się o niego

i poczułam się bezpiecznie w jego ramionach.

-Tęskniłam za tobą. Żałuję, że jesteś martwy - powiedziałam, po czym wyjaśniłam mu, dlaczego szukałyśmy Samanty.

- Masz dobre serce, panienko - odparł.

Powrót mojej ciotecznej babki zwiastował stukot i grzechot wjeżdżającej windy. Luke i ja zamilkliśmy, żeby nie wyglądało na to, że mówię do siebie. Celia przyniosła dwa małe worki z juty. Były za małe, żeby pomieścić dorosłe koty. Nie miałam pewności, ale wydawało mi się, że worki się poruszały.

Kocięta? - pomyślałam ze zgrozą. *Nie!*

-Och, moja droga, nie zamierzam nakarmić jej kociętami. Uspokój się - powiedziała moja cioteczna babka. W jej głosie brzmiało rozbawienie. - Harold potrafi zdobyć wszystko, co akurat jest potrzebne. Jest naprawdę kochany.

Chwileczkę, czy ona właśnie czytała w moich myślach? -Co to jest? - zapytała, wskazując kupkę ryżu na podłodze. Zaczerwieniłam się.

Luke pochylił się, żeby zobaczyć, co wskazywała.

- Hm - zaczęłam, zawstydzona. Moje policzki płonęły. - Chciałam sprawdzić...

- Kochanie, ta metoda jest o wiele bardziej skuteczna, gdy są przytomne - odpowiedziała Celia i umilkła. Przechyliła głowę i spojrzała na mnie. - Czy twój przyjaciel jest tutaj? - odwróciła się w lewo, a potem w prawo. -Jest tutaj, prawda? To urocze.

Spojrzałam na porucznika Luke'a, który odwzajemnił

moje spojrzenie. Odwróciłam się z powrotem do ciotecznej babki, która uśmiechała się szelmowsko.

- Czy jest przystojny? - zapytała, unosząc jedną brew.

Przytaknęłam.

- Ach, żałuję, że nie mogę go zobaczyć, ale to nie mój dar - odpowiedziała ze smutkiem i westchnęła. Zastanawiałam się, skąd wiedziała o moim przyjacielu-duchu, ale zanim zdążyłam zapytać, pochyliła się nad Samantą. - A teraz, moja droga, przemieniono cię w sangwinika, ale pozostaniesz nim pod warunkiem, że będziesz piła - wyjaśniła młodej nieumarłej kobiecie.

Samanta wciąż miała zamknięte oczy. Nie ruszała się, nawet nie oddychała.

Celia otworzyła worek i ku mojemu obrzydzeniu zmieszanemu z ulgą ujrzałam dwa bardzo tłuste i wstrętne szczury.

- To powinno cię obudzić - wymamrotała i przytrzymała wijące się gryzonie za długie, pokryte łuskami ogony, po jednym w odzianej w rękawiczkę dłoni. W jakiś sposób wykonała ten gest tak elegancko, niczym kapłanka karmiąca cennego węża.

Tego, co nastąpiło potem, nigdy nie zapomnę. Samanta błyskawicznie otworzyła oczy i wciągnęła powietrze ustami, obnażając kły. Dłonią zagiętą na kształt pazura pochwyciła szczury, zatopiła w nich kły i zaczęła chciwie spijać ich krew, niczym dziecko wysysające sok z owocu pomarańczy. Było to całkowicie bestialskie i niehumanitarne zachowanie i wydarzyło się w mgnieniu oka. Tak szybko. Tak zwierzęco.

Przełknęłam ślinę, miałam suche usta.

Ta krótka orgiastyczna uczta sprawiła, że Samanta uległa dziwnej przemianie.

- Och - westchnęła, oblizując usta. Zauważyłam, że jej skóra prawie natychmiast się zaróżowiła.

- Kochanie, musisz się odżywiać - wyjaśniła jej Celia. - Jesteś sangwinikiem.

-Wampirem - dodałam uprzejmie, ponieważ nie sądziłam, by młoda kobieta mogła wiedzieć, co oznacza słowo sangwinik.

Celia spojrzała na mnie ostro.

Samanta jeszcze raz oblizwała usta. We wzroku, którym popatrzyła na Celię i na mnie, była dzikość. Zdawała się nie widzieć Luke'a. A potem zauważyła małą kupkę ryżu u swoich stóp.

-Och! - nabrała powietrza w płuca i skwapliwie pochyliła się ku ziarenkom. - Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem...

Nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

Celia westchnęła z rezygnacją.

- Cóż, to trochę potrwa. Całe szczęście, że nie rozsypałaś całej torby - oparła się o poręcz i czekała.

Zarumieniłam się.

Po dłużących się pięciu minutach Samanta skończyła liczenie na sześćdziesiątym dziewiątym ziarenku ryżu.

-Jak już mówiłam, moja droga, jeśli chcesz przeżyć, teraz musisz pić krew. Już nie jesteś człowiekiem - tłumaczyła jej moja cioteczna babka.

-Nie jestem... człowiekiem?

- Kto ci to zrobił? - naciskałam. - Samanto, czy stało się to podczas sesji zdjęciowej? Czy później? Kto to był?

Młoda wampirzyca zmarszczyła jasne brwi.

- Hm... - Próbowała się skupić. - Pamiętam, że byłam z tą piękną modelką... po sesji zdjęciowej dla „Pandory”.

Poszłyśmy na drinka. Naprawdę ją polubiłam. Była taka miła...

Ona była miła? To brzmiało podejrzanie.

-A potem... znalazłam się tutaj. - Znów zmarszczyła delikatne brwi. - Nie wiem, jak się tu znalazłam.

Ja wiem - pomyślałam. Przez *Atanazję*.

-A co się stało z twoim ubraniem? Z twoim portfelem i rzeczami osobistymi?

Potrząsnęła głową.

- Nie wiem.

- Dam ci jakieś moje ubrania - oznajmiłam, a Celia uniosła brew. - Nie potrzebuję już tego, co nosiłam w Gretchenville.

Postanowiłam zatrzymać dżinsy i T-shirty, ale pozbyć się szarego garnituru. Pomyśl, by ubrać w niego wampira straszącego po kątach, był niezwykle pociągający.

-Możesz tu zostać - zaproponowała Celia. - Jeśli chcesz, znajdziemy ci jakąś trumnę.

- Och, dziękuję. Czuję się o wiele lepiej - odparła Samanta z uśmiechem. - Bardzo serdecznie dziękuję.

Jej uśmiech, choć uroczy, był trochę przerażający. Być może przez te kły.

Rozdział 19

Udało się. Miałam świetną historię.

Naturalnie, mogłam opisać jedynie jedną dziesiątą z tego, czego dowiedziałam się od chwili mojego przybycia do Nowego Jorku, ale artykuł, który przygotowywałam dla Pepper Smith, miał zwrócić uwagę Skye, a nie spowodować odwiezienie mnie do szpitala dla umysłowo chorych, czym niechybnie skończyłaby się próba napisania tekstu pod tytułem „Prawda o wampirzej naturze ambasadorki „Krwi Młodości””. I nie chodzi o to, że mam dużo do powiedzenia na ten temat. Moim zdaniem to nieetyczne reklamować produkt kosmetyczny, samemu będąc istotą, która się nie starzeje.

„Krew Młodości” zdemaskowana - tak brzmiał niezbyt subtelny tytuł mojej „notatki” z gali promocyjnej dla Pepper.

Bezpieczeństwo stosowania „Krwi Młodości”, najbardziej rozreklamowanego w tym roku w Nowym Jorku kosmetyku upiększającego, budzi poważne wątpliwości - napisałam. Tekst zawierał wiele ciekawych informacji, wśród nich także tę, że nie można zlokalizować laboratorium „Krwi Młodości” w Europie Wschodniej ani skontaktować się z nim:

Analiza listy firm w Europie Wschodniej ujawniła, że firma o takiej nazwie nigdy nie została tam zarejestrowana, a drE. Toth, węgierski naukowiec, który rzekomo miał wynaleźć rewolucyjną formułę cudownego kremu, nie istnieje. Rumuński aktor Charles Shultuitz, który odegrał rolę dr. Totha w promocyjnym filmie reklamującym „Krew Młodości”, oznajmił, że zapłacono mu za przeczytanie tekstu i że nie słyszał o istnieniu dr. Totha.

- Nie miałem pojęcia, do czego wykorzystane zostanie to nagranie - wyjawiał „Pandorze”. Oświadczył także, że za nagranie, które zostało później wykorzystane, by uwiarygodnić krem „Krew Młodości”, otrzymał pięćset dolarów.

Aktorka Toni Howard, prowadząca galę promocyjną kosmetyku w restauracji „Elizabett” w tym tygodniu, przyznała, że otrzymała wynagrodzenie w postaci zapasu produktu oraz że nigdy nie poznała nikogo, kto twierdziłby, że jest bezpośrednim przedstawicielem producenta kremu.

-Kampania reklamowa była świetnie przygotowana. A gdy zaczęłam używać tego kremu, efekty były oszałamiające. Nie miałam wówczas pojęcia, że z „Krwia Młodości” jest coś nie tak - powiedziała „Pandorze”. - Ale po zaledwie kilku dniach pojawiła się wysypka. Nigdy wcześniej nie miałam tak silnej reakcji alergicznej. Nawet nie mogę wstać z łóżka.

Nikt z moich rozmówców nie spotkał ani jednej osoby bezpośrednio powiązanej z firmą, z wyjątkiem ambasadorki produktu. Oczywiście, pisząc o Atanazji, musiałam być dyskretna, gdyż nawet jeśli podejrzewałam ją o wiele przewinień, nie miałam żadnych naukowych dowodów, a sądziłam, że świat nie był gotowy na prawdę o supermodelkach wampirach.

Me udało nam się skontaktować z supermodelką Atanazją, oszałamiająco piękną twarzą „Krwi Młodości”. Niewiele o niej wiadomo, nie reprezentuje jej żadna agencja modelek w Nowym Jorku, nikt też nie był w stanie udzielić nam bliższych informacji o niej poza tym, że pochodzi prawdopodobnie z Europy Wschodniej.

Jednakże najbardziej niepokojąca jest tajemnicza atmosfera otaczająca sam produkt. Oficjalnie krem zawiera standardowe składniki. Takie, jakie można znaleźć w wielu, niekoniecznie ekskluzywnych kosmetykach. „Pandorze” znane są dwa przypadki wystąpienia tajemniczych dolegliwości krótko po zastosowaniu produktu. Jeden z nich dotyczy osoby z redakcji naszego pisma. Czy to zbieg okoliczności? A może dokument Amerykańskiej Agencji ds. Żywności i Leków dopuszczający kosmetyk do obiegu nie istnieje, tak samo jak dr Toth i firma produkująca „Krew Młodości”? A jeśli dr Toth naprawdę nie istnieje, to kogo należy obarczyć odpowiedzialnością, gdyby okazało się, że produkt zawiera niebezpieczne i niedopuszczone do stosowania w kosmetykach substancje?

W momencie oddawania numeru do druku „Pandora” zaproponowała ponowne przebadanie Krwi Młodości przez Amerykańską Agencję ds. Żywności i Leków. Kliencie, strzeż się...

Z dumą zaprezentowałam swój artykuł Pepper.

Po wyrazie jej twarzy mogłam się domyślać, że nie spodziewała się wiele. Zabrała tekst do gabinetu Skye i zamknęła za sobą drzwi. Skye wracała powoli do zdrowia, lecz jej zastępczyni wyraźnie czuła się w jej gabinecie jak u siebie, pomyślałam. Raczej nie spodoba się jej przekazanie pałeczki z powrotem.

Sześć minut zabrało Pepper dojście do mojego biurka. Czułam jej obecność za plecami.

- Napisałaś to wszystko sama? - zapytała z niedowierzaniem. Odwróciłam się i potwierdziłam. -Tak.

-I to wszystko prawda? Doktor Toth to wynajęty aktor? Przytaknęłam ponownie.

-Znalazłam go przez internet. Mam w komputerze mejl od niego.

- Masz dowody na to, co piszesz? To o doktorze Toth i o tym, że firma nie istnieje? Będą mi potrzebne wszystkie twoje notatki.

Byłam na to przygotowana. Pozew sądowy byłby niepożądany. Wręczyłam jej wyniki moich poszukiwań, dane kontaktowe i notatki.

-Agencja do spraw Żywności i Leków powinna się temu przyjrzeć - powiedziałam z naciskiem. - Producent „Krwi Młodości” jest w najlepszym przypadku nieuczciwą firmą, a w najgorszym... sama nie wiem. Ten krem może być nawet niebezpieczny.

-Hm - zamyśliła się Pepper. Niemal słyszałam, jak pracują jej trybiki w głowie. - Muszę porozmawiać o tym z Henriettą - chodziło jej o kobietę z agencji reklamowej - może ona coś mi wyjaśni.

- Powodzenia - odparłam. Henrietta nie odpowiadała na moje telefony. Nic dziwnego.

Pepper naprawdę jest pod wrażeniem, pomyślałam. Moja praca z pewnością została zauważona.

Wkrótce nowy numer „Pandory” ma iść do druku. Może jednak uda mi się zaistnieć w tym mieście.

Rozdział 20

Wkrótce zaczęłam traktować Spektor jak dom, a to, co się w nim działo, uznawałam za normalne. Dowodziło to tylko, jak nieszczęśliwa byłam wcześniej w Gretchenville.

Między mną a ekscentryczną cioteczną babką Celią nawiązała się prawdziwa nić porozumienia, której brakowało mi w wypadku ciotki Georgii. Celia była dla mnie niczym dobra wróżka chrzestna. (A może wampirzyca chrzestna, bez kłopotliwych zębów). Udzielała mi dobrych rad w kwestii eleganckiego ubioru, opowiadała o tym, jakie wiodła życie jako projektantka mody, i odpowiadała na moje pytania dotyczące historii rodziny. Krok po kroku pomagała poskładać razem puzzle mojego życia. To był powolny proces, ale w końcu zaczęłam akceptować swój „dar” komunikowania się ze zmarłymi, który - zdawało się - odgrywał kluczową rolę w kształtowaniu mojej tożsamości.

Sklep „U Harolda” rzeczywiście był chyba otwarty całą dobę, tak jak obiecywał jego niezwykle wyglądający właściciel. Harold upierał się, że tak jest, wbrew temu, co widziałam nocą z okna taksówki. Dostałam ser, który mi obiecał, zamówiłam też moje ulubione krakersy. Zdobył także dla mnie torbę na ramię, którą widziałam na okładce „Mii”, a która tak bardzo mi się spodobała.

Przemieniona w wampira Samanta nigdy więcej nie próbowała rzucać mi się do gardła. Powoli się zaprzyjaźniałyśmy, chociaż byłam bardziej ostrożna, przechodząc przez hol budynku po zmroku, na wypadek gdyby - ona lub ktoś taki jak ona - miała napad straszliwego pragnienia. I choć wyczuwałam wielu innych mieszkańców w dzielnicy Spektor, mała uliczka pozostawała zaciszna, jak gdyby nie zdecydowali jeszcze, czy mogą mi zaufać i się ujawnić.

W redakcji „Pandory” pracowałam spokojnie nad swoim tekstem o modzie vintage (w przerwach między podawaniem napojów i wykonywaniem innych powierzanych mi zadań), ale mój umysł zajęty był ważniejszymi sprawami, które dopiero poznawałam. *Kły. Krew. Duchy zmańch*. Szukałam kolejnych informacji o Edmundzie Barrecie, lecz ku mojemu zdziwieniu nigdzie nie wspomiano o Spektorze ani budynku, który obecnie był moim domem. Ta kryjówka nieumarłych była, dosłownie, poza systemem. Nie powinno mnie to dziwić. Zaskoczyło mnie natomiast, że Pepper nie zadawała mi żadnych kolejnych pytań o artykuł, który jej dostarczyłam.

Porucznik Luke nie odwiedzał mnie, a ja czułam, że bardzo chcę znowu go zobaczyć. Ogromnie za nim tęskniłam. Ale dokąd miałby zmierzać taki związek? On był martwy. Za to Jay Rockwell był jak najbardziej żywy. Wymieniliśmy kilka mejli i, choć nie dałam mu swojego numeru telefonu - wciąż go nie miałam - zgodziłam się w końcu zjeść z nim kolację. Słyszałam, że Mała Italia to sympatyczna część Manhattanu, a on zgodził się mnie tam zabrać.

W piątek, za kwadrans szósta wyszłam z redakcji „Pandory” na swoją pierwszą randkę w Nowym Jorku.

Był to dziwny dzień, a nie wiedziałam, że miał być jeszcze dziwniejszy...

Na ramieniu miałam nową, czarną skórzaną torbę. Na sobie - najładniejszą jedwabną sukienkę Celi, na wierzch narzuciłam kaszmirowy zimowy płaszcz w kolorze karmelowym. Do tego założyłam czerwone pantofelki ciotecznej babki, które pięknie podkreślały kształt moich łydek. Jeszcze kropla perfum na szyję, muśnięcie ust czerwoną szminką i kilka ruchów grzebieniem, żeby uporządkować włosy.

-No więc? Kto to jest? - dopytywała się Morticia. Wychodziła z biura o tej samej porze co ja, więc szłyśmy razem.

Dzięki temu, że się przygotowałam i że miałam na sobie piękne stroje Celi, wyglądałam całkiem nieźle, ale po nieprzyjemnym dniu w pracy (opowiem o tym później) byłam nieco przygnębiona. Trochę wbrew swoim zasadom przyznałam się Morticii, że idę na randkę, więc naturalnie nie dawała mi spokoju, zamęczając pytaniami. Jednak z powodów, które wolałam zachować dla siebie, byłam w ponurym nastroju i odpowiadałam wymijająco. Poza tym najpierw chyba powinnam zobaczyć, jak nam pójdzie, zanim zacznę dzielić się tym, co czuję do Jaya Rockwella. Nie chciałam niczego przyspieszać ani nie zależało mi na tym, żeby cała redakcja знаła szczegóły mojego życia osobistego, prawda? (Duchy i tym podobne...). W każdym razie moja niechęć do udzielania odpowiedzi nie poprawiła atmosfery w chwili, gdy wyszłyśmy na chłodne powietrze ulic SoHo.

Wład.

Milczący szofer Celi czekał na mnie przy chodniku. Tego się nie spodziewałam. Wyglądał tak samo onieśmielająco i bez wyrazu jak zawsze. Stał przy swoim czarnym wypolerowanym samochodzie w postawie ochroniarza z hollywoodzkiego filmu: na rozstawionych nogach, z rękoma założonymi za plecami. Jego nieskazitelny czarny garnitur, robiąca wrażenie postawa oraz czarne okulary, których nigdy nie zdejmował - nawet teraz, tuż przed zachodem słońca - sprawiały wrażenie, jakby był agentem CIA albo wynajętym mięśniakiem. Za jego plecami sunęły auta niczym hałaśliwa smuga światła, zdając się zupełnie odrębną płaszczyzną przeciwstawioną statycznej postaci na pierwszym planie.

Nie miałam pojęcia, że Wład po mnie przyjedzie, choć mogłam się domyślić, że Celia go wyśle. (Jej także opowiedziałam o randce. Jak widać, nie potrafiłam trzymać języka za zębami). Widząc Włada i jego samochód przed redakcją „Pandory”, poczułam dziecinne pragnienie, żeby Skye i Pepper zobaczyły mnie, redakcyjną sierotkę, jak wsiadam do eleganckiego samochodu, którego drzwi otwiera mi szofer. Pomysł ten pojawił się niczym mała haniebna bańka próżności. „Iluzja znaczenia” i tak dalej. Tymczasem jedynym świadkiem tej sceny była Morticia.

-Do zobaczenia zatem. Miłego weekendu - odezwałam się, choć wcześniej nie odpowiadałam na żadne z jej pytań o moją randkę.

Wsiadłam do czarnego samochodu, zapięłam pas i położyłam moją skórzaną torebkę na kolanach. Kiedy milczący Wład zamknął za mną drzwi, zobaczyłam, że oczy Morticii zrobiły się wielkie jak spodki. Stała na

chodniku, a zimowy wiatr rozwiewał jej rude włosy. Gdy samochód ruszył, poczułam wyrzuty sumienia, że ona musi jechać do domu metrem, podczas gdy ja rozbijam się autem z szoferem. Na bank będę przepytana w poniedziałek.

Choć nie pamiętałam, żebym mówiła Celi, gdzie miałam spotkać się Jayem, Wład doskonale wiedział, dokąd jechać, i jak zwykle wiózł mnie w milczeniu. Kiedy zwolnił i zatrzymał samochód przy chodniku, zobaczyłam nazwę restauracji i moje serce zabiło szybciej. Restauracja nazywała się „U Giovanniego”. Wyskoczyłam z samochodu, zanim kierowca zdążył obejść go dookoła, by otworzyć mi drzwi. Zrobiłam kilka kroków po wybrukowanej ulicy i się odwróciłam.

- Dziękuję, Wład - powiedziałam. - Miłego weekendu.

Wład milcząco skinął głową. Ponieważ nigdy się odzywał, założyłam, że miało to oznaczać: „Baw się dobrze” albo coś w tym rodzaju. Obserwował, jak szłam do drzwi restauracji, po czym usiadł za kierownicą. Kiedy weszłam do środka i byłam już bezpieczna, odjechał tam, gdzie zapewne milczący mężczyźni, tacy jak Wład, spędzali wieczory. Ciekawe, gdzie dokładnie to miejsce się znajdowało...

Była to moja pierwsza wizyta w części Manhattanu zwanej Małą Italią i bardzo mnie to ekscytowało. Chciałam zobaczyć to miejsce od czasu, gdy obejrzałam drugą część *Ojca chrzestnego*. Słońce zachodziło, barwiąc niebo na czerwono i pomarańczowo, a zapadającą na ulicach ciemność rozświetlał blask zaczarowanych białych świateł. Odkryłam, że zimowe wieczory w Nowym Jorku bywały przejmująco zimne, lecz tutaj ciepło biło od grzejników gazowych ustawionych na chodniku. Re-

stauracje tłoczyły się tu jedna obok drugiej, udekorowane tradycyjnymi ozdobami i flagami Włoch. Stali klienci siedzieli już przy stolikach, rozkoszując się winem. Kołnierze mieli wysoko postawione i szeroko się uśmiechali. Moje nozdrza wypełniła cudowna woń dań włoskiej kuchni. Dookoła rozbrzmiewały śmiech, muzyka i brzęk talerzy. *Wspaniale.*

Nalegałam, że nie chcę iść do żadnej wytwornej restauracji, Jay zaproponował więc przytulną knajpkę o dobrej opinii. Podejrzewałam, że ma znajomości wśród kelnerów w modniejszych restauracjach, ale w tej najwyraźniej ich nie miał. Jedyne wolne godziny, jaką dla nas znaleźli, to szósta piętnaście. Odpowiadało mi to, choć musiałam przynieść do pracy ciuchy na zmianę i udać się na spotkanie prosto z biura - z pomocą Włada, jak się okazało.

Pokonałam nierówności brukowanej drogi w ślicznych rubinowych pantofelkach Celi, stanęłam przy drzwiach, przeczesalam palcami włosy i weszłam do środka.

No to do dzieła...

Uderzyła we mnie fala przyjemnie ciepłego, nasyconego zapachami włoskiej kuchni powietrza i gwar rozmów. W wypełnionej po brzegi sali, każdy mały stolik nakryty był tradycyjnym obrusem w czerwono-białą kratkę, a na nim stały kieliszki do wina i koszyczek z chlebem, obok leżały sztucce. Kilka par zajadało się spaghetti. Natychmiast odszukałam wzrokiem mojego atrakcyjnego randkowicza - czekał na mnie przy przytulnym stoliku w kącie sali. Wstał, a ja ruszyłam w jego kierunku przez zatłoczoną salę. Niektórzy goście zaczęli się nam przyglądać. (Wciąż nie mogłam się przyzwy-

czaić do tego, że ludzie tutaj ciągle przypatrywali się badawczo innym. Czy to typowe dla Nowego Jorku? A może w ogóle charakterystyczne dla dużych miast?) Jay wyglądał oszalamiająco w czarnej koszuli z kołnierzykiem i niebieskich dżinsach. Rękawy koszuli miał lekko podwinięte, dzięki czemu widać było jego muskularne przedramiona, co zaobserwowałam z przyjemnością. Na powitanie przytulił mnie po przyjacielsku, a ja poczułam podniecenie wywołane jego bliskością.

- Cześć - powiedzieliśmy równocześnie.

Jay pomógł mi zdjąć kaszmirowy płaszcz Celi, a młody i szczupły włoski kelner w mgnieniu oka zabrał go do szatni. Na mój widok skinął aprobująco głową.

- *Bella*- wymruczał. - Piękna dama pozwoli, że zabiorę jej płaszcz. - Szybkim ruchem uniósł końcówki palców do ust, jakby chciał przesłać mi pocałunek.

Kochliwy kelner opuścił nas, a mój towarzysz przysunął mi krzesło.

- Masz szofera? - stwierdził Jay. Wyglądał przy tym na trochę zdziwionego i niewątpliwie był pod wrażeniem.

Zajęłam swoje miejsce, a on usiadł naprzeciwko. Nasze krzesła zaskrzypiały, gdy przysuwaliśmy je do przodu. Jay pochylił się ku mnie, a w jego oczach dostrzegłam błysk złośliwości.

- Myślałem, że nie lubisz ostentacji? - zapytał kpiąco.

- Nie mam. I nie lubię - odparłam w odpowiedzi na oba pytania. - To kierowca Celi. Nalegała, żeby mnie podwiózł - wyjaśniłam. - I wcale nie chciałam, żebyś mnie zabrał do jakiejś sztywnej, przesadnie drogiej restauracji.

Szczerze mówiąc, nie chciałam presji eleganckiego lokalu. Myśl o sali pełnej bogatych nowojorczyków prze-

rażała mnie. Jestem pewna, że użyłabym niewłaściwego widelca albo popełniła inną gafę.

- Z całą pewnością jesteś niezwykłą kobietą - przyznał Jay, kręcąc głową, a przed moimi oczami stanęły wszystkie te kobiety, którym imponował, zabierając je do drogich restauracji na Manhattanie i fundując drinki za pięćdziesiąt dolarów oraz horrendalnie drogie kolacje.

Poczułam ukłucie zazdrości.

- Chciałbym spotkać kiedyś twoją cioteczną babkę - dodał. - Wydaje się niezwykłą kobietą.

- To prawda - przyznałam. Nerwowo wygładziłam jedwabną sukienkę i pod stolikiem przesunęłam stopą ciężką torbę na jedną stronę. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że przyszedłam prosto z pracy.

- To tak jak ja - odpowiedział. - Muszę ci powiedzieć, że wyglądasz dziś przepięknie. Jesteś najlepiej ubraną osobą w tej restauracji.

Poczułam, że się rumienię, choć wątpiałam, by miał rację.

- Dziękuję.

Zapadła między nami dziwna cisza, więc otworzyliśmy karty dań, żeby się czymś zająć.

- I co, skończyłaś ten artykuł o gali „Krwi Młodości”? Jak ci poszło? - zapytał.

Zesztywniałam.

Pytanie samo w sobie, jestem tego pewna, było niewinne. W końcu ostatni raz widzieliśmy się podczas promocji. Jay nie miał pojęcia o śledztwie, które potem przeprowadziłam, nie wiedział też nic o moich dziwnych odkryciach. Nie wspomniałam o tym ani słowem w naszej korespondencji mejlowej. Pepper wyraźnie zaznaczyła, że bym nikomu o tym nie mówiła, gdyż temat był

zarezerwowany dla naszego czasopisma. Dlatego też, jeśli Jay przypadkiem nie przejrzał już nowego numeru „Pandory”, nie mógł wiedzieć o moich zarzutach wobec „Krwi Młodości”, a już z całą pewnością nikt nie wiedział o moich szokujących podejrzeniach dotyczących modelki reklamującej krem, czyli Atanazji, ani o tym, co według mnie zrobiła mojej poprzedniczce Samancie. Po wielu latach tłumienia w sobie chęci opowiedzenia moim rodzicom - a później ciotce Georgii - o tym, co widziałam i kto mnie odwiedził, coraz lepiej dotrzymywałam niezwykłych sekretów. Niewątpliwie przydało mi się to w tej sytuacji. Komu miałam się zwierzyć z tych zagadek z innego świata? Kto by mi uwierzył? *Nikt*. Z wyjątkiem Celii. I może będącej teraz sangwinikiem Samanty albo mojego przyjaciela, podporucznika Luke'a, który zmarł półtora wieku temu.

-Nowy numer wyszedł dzisiaj? - zapytał mój towarzysz, nieświadomie drążąc nieprzyjemny temat.

- Tak, ale nie mogę teraz o tym rozmawiać - odparłam zagadkowo.

Jeden egzemplarz nowego numeru „Pandory” miałam przy sobie, w torebce u moich stóp. Chociaż niecierpliwie czekałam, aż się ukáže, nikt ani słowem nie wspomniał o nim w mojej obecności, nawet Morticia. Przez cały dzień miałam dziwne wrażenie, że Pepper, zastępczyni naczelnej, mnie unikała. Skye czuła się już lepiej po swojej tajemniczej chorobie, ale ona także nie przyszła do mnie ani też nie wezwała w sprawie tekstu. W końcu zobaczyłam nowy numer pisma podczas popołudniowej przerwy na kawę i wzięłam jeden egzemplarz. Kiedy przeczytałam wstępniak, atmosfera w redakcji przestała mnie dziwić. (Zanim wróciłam do swojego

biurka, musiałam poprawić makijaż oczu w łazience). Nikt nie chciał wziąć na siebie zadania otworzenia mi oczu. Pepper unikała mnie nie bez powodu.

Nie chciałam pokazywać nowego numeru Jayowi. Nie byłam w stanie o tym rozmawiać. Niezręcznie spróbowałam zmienić temat.

- A co tam słychać w „Tylko dla mężczyzn”?

Jay zarejestrował moją wymijającą odpowiedź i przez chwilę spoglądał na mnie zdziwiony, szukając brązowymi oczami mojego wzroku. Potem odpowiedział:

-Wszystko w porządku. Mam kilku nowych poważnych klientów. Baza reklamodawców rośnie.

Jay kierował działem reklamy w redakcji.

- Och, to świetnie - odparłam niewyraźnie, wciąż myśląc o tym, co Pepper zrobiła z moim artykułem.

Mój towarzysz wyczuł, że coś jest nie tak i pochylił się do przodu. Delikatnie ujął moją dłoń i powiedział:

-Kogo obchodzi, co się dzieje w pracy? Nie jestem tu po to, żeby rozmawiać z tobą o redakcji. Chcę się cieszyć twoim towarzystwem,

Udało mi się uśmiechnąć.

Rozdział 21

Było już po dziewiątej, gdy skończyliśmy pyszny deser o nazwie tiramisu, którego nigdy wcześniej nie próbowałam. Jay nalegał, że ureguluje należność. Chciałam zapłacić za swoją część, ale gdy przyniesiono rachunek, położył swoją kartę kredytową i nie pozwolił mi się dołożyć.

- Czy teraz będę mógł dostać twój numer telefonu? -zapytał i błysnął zębami w uśmiechu.

Spędziliśmy miło czas, cieszyliśmy się swoim towarzystwem, ale gdy zadał to pytanie, spojrzałam na swoje dłonie. Co miałam powiedzieć? Że jestem zbyt biedna, żeby go kupić, ale wciąż nad tym pracuję? Że moja ekscentryczna cioteczna babka ma alergię na telefony, podobnie jak na czosnek?

Po chwili, gdy nie odpowiadałam na jego prośbę, Jay skinął głową i roześmiał się cicho.

- Spotykałem już dziewczyny, które udawały trudne do zdobycia, ale ty naprawdę robisz wrażenie. - W jego głosie nie było słyhać goryczy. Wydawał się za to podziwiać moją powściągliwość.

Wcale nie byłam małomówna. Przez ostatnie dwie godziny Jay delikatnie wyciągał ze mnie informacje o moim życiu, a ja robiłam mniej więcej to samo. Próbowałam opowiedzieć mu co nieco o Gretchenville, bez wdawania się w szczegóły, lecz on chciał wiedzieć wię-

cej, choć nie było czym się chwalić. Miejscowych zbirów nie dało się uniknąć. Fakt, że większość miejscowych uważała, że najlepszym sposobem na spędzenie weekendu jest upijanie się. To, że w Gretchenville było jedno zaniedbane kino, żadnego Starbucksa ani Wal-Martu, żadnej różnorodności etnicznej poza jedną rodziną afro-amerykańską, wywodzącą się od niewolników. Mieszkali w dużym domu na przedmieściach i niewątpliwie marzyli o tym, by stąd wyjechać. Nic dziwnego, że żyłam zakopana w książkach albo surfując w internecie. Jeśli nie chciałam, żeby Jay pomyślał, że jestem naiwną prostytutką z małego miasteczka, powinnam milczeć. Ale mówienie o Gretchenville za plecami całego miasteczka przynosiło taką ulgę, że nie mogłam się powstrzymać.

Jay Rockwell był z kolei absolwentem uniwersytetu i byłym wioślarzem, co wyjaśniało imponującą budowę ciała. Jego ojciec, najwyraźniej dość bogaty, trzykrotny rozwodnik, znał właściciela czasopisma „Tylko dla mężczyzn” i domyśliłam się, że dzięki tej znajomości Jay dostał pracę. Jego matka zmarła na raka piersi, kiedy miał siedemnaście lat, co widać mocno nim wstrząsnęło. Opowiedziałam mu, że oboje moi rodzice zginęli w wypadku w Egipcie, ale nie rozwijałam tematu, a on złożył mi wyrazy współczucia, lecz nie naciskał. Był też krępujący moment, gdy Jay, który ma dwadzieścia pięć lat (czyli dokładnie w wieku porucznika Luke'a), zamówił butelkę wina, a potem uświadomił sobie, że jestem niepełnoletnia. Nieszczególnie pociąga mnie picie alkoholu, ale w tym momencie żałowałam ogromnie, że nie jesteśmy w Europie, Kanadzie albo Australii, bo wtedy mogłabym prostu powiedzieć: „Dziękuję, nie piję”, i wówczas byłaby to kwestia mojego wyboru, a nie

wieku. Skoro jednak sprawy wyglądały inaczej, zrezygnował z zamówionego wina i oboje wypiliśmy jakiś napój gazowany. Niecierpliwie oczekiwałam nadejścia pełnoletności.

Wraz z kartą kredytową przyniesiono wydruk z terminala, który Jay podpisał.

- Pandoro, zastanawiałem się, czy zechciałabyś mi towarzyszyć na pewnej imprezie jutro wieczorem? - zapytał.

Nie spodziewałam się tego. Wyobrażałam go sobie jako jednego z tych facetów, którzy stosowali wszystkie te głupie „zasady” randek, o których słyszałam. „Nie dzwoń przez trzy dni” i tak dalej. Chyba się myliłam.

- A co to za wydarzenie? - zaryzykowałam.

- Pokaz mody. Nie jest to, co prawda, Nowojorski Tydzień Mody, ale dość ważne wydarzenie. Będzie wiele osobistości. Pomyślałam, że mogłoby ci się spodobać.

Starłam się ukryć swój zachwyt, ale niezbyt mi się to udawało.

- Och, bardzo chętnie! - wykrzyknęłam, po czym zamknęłam usta i skinęłam głową.

Zastanawiałam się, czy Pepper też tam będzie, czy zobaczy, że ja też jestem, i pomyślałam, że mogłabym napisać artykuł o tym, a potem zdałam sobie sprawę ze swoich samolubnych myśli, nie mających nic wspólnego z mężczyzną, który mnie zaprosił, i poczułam wyrzuty sumienia.

- Czy to część twojej pracy? Przytaknęłam.

- Ale przyjemniej będzie wykonać ją z tobą.

Moją twarz rozjaśnił uśmiech. Oboje będziemy łączyć pracę z przyjemnością, to chyba było w porządku, prawda?

-A może chciałabyś pójść gdzieś jeszcze? - zapytał Jay.
Zastanowiłam się przez chwilę, po czym wzruszyłam ramionami.

-Nie znam Nowego Jorku wystarczająco dobrze. Jestem tu dopiero od dwóch tygodni. Uniósł brew.

- Naprawdę?

-Wtedy w windzie spotkaliśmy się krótko po moim przyjeździe - wyjaśniłam. - A dokładniej, następnego dnia po moim przybyciu. - Nie, żeby to pamiętał, przypominałam sobie. Nie powinnam była tego wspominać.

-Tym lepiej dla mnie - odparł krótko Jay.

Zrozumiałam, że jest zadowolony, iż nie poznałam jeszcze nikogo innego.

- Myślę, że pójdę już do domu, jeśli nie masz nic przeciwko temu - powiedziałam w końcu. Jeszcze przez kilka następnych lat puby będą poza moim zasięgiem, a nie chciałam ryzykować, że ktoś mnie wylegitymuje i najem się wstydu. Co zaś najważniejsze, nie chciałam, żeby pomyślał, że pójdę z nim do jego mieszkania. Miałam przeczucie, że wiele dziewczyn szło z nim do łóżka na pierwszej randce.

Jay delikatnie dotknął mojej dłoni. -W takim razie odwiozę cię do domu. Zobaczymy się jutro.

- Dziękuję - odparłam z ulgą, że nie nalegał.

Oboje wstaliśmy. Kelner przyniósł mój płaszcz, zanim zdążyliśmy go o to poprosić, i próbował pomóc mi go włożyć, lecz Jay z zaborczym - jak mi się wydało -burknięciem przejął inicjatywę. Młody kelner wycofał się szybko.

Jay otworzył przede mną drzwi i wyszliśmy na ulicę Małej Italii. W pierwszej chwili powietrze zdawało się być odświeżająco chłodne, a zaraz potem - zwyczajnie zimne.

-Jest ci ciepło? Może mogłaś poczekać w środku - zaproponował Jay, choć w jego spojrzeniu widziałam niechęć do zostawienia mnie pod opieką młodego kelnera.

- Ten płaszcz jest bardzo ciepły. Dziękuję - odpowiedziałam, choć skórę na łydkach miałam pokrytą gęsią skórką.

Objął mnie ramieniem, czemu nie zamierzałam się sprzeciwiać, i staliśmy tak, milcząc, na zimnym wietrze, czekając aż parkingowy podstawy jego samochód. Nasza rozmowa tego wieczoru chwilami płynęła dość wartko, lecz zdarzały się momenty krępującej ciszy. Czy to normalne? Nie byłam na aż tylu randkach, żeby to wiedzieć. Właściwie, stojąc tam, zdałam sobie sprawę, że to moja pierwsza „porządna” randka, i to nie tylko tu, w Nowym Jorku, lecz w ogóle. W Gretchenville nie było zbyt wielu odpowiednich kandydatów na chłopaka, więc raczej wolałam być sama niż z kimś, a z kolei z Benem, moją szkolną miłością, spotykaliśmy się na dość swobodnych zasadach. Nie umawialiśmy się na żadne randki, a już z całą pewnością nigdy nie poszliśmy do restauracji.

-Już jest - usłyszałam słowa Jaya. Był zniecierpliwiony, choć moim zdaniem wcale nie trwało to długo.

O rany.

Ujrzawszy samochód, który podstawiono, otworzyłam szeroko oczy. Był srebrny, bardzo drogi i o nieprawdopodobnie niskim zawieszaniu.

- Dzięki - rzucił Jay do chłopaka wręczającego mu klu-

czyki. Zauważyłam, że dał mu duży napiwek i pomyślałam o bogatym ojcu, o którym wspominał podczas kolacji. Domyślałam się, że Jay nie musi się martwić o pieniądze i pewnie nigdy nie musiał. Kwestia pieniędzy tworzyła między nami ogromną przepaść. Tam, skąd pochodzę, taki napiwek to duża suma, a jeśli chodzi o samochód -cóż taki pojazd nie mógłby się pojawić w Gretchenville.

Drzwi z mojej strony uniosły się w górę niczym luk w statku kosmicznym. Byłam zdumiona. Majaczyło mi gdzieś, że widziałam takie auto w jakimś filmie, ale nie umiałam powiedzieć o nim nic, poza tym, że było warte więcej niż dom ciotki Georgii. Goście siedzący w restauracji znów na mnie patrzyli, a ja czułam się zażenowana. Obserwowano nas. O *Boże* - pomyślałam. *To jest coś zupełnie innego.* Z jednej strony chciałam, żeby jeździł półciężarówką, taką jak te, do których byłam przyzwyczajona w Gretchenville, lecz z drugiej strony, podobało mi się to całe szaleństwo.

Jay chwycił mnie za łokieć, gdy nieelegancko wdrapywałam się na siedzenie obok kierowcy w jego nisko zawieszonym samochodzie. Jedwabna sukienka Celi sięgała do kolan i uszyta była tak, że dwie połowy materiału zachodziły na siebie wokół talii, więc gdy wsiadałam do samochodu, materiał rozsunał się, ukazując niemal w całości moje uda. Szybko poprawiłam fałdy, a Jay uśmiechnął się, lecz był zbyt dobrze wychowany, by to skomentować, za co byłam mu wdzięczna. Podał mi ciężką torbę, a ja położyłam ją niezgrabnie na kolanach. Drzwi automatyczne zamykały się zbyt wolno jak na mój gust, więc byłam szczęśliwa, gdy w końcu odjechaliśmy sprzed restauracji „U Giovanniego”, a goście ponownie skupili się na swoich daniach.

Zwróciłam uwagę na napis na kierownicy. Ferrari.

-Mieszkam na Addams Avenue, w Spektorze - poinformowałam mojego towarzysza, próbując jednocześnie wygodnie się usadowić.

- Spektor? - powtórzył Jay. - Gdzie to jest?

- Na przedmieściu - odpowiedziałam. - Będę cię pilotować.

- Na Manhattanie? - zapytał niepewnie. Przytaknęłam.

-Tak.

Jay zdawał się mieć wątpliwości co do tego, że dzielnica na przedmieściach zwana Spektor mieści się na wyspie Manhattan, ale bez protestu zastosował się do moich wskazówek. Przypomniałam sobie słowa Celi o tym, że jest to „martwe pole”, i zdałam sobie sprawę, że być może popełniam błąd, pozwalając mu się odwieźć. Nie rozumiałam tak naprawdę, o co tu chodziło. Ze względu na duży piątkowy ruch jechaliśmy wolno przez Małą Italię w kierunku Bowery i Trzeciej, stopniowo przemieszczając się na północ. Wskazałam mu uliczkę na północy, przecinającą Central Park, ferrari sunęło więc wśród ciemnozielonych drzew i krzewów, a jego światła wydobyły z mroku kilku nocnych spacerowiczów z psami.

-Mam nadzieję, że nie spacerujesz nocą po Central Parku - zauważył.

Zrozumiałam, że Jay uważa mnie za dziewczynę ze wsi. Najwyraźniej byłam zbyt szczerą, opowiadając mu o moim rodzinnym miasteczku, i teraz zemściło się to na mnie. Doprowadzało mnie to do szału.

- Może i jestem tu nowa - odparłam ostro - ale nie jestem aż taka głupia.

Celia ostrzegła mnie przed spacerowaniem nocą po

ulicach Nowego Jorku, byłam na tyle mądra, żeby nie próbować samotnych biegów nocą w Central Parku, ani w żadnym innym parku w tym mieście.

- Nie jestem głupia - dodałam, choć nie byłam pewna, czy jest to do końca prawda.

- Wiesz, Manhattan to nie Gretchenville - ciągnął nierozważnie.

- Serio? - zapytałam i pomyślałam: *Me znasz nawet potowy prawdy.*

Jay przyśpieszył delikatnie i w odpowiedzi na moje słowa westchnął ze smutkiem.

-W porządku, zasłużyłem na ten sarkazm. Przepraszam. Chodzi o to... Zależy mi na tobie i chcę mieć pewność, że jesteś bezpieczna - odparł, nie odrywając wzroku od drogi. - Martwię się o ciebie, jesteś tu nowa. Nowy Jork nie zawsze jest przyjazny.

Jakby na potwierdzenie jego słów zobaczyliśmy bezdomnego śpiącego na parkowej ławce.

- Potrafię o siebie zadbać - powiedziałam twardo.

- Dobra, już nic nie mówię. Nie mieszkasz w Harlemie ani w podobnym miejscu, prawda?

- Nie - odpowiedziałam.

Jay skupił się na prowadzeniu samochodu i znów zapadła cisza.

Byłam tak przewrażliwiona na punkcie protekcyjnego tonu, że prawie nie zwróciłam uwagi na to, że powiedział: „Zależy mi na tobie”. Spotkaliśmy się zaledwie kilka razy (dokładnie trzy, ale on nie pamiętał spotkań w windzie, więc właściwie się nie liczyło), z pewnością nie pochodziliśmy z tych samych środowisk i nie żyliśmy w podobnych warunkach (przykład: on jeździł ferrari, a ja nie mogłam sobie pozwolić nawet na telefon komór-

kowy), lecz niezaprzeczalnie byliśmy sobą zafascynowani. Ale czy zależało mu na mnie? O co mu chodziło? Ja nawet nie wiedziałam, co czuję. Podczas naszej randki kilkakrotnie myślałam o Luke'u z poczuciem winy. Miałam przed oczami jego twarz (na szczęście nie dosłownie) i przypomiinałam sobie spojrzenie jego pięknych błękitnych oczu. Zdawały się pełne tęsknoty. Ale oczywiście Luke był zjawą i to prowadziło... cóż, prowadziło nasze uczucia w ślepą uliczkę. Jay Rockwell także miał piękne oczy: duże, orzechowe, żywe. Był żywy i był człowiekiem, zainteresowanym mną i wolnym - choć to ostatnie powinnam sprawdzić. Miałam silne przeczucie, że wokół Jaya kręciło się mnóstwo atrakcyjnych kobiet, choć nie wiedziałam, w jakim charakterze. Czy miewał dziewczyny? Przypadkowe kochanki? Nie byłam pewna, stale się nad tym zastanawiałam. Jego dobre maniere były efektem doświadczenia, tyle wiedziałam na pewno.

- Jay, czy spotykasz się z kimś obecnie? - odważyłam się zapytać.

Moje pytanie zawisło na chwilę w powietrzu.

-Hm, w tej chwili spotykam się z tobą - odpowiedział z przesadną niedbałością i przesłał mi czarujący uśmiech.

- Masz dużo dziewczyn? - chciałam wiedzieć. Nie miałam zamiaru wdawać się w romans z podrywaczem, jeśli nim właśnie był.

- Nikogo na poważnie - odparł, a ja mu uwierzyłam. Skinęłam głową.

- Ja też - dodałam, gdyż mój duch się raczej nie liczył, prawda?

Skierowałam nas do tunelu na końcu Central Parku i wjechaliśmy prosto w otulającą, nieprzezroczystą mgłę.

- Jaka dziwna mgła - zauważył Jay, w osłupieniu rozglądając się dookoła. Zwolnił i ferrari wolno przejeżdżało przez opary.

Kolejny raz pomyślałam, jak dziwnym miejscem był Spektor. Przywozili mnie tu taksówkarze, teraz Jay. Na czym to polegało? Miałam tyle pytań. Po chwili zauważyłam, że jesteśmy na Addams Avenue. Na ulicy nie było nikogo, żadnych innych samochodów. Pokazałam Jayowi duży dom Celi na rogu ulicy. Zatrzymał się przy bramie.

- Co za niezwykle miejsce - powiedział, przechylając się do przodu i spoglądając przez szybę samochodu.

-A ja je lubię - odpowiedziałam, uśmiechając się szeroko. Uświadomiłam sobie, że to prawda. Naprawdę lubiłam to miejsce.

- Cóż, skoro tak, to ja też je lubię - dodał Jay, choć w jego głosie pobrzmiwała niepewność. Popatrzyliśmy na siebie w ciszy, oboje zastanawialiśmy się, co zrobić. W końcu wyciągnął rękę w moim kierunku i chwycił moją dłoń. - Chyba odprowadzę cię do drzwi.

Wysiadł z samochodu i okrążył go. Zanim dotarł do moich drzwi, udało mi się wysiąść. Razem podeszliśmy do żelaznych drzwi budynku, ramię przy ramieniu. Jay wciąż czuł się niepewnie w tym otoczeniu.

- Czy to bezpieczna okolica? Wydaje się trochę opustoszała.

- O nie - odparłam. - Wcale nie jest opustoszała. Tylko cicha. Większość mieszkańców to starsze osoby. Mieszkają tu od bardzo dawna.

To z pewnością była prawda.

- O której mam przyjechać po ciebie jutro? - zapytał. - Pokaz zaczyna się o ósmej.

-Jak chcesz, o siódmej? Albo siódmej trzydzieści? - zaczęłam i zamilkłam. Może to nie był dobry pomysł, żeby tu przyjeżdżał. Rzuciłam okiem w kierunku sklepu Harolda i upewniłam się, że jest zamknięty. Był zamknięty zawsze, gdy ktoś mi towarzyszył. Ktoś spoza Spektora. *No jasne*. To miejsce nie lubiło gości. -Właściwie, to będę w centrum, więc może spotkamy się na miejscu lub gdzieś w pobliżu? - zaproponowałam.

Jay wyglądał na zaskoczonego, ale zgodził się i podał mi adres.

-W takim razie siódma trzydzieści. Pójdziemy najpierw na drinka. Wymagane są stroje koktajlowe. Ubierz się tak samo jak wtedy, na galę promocyjną.

Wygląda na to, że naprawdę polubił tę czerwoną sukienkę. Cóż, jak każdy.

- Dobrze - zgodziłam się.

Wyciągnęłam z torby klucz i włożyłam do zamka, a gdy się odwróciłam, by życzyć mu dobrej nocy, nim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, jego usta znalazły się na moich. Ten pocałunek mnie zaskoczył, więc się cofnęłam. Zatrzymał się i spojrzał na mnie z troską, jakby zmartwiony, że pocałunek był zbyt mocny. Ale ja się uśmiechnęłam i troska ustąpiła miejsca uldze. Kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu. Oplotłam rękę wokół muskularnej szyi. Przez chwilę w milczeniu patrzyliśmy sobie w oczy, a potem nasze usta znów się spotkały. *Och, chrzanić to*. Przytuliłam się do niego mocniej i tym razem pocałunki były głębsze. Rozkoszowałam się ciepłem i słodyczą jego ust. Wiedział, jak całować dziewczynę. Nikt nigdy wcześniej mnie tak nie całował. To znaczy, nikt żywy.

Odsunęliśmy się od siebie po długiej cudownej chwili, oboje lekko dyszeliśmy.

-Cóż... - zaczęłam. Oparłam czoło o jego ramię, łapiąc przez moment oddech. - Dziękuję za miły wieczór. Muszę już iść. - Zebrałam siły i oderwałam się od jego ramienia.

- Czy to znaczy, że teraz dasz mi swój numer? - zapytał Jay, wciąż nie rozumiejąc, że nie mam telefonu. Roześmialiśmy się. Nie miałam ochoty wyjaśniać mu tego. -Dziękuję Pandoro - powiedział po chwili. - Świetnie się bawiłem. Widzimy się jutro, tak?

-Tak. Dobranoc - odparłam marzycielskim tonem.

Przeszłam przez ciężkie drewniane drzwi, które tym razem otworzyły się lekko i zamknęły za mną, tradycyjnie już wznosząc obłok kurzu. Pewnego dnia przyniosę na dół szczotkę i zrobię tu porządek, postanowiłam. Przynajmniej to mogłam zrobić dla Celi. *O rany, Jay Rockwell całuje fantastycznie* - pomyślałam następnie z większą energią.

Ooo, rany.

Wtem zauważyłam, że światło w holu zarzyło się, a ja nie byłam sama.

- Och! - wykrzyknęłam, zaskoczona.

Porucznik Luke, były żołnierz wojny secesyjnej, stał nieruchomo w holu, zaledwie kilka kroków ode mnie. Miał zaciśnięte pięści i wyglądał na głęboko poruszonego.

- Och, Luke, na miłość boską! - krzyknęłam. - Nie patrz tak na mnie! Wiesz, że naprawdę cię lubię, ale ty nie żyjesz.

Naturalnie, natychmiast pożałowałam tych słów, ale taka była prawda. Nie mogłam pozwolić, żeby niczym

Kacper, Zaborczy Duch, czekał na mnie za każdym razem, gdy będę szła na randkę. A co będzie, jeśli zaproszę Jaya do środka? Czy Luke będzie stał obok nas, emanując niewidzialną, zaświatową zazdrością, podczas gdy ja będę udawała, że go nie widzę? To by dopiero było krępujące. A jeśli potrafiłby przenikać wzrokiem drzwi i zobaczyłby, jak się całujemy? Byłam tak zmieszana, że nie wiedziałam, co myśleć.

- Uważaj! - krzyknął do mnie Luke.

-Co... - zaczęłam i poczułam, jak coś uderza we mnie od tyłu z siłą atakującego futbolisty. Poleciałam do przodu na twarde płytki podłogi, ledwo zdołałam wyciągnąć ręce, żeby zamortyzować upadek. Moja torba przekoziółkowała do przodu i sunęła po podłodze przede mną.

- Będę się rozkoszować wysysaniem z ciebie krwi do cna, dziewico - usłyszałam niski, demoniczny głos tuż nad swoim uchem, o wiele za blisko, bym czuła się komfortowo.

Czy to Samanta? Z pewnością nie.

- Masz szczęście, że dopadłam cię przed moją panią, Batory. Ona woli załatwiać takie sprawy powoli... - ciągnął odrażający głos.

Zrozumiałam. Pomyślałam o kobiecie na tylnym siedzeniu limuzyny. Kobiecie w wysokim kołnierzu. Już wcześniej wyczułam wokół niej władzę. Władzę i zło.

-Będzie z ciebie pyszny kasek. Przyniosę jej twoją głowę.

Atanazja. Zniszczyłam jej karierę, a ona nie przyjęła tego dobrze.

Ostry obcas modnego botka wbił mi się w plecy. -Ty głupia, niepokalana suko! - krzyknęła.

Nie zrobiły na mnie wrażenia ani jej język, ani zafiksowanie na dziewictwie, co tak naprawdę nie powinno jej interesować. Chwyła mnie za włosy i pociągnęła mocno, wyginając mój kręgosłup do bólu. Pochyliłam głowę i przyjąłam pozycję embrionalną tak szybko, jak tylko mogłam. Straciłam przy tym kępkę włosów, ale przynajmniej zdołałam zrzucić z pleców jej but. W odpowiedzi kopnęła mnie szybko w kręgosłup. Objęłam głowę i szyję, by je chronić. Ukradkiem rozejrzałam się za napastniczką i machnęłam nogą, próbując ją kopnąć.

Mam nadzieję, że się myślę co do jej morderczych instynktów i skłonności do wysysania krwi...

Zauważyłam przerażona, że porucznik Luke stoi u stóp schodów i wygląda na kompletnie bezradnego. Był pół-przezroczysty i zdawało się, że nie może się poruszyć.

- Chyba rzuciła na mnie urok! Nie mogę zbliżyć się do niej bardziej niż na odległość trzech metrów - krzyknął, napinając szczękę. Przyszło mi na myśl, że może eksplodować od tego napięcia. Cóż, tym razem nie mógł mi pomóc.

Właśnie.

Bez wahania skoczyłam na równe nogi i przybrałam moją pozycję ninja, nie zwracając uwagi na kłujący ból w dolnej części pleców. Widziałam wiele filmów i to była najlepsza postawa do walki, jaką znałam.

Bum.

Kolejne uderzenie, tym razem w tył głowy. Boże, co za obrzydliwa mała supermodelka. I jaka gibka. Dotąd widziałam ją tylko kątem oka. To ostatnie uderzenie było silne i diabelnie bolesne, potknęłam się i upadłam, ale wciąż kopałam nogami niczym wściekły koń. Mój but mocno uderzył w coś, zanim upadłam na kolano.

Odwróciłam się błyskawicznie, żeby zobaczyć swoją przeciwniczkę, ale już jej tam nie było. Spojrzałam w górę.

Sytuacja jeszcze się pogorszyła. Ujrzałam Atanazję bezpośrednio nad sobą. Wisiała do góry nogami, trzymała się rękami i nogami pokrytego pajęczynami sufitu bez wysiłku, jakby była jakąś przerażającą, nie podlegającą prawu grawitacji jaszczurką. Jej głowa była nienaturalnie wykręcona, w ustach błyskały kły. Atanazja gotowa była rzucić się na mnie z góry. Ludzki charakter jej modnego ubrania od projektanta i uroda dziewczyny z okładki pozostawały w uderzającej i niepokojącej sprzeczności z wydłużonymi jak u pantery siekaczami oraz nienaturalnie demoniczną postawą na suficie. Jej oczy zdawały się świecić. Zasyczała niczym kobra.

Święta matko w piekle.

To przynajmniej raz na zawsze rozwiało wszelkie wątpliwości co do jej wampirzej natury. O ile nie byłam tego pewna już wcześniej.

Skórzane spodnie Atanazji zatrzeszczały, gdy się uniosła, szykując się do skoku na mnie.

-Zniszczyłaś wszystko i teraz jesteś moja!

Zdażyłam wstać i ruszyć do windy. Następną rzeczą, jaką zapamiętałam, było chwycenie luźno wiszącej żelaznej ozdoby i błyskawiczny obrót, by ujrzeć Atanazję pędzącą ku mnie z obnażonymi kłami i rękami wyciągniętymi na kształt pazurów. Kawałek zardzewiałego metalu trzymałam przed sobą, dzierżąc spiczaste lilie niczym broń, ale nim zdołałam złapać równowagę, uderzyła prosto we mnie i obie upadłyśmy z hukiem na posadzkę. Szczepione sunęłyśmy po płytkach. Uderzy-

łam głową w żelazną klatkę na tyle mocno, że krzyknęłam. Poczułam, jak kły Atanazji otarły się o moją szyję. Wydobyłam z siebie mrozący krew w żyłach wrzask i zaczęłam walczyć z jej zaskakująco ciężkim ciałem.

Nagle przestałam.

Jej głowa przechyliła się na jedną stronę bez oznak życia i ciężko opadła na moją szyję. Była nieruchoma jak szmaciana lalka.

Dobry Boże.

Nie byłam martwa. Nie byłam nawet nieumarła.

Byłam za to całkowicie skąpana we krwi. Płynęła strumieniami po płytkach wokół nas, było jej więcej, niż mogło płynąć w jednym ciecie. W powietrzu wyczuwało się dziwny zapach soli i metalu, który przyprawiał mnie o mdłości. Nieruchome ciało przygniatało mnie do podłogi - martwy ciężar, jak to się mówi (w tym wypadku raczej nieumarły ciężar). Wyraźnie widziałam żelazne lilie wystające z pleców Atanazji, oblepione jakimś paskudztwem.

- Zadźgałaś ją - od schodów dobiegł głos porucznika Luke'a, zawsze gotowego do pomocy.

Mój Boże. To prawda, zrobiłam to.

Wyglądało na to, że przebiłam serce mojej krwiopij-czej napastniczki kawałkiem żelaza w kształcie herbu królewskiego Francji.

- Chyba tak - odparłam.

Moja nowa wampirza przyjaciółka Samanta wychynęła z cienia w korytarzu na piętrze i zeszła niepewnie po schodach. Miała na sobie mój szary poliestrowy garnitur z Gretchenville. Trzymała palce przy ustach, zasłaniając w ten sposób przerośnięte kły.

- Och, Pandoro! - wykrzyknęła w mniej więcej ludzki sposób.
- Szukała cię tu. Sądzę, że domyśliła się, że miałaś coś wspólnego z tym artykułem napisanym przez Pepper.

Artykuł. A więc kobiety wampiry czytają czasopisma. No ładnie.

Z trudem zdołałam wydostać się spod nieruchomego ciała supermodelki. Porucznik Luke, odzyskawszy zdolność poruszania się, pośpieszył do mnie i pomógł mi wstać. Sprawdził, czy jestem cała (na szczęście, nie miałam żadnych nakłuć), i oboje bez słowa wpatrywaliśmy się w Atanazję. Po tym wszystkim, co zobaczyłam w ciągu ostatnich dwóch tygodni, po trochu spodziewałam się, że jej ciało stanie w płomieniach albo rozsypie się w proch, jak pokazywały filmy. Nic takiego nie nastąpiło. Wampirzyca po prostu leżała na posadzce z żelaznym kijem sterczącym z pleców.

Cholera.

A dzień zaczął się tak obiecująco.

Rozdział 22

Razem z porucznikiem Lukiem jechaliśmy windą w milczeniu.

Towarzyszył mi w tej małej klateczce, choć nie potrzebował tej maszynerii, żeby przemieścić się z punktu A do punktu B. Zostawiliśmy Samantę w holu, skuloną na schodach. Zastanawiałam się posępnie, czy pisklę zaczęło zlizywać krew albo robić coś równie odrażającego. W sangwinikach nie było nic optymistycznego, stwierdziłam. Luke stał obok z czapką w dłoni, przystojny i opiekuńczy, jego munduru nie splamiła ani jedna kropla krwi. Nie próbował mnie przytulać ani pocieszać. Chyba widział, że nie byłam w nastroju.

Winda zatrzymała się na piętrze Celi i jej drzwi się otworzyły. Oboje wysiedliśmy.

Zapukałam i weszłam do mieszkania. Luke został na korytarzu przy windzie, wyglądał na bardzo zmartwionego. Mięśnie jego kwadratowej szczęki napięły się, a brwi ściągnęły.

-Będę tutaj, jeślibyś czegoś potrzebowała, Pandoro - powiedział łagodnie. - W każdej chwili możesz mnie zawołać. Cóż... w każdej chwili po zmroku - poprawił.

Nadprzyrodzone zasady. Nie rozumiałam, jak to wszystko działało ani jak żadna krwi zabójcza super-modelka zdołała wprowadzić ducha żołnierza w trans,

czy też rzucić na niego urok (czy to nowa wersja gry „Kamień, Papier, Nożyczki” dla nadprzyrodzonych istot? Wampir bije ducha. Duch bije...? Kto wie?). Skinęłam głową w podziękowaniu i zamknęłam drzwi.

Wzięłam głęboki oddech.

- Celio, wróciłam - zawołałam.

Stałam w przedpokoju ubrana w jedwabną sukienkę mojej ciotecznej babki i kaszmirowy płaszcz, jedno i drugie poplamione krwią. Poczułam nagłą falę ulgi, że znajduję się w bezpiecznym apartamencie Celi, ale nie byłam w stanie się poruszyć. Zniszczyłam już jej piękne ubrania, ale nie chciałam zniszczyć pięknej podłogi w mieszkaniu, ścian ani mebli.

Stałam bez ruchu, wciąż zszokowana i niepewna. Czyżbym w wyniku tego dziwnego i dość gwałtownego obrotu spraw stała się morderczynią? Albo samozwańczą strażniczką? Pogromczynią wampirów? Cóż, działałam w obronie własnej, przypominałam sobie. Atanazja dowiodła, że nie jest zbyt miłą osobą, z tymi kłami i głową obracającą się o 360 stopni. Wcale nie miałam zamiaru przebijać jej kołkiem, ale tak wyszło, wszystko stało się tak szybko, że na początku nie wiedziałam nawet, że to zrobiłam. Zadziałał instynkt samozachowawczy, to wszystko. A jednak, zabiłam kogoś i ten ktoś leżał teraz w wyjątkowo przekonującej postaci człowieka zamordowanego w holu budynku, z żelaznym „kołkiem” sterczącym z piersi. Co mam teraz zrobić? Z trudem wyobrażałam sobie próbę wyjaśnienia tych wydarzeń nowojorskiej policji. Pomyślcie, jakby zareagowali na opowieść o modelce-wampirzycy, oszukańczym kremie i przyjaznych duchach? Ha! Zamknęliby mnie w celi bez klamek i nafaszerowali otumaniającymi lekami szyb-

ciej, niż zdołałabym wypowiedzieć słowo „nadprzyrodzony”. Czy to znaczyło, że muszę stać się jedną z tych osób, które postanowiły „pozbyć się” zwłok? Co ludzie robią w takich sytuacjach? I co mam powiedzieć Celi?

Rozboliła mnie głowa, a nie zbliżyłam się nawet na krok do rozwiązania - ani też nie doprowadziłam swego stroju do porządku.

- Jak ci poszło, kochanie? - usłyszałam głos ciotecznej babki Celi dochodzący z salonu. Teraz, gdy zebrałam się w sobie, z miejsca, w którym stałam, zauważyłam palce jej stóp. Znajdowała się w swoim ulubionym miejscu pod lampą, półleżąc w skórzanym fotelu w otoczeniu książek i opierając stopy na podnóżku. Zasłony były rozsunięte, przez wysokie okna do pokoju wpadało światło księżyca. Widziałam w oddali czarną sylwetkę Empire State Building, odcinającą się na tle zamglonego nieba nad Manhattanem. Życie w Nowym Jorku toczyło się po staremu, lecz moje spojrzenie na świat zmieniło się radykalnie.

Celia uniosła się i odwróciła w moim kierunku. Choć wyglądałam strasznie, w jej wzroku nie zauważyłam cienia zaskoczenia.

- O, dopadłaś ją - oznajmiła bez ogródek, jakby już wiedziała, co się wydarzyło.

- Zabiłam kogoś! - wybuchnęłam, nie mogąc się opanować. *Och, nadchodzi. Atak paniki* Zaczęłam się trząść. Oczy wypełniły się łzami.

- Och, kochanie, ta modelka i tak była już martwa. *No, jasne. Racja.*

Zamrugalam, by powstrzymać łzy. Odzyskałam nieco panowanie nad sobą.

Celia włożyła zakładkę do książki i zamknęła ją. Od-

łożyła książkę na poręcz fotela, zdjęła stopy z podnóżka i postawiła je na podłodze.

-Wiedziałam, że dasz sobie z nią radę, kochanie -zapewniła mnie.

Nerwowo potarłam twarz dłonią, a potem spojrzałam na swoją dłoń. Była we krwi. *Och... niedobrze.*

- Powinnam iść się umyć - zdołałam wykrztusić, głowa mi się chwiała, a żołądek wyczyniał dziwne akrobacje. Nie wiedziałam, co dalej.

- Nie miałabym nic przeciwko temu, żebyś ją wykończyła - poinformowała mnie Celia.

- Słucham? - zapytałam.

-Jeszcze nie odcięłaś jej głowy, skarbie. Obawiam się, że nie najlepiej zareagowałam na to oświadczenie.

- Co?! - wrzasnęłam. - Chcesz, żebym co zrobiła?!

Celia spokojnie wstała z fotela, wsunęła stopy w domowe pantofle na wysokim obcasie, stojące obok fotela. Były obszyte delikatnymi piórami strusimi. Podeszła do mnie, elegancka i niewzruszona, zatrzymała się zaledwie kilka kroków ode mnie. Spojrzała mi w oczy i westchnęła:

- Moja droga Pandoro, przebiłaś ją kołkiem, ale jej nie zabiłaś. Ona tylko odpoczywa.

- Co takiego?!

- Kochanie, nie krzycz. To naprawdę nie jest konieczne - odparła. - Jestem tuż obok. - Jej głos był spokojny. -Kochanie, wampira przebija się kołkiem, żeby leżał nieruchomo podczas odcinania głowy i wpychania mu do ust czosnku.

Czasem zrzuca mi się na barki zbyt wielki ciężar, a ja muszę się z nim uporać. To był jeden z tych momentów.

- Och - odpowiedziałam głucho. Przez chwilę stałam w milczeniu. - Myślałam, że powiedziałaś, że to niegrzecznie nazywać ich „wampirami”? - powiedziałam, gdy już mogłam jasno myśleć.

-Tak, zgadza się. Ale w jej przypadku to raczej nieuniknione, nie sądzisz? Paskudna jest. Do czegoś zmierzała.

- Atanazja sama się o to prosiła. Każdy to zrozumie -oznajmiła Celia z przekonaniem. Jednak jej słowa sprawiły, że pomyślałam o odwecie. Czy teraz hordy wampirów będą próbowały mnie zabić za to, że zamordowałam jednego z nich? A co z tymi, którzy stali za „Krwią Młodości”? Czy to tylko dzieło jakiegoś oszusta, czy może najnowszy biznes Drakuli? I kim była ta kobieta skrywająca twarz w wysokim kołnierzu, której sylwetkę widziałam na tylnym siedzeniu limuzyny? Jak bardzo jestem naiwna co do tego, jaki jest zasięg świata nadprzyrodzonego? Z dreszczem grozy wyobraziłam sobie, ile wampirów - czy też sangwiników - może znajdować się w Nowym Jorku. Setki? Tysiące?

- Ciociu Celio, czy jestem w niebezpieczeństwie?

- Za przebicie jej kołkiem? Nie sądzę. Ta dziewczyna nie była zbyt popularna. A poza tym, i tak nie mogą tu wejść. - Gestem wskazała apartament. - To zakazane.

-Jesteś całkowicie pewna, że nie mogą tu wejść? -Tak, kochanie. Sangwinicy nie mogą tu wejść, jeśli nie zostaną zaproszeni. Znów te tajemnicze nadprzyrodzone zasady.

- Chociaż, jak przypuszczam, powinnaś być przez jakiś czas bardziej ostrożna, wracając do domu lub wychodząc po zmroku - dodała po namyśle. - I nie sądzę, że pracodawczyni Atanazji będzie zadowolona, gdy usły-

szy o tym, co się wydarzyło. Ale porozmawiam o tym z Deusem i jestem pewna, że jakoś to rozwiąże.

Cudownie. Moja cioteczna babka porozmawia ze swoim nieśmiertelnym przyjacielem, a on rozwiąże mój problem.

Pomyślałam o ciele w holu.

- Czy to dlatego, że nie użyłam drewnianego kołka? To dlatego nie jest, hm... martwa?

(Albo martwa-martwa? Całkowicie umarła?)

Tego właśnie zawsze używali łowcy wampirów w filmach. Chociaż, podobnie jak w wypadku pozostałych mitów na temat tych istot, nie wiedziałam, w co wierzyć. Skoro wampiry mogły odbijać się w lustrach, mogły być fotografowane (przecież była supermodelką, na litość boską!), w czym jeszcze myliły się ludowe podania?

- Och, kochanie, poradziłaś sobie wspaniale - zapewniła mnie Celia. - Jak już mówiłam, kołek jest tylko po to, żeby utrzymać je w miejscu podczas dekapitacji. Do tego będziesz potrzebowała siekiery. A czosnek... och, myślę, że jest przereklamowany i w większości przypadków zbędny. Nie znoszę tego paskudztwa.

Zauważyłam.

- Myślę, że siekiera wystarczy - ciągnęła Celia. - I nie martw się. Jak już z nią skończysz, cały ten bałagan zniknie w magiczny sposób. Niewiele będzie do sprzątnia, jak sądzę.

W magiczny sposób? Spojrzałam na swoje ubranie, trudno mi było w to uwierzyć.

-Chociaż sukience może jednak się przyda wizyta w pralni chemicznej - dodała w zamyśleniu, przykładając palec do podbródka.

Zatem muszę odciąć Atanazji głowę. A jeszcze nie tak

dawno to ona się chępiła, że będzie miała moją. Wspaniale. Co się stało z moim życiem?

Z głuchym odgłosem upuściłam na podłogę moją zbryzganą krwią torbę i próbowałam przygotować się psychicznie, by zejść (ha, ha) na dół i uporać się z makabrycznym zadaniem zabicia wampira.

- Co tam masz w torbie? - zapytała pogodnie Celia. Nie mogłam uwierzyć, że tak swobodnie potrafiła zmienić temat, zwłaszcza że stałam obok niej skąpana we krwi.

- Nowy numer pisma - odparłam. - Ukazał się dzisiaj.

- W takim razie rzućmy na niego okiem - zaproponowała.

Lekko oszołomiona pochyliłam się, otworzyłam torbę i wyciągnęłam z niej nowy numer „Pandory”. Wręczyłam go ciotecznej babce z nieukrywaną niechęcią.

Oto on, na okładce, mój wielki temat.

KREW MŁODOŚCI:

CUDOWNY KOSMETYK CZY OSZUSTWO?

Nagłówek wydrukowano pogrubionymi literami na tle pięknej twarzy Atanazji - która leżała teraz martwa na dole, w holu, przebita kołkiem.

Westchnęłam.

- O rany - powiedziała Celia. Widziałam już artykuł. Wiedziałam.

Oczywiście, miała na myśli nazwisko autorki. *Pepper Smith*. Pepper powiedziała, że weźmie moje notatki i napisze swój artykuł, i cóż, trzeba przyznać, że dokładnie to zrobiła. Wykorzystała wszystkie informacje, jakie zebrałam, i napisała swój tekst, mocno całość łagodząc. To była *cover story* numeru i prawdziwy sukces pisma.

Ale nie mój. Na ostatniej stronie, małym drukiem dopisano: *współpraca: Pandora English. Ojej, dzięki Współpraca? Przy czym?*

- Nie martw się, moja droga. Twój dzień jeszcze nadejdzie - powiedziała Celia, oddając mi czasopismo.

Mówiła to tak, jakby już o wszystkim wiedziała. Wcześniej też, jakby wiedziała, że Atanazja po mnie przyjdzie i że sobie z nią poradzę. Wiedziała, że dostanę pracę w redakcji. Jeśli Celia wiedziała takie rzeczy, to może powinnam wziąć sobie jej słowa do serca?

Twój dzień nadejdzie.

-To dopiero początek - powiedziała. - Wiesz, że teraz, dzięki tobie zaczną się pytania. Agencja do spraw Żywności i Leków niewątpliwie wkrótce ponownie zbada ten kosmetyk, a kiedy - moja droga - odkryją tajemniczy składnik „Krwii Młodości”, wtedy, cóż... - Zachichotała wyraźnie rozbawiona i poklepała mnie po ramieniu w mniej pokrwawionym miejscu. - Będzie niezła afera - Celia odwróciła się i ruszyła korytarzem w kierunku szafy, otworzyła ją i, pochylona, zaczęła czegoś szukać.

-Tajemniczy składnik? - powiedziałam.

- O tak, moja droga - odpowiedziała mimochodem. -I nie sądzę, żeby klienci dobrze to przyjęli...

Stałam z magazynem w dłoni, dziwiąc się jej opanowaniu. Czy to dlatego miałam te dziwne przeczucia co do kremu? Ponieważ naprawdę zawierał jakiś tajemniczy składnik?

- Reklama nie kłamała - dodała pogodnie Celia i zamarła, zakłopotana.

Następnie moja mądra i piękna cioteczna babka Celia podeszła do mnie. Trzymała w dłoniach jakiś duży przedmiot.

-Proszę, kochanie, oto siekiera - powiedziała, wręczając ją mnie. - Baw się dobrze.

Zauważyłam, że nie zaproponowała, iż zjeździe ze mną na dół. To ja rozdrażniłam wredną wampirzycę super-modelkę i to ja musiałam się przed nią bronić prowizorycznym kołkiem. To była moja walka. Chwyciłam siekiere w obie dłonie i zamrugałam. Miałam właśnie zrobić coś ohydneho.

Dalej, Pandoro.

-A może weźmiesz też trochę ryżu, na wypadek, gdyby twoja przyjaciółka miała jeden ze swoich napadów? - zasugerowała lekko i podała mi mały woreczek zwykłego białego ryżu.

- Dobry pomysł - wykrztusiłam, chwytając woreczek.

Pozbierałam wszystkie okruchy odwagi, jakie znalazłam - oraz kilka ziaren ryżu - i opuściłam bezpieczne schronienie w mieszkaniu Celi. Wsiadłam do malutkiej neogotyckiej windy i, trzymając w ręku siekiere Celi i ryż, nacisnęłam guzik z napisem parter. Szczerze mówiąc, było to ostatnie miejsce, do którego chciałam się udać.

Drzwi windy zamknęły się, grzechocząc, i ruszyłam powoli w dół. Obserwowałam mijane trzecie piętro, na które mogła już wrócić Samanta. Czy to traumatyczne przeżycie dla pisklęcia, stać obok przebitego kołkiem wampira? Nie byłam pewna. Samanta miała kilka nieprzyjemnych cech (kły, potrzeba wysysania krwi), ale w sumie była miłą dziewczyną. Wydawało mi się, że nie wszystkie wampiry są złe. Nie zauważyłam jej jednak, gdy mijałam trzecie piętro i zjeżdżałam starą windą coraz niżej. Zagryzłam wargi, mijając drugie piętro. Tutaj, po raz pierwszy dostrzegłam kątem oka jakiś ruch. Jednak gdy przyjrzałam się uważniej,

stwierdziłam, że nic tam nie ma, a winda dalej zjeżdżała w dół.

Wiedziałam za to, jakiego widoku powinnam się spodziewać w holu.

- Nie! - powiedziałam głośno. Zakryłam twarz dłońmi. -Nie...

Wyszłam z windy i obserwowałam hol zza zasłoniętych rękami oczu. Niedobrze. Bardzo, bardzo źle. Atanazja zniknęła.

Wpatrywałam się w strumienie krwi spływające po płytkach, moje najgorsze obawy się potwierdziły. Już nie „odpoczywała”, prawda? Ktoś wyciągnął z niej kołek

- a może sama to zrobiła? Czy to możliwe? W każdym razie zyskałam potężnego wroga. Pewna mocno wkurzona wampirzyca-supermodelka pragnęła mojej krwi. Już raz próbowała mnie zabić. Nie miałam wątpliwości, że spróbuje ponownie.

- Dlaczego jej nie zatrzymałaś? - sfrustrowana zapytałam Samantę.

- Nie mogłam - odparła z zakłopotaniem, skrzyżowała ramiona i dodała, zniżając głos: - Jest teraz moją matką.

Popatrzyłam na nią w osłupieniu.

- Nie jest twoją matką... - Czy Atanazja była jej matką?

- Samanto, ona cię zabiła i porzuciła! -Przypuszczam, że jest złą matką - odpowiedziała

Samanta cicho, a mnie zrobiło się jej żal i nie miałam sumienia zaprotestować. - W każdym razie, nie opuściła mnie tak naprawdę - dodała, przyjmując pozycję obronną. - Mieszka na dole.

Wpatrywałam się na nią w nadziei, że się przesłyszałam.

- No wiesz, na dole, pode mną - poprawiła się. - Na drugim piętrze.

Zatem drugie piętro jest zamieszkane.

Cała krew odpłynęła mi z twarzy. Och, cudownie. Atanazja zamieszkała tu, w Spektorze, w dostępnym-dla-wszystkich budynku Celi? No jasne, że tak. Jest wampirzycą na gościnnych występach. Dlatego Samanta też tu się znajduje. Atanazja zabrała ją do domu, „pożywiła się” nią, a potem po prostu ją porzuciła. Może zabrała jej ubrania z chciwości? A może już ich na sobie nie miała z jakichś grzesznych powodów? Może Atanazja wcale nie miała zamiaru przemieniać Samanty? Może sama była tylko pisklęciem? Wszystko w tym było złe.

Usłyszałam dźwięk windy. Ruszyła i zniknęła w górze. Czy to Atanazja ją wezwała? Stałam obok drzwi windy, trzymając siekiere w obu dłoniach. Samanta zajęła swoje zwykłe miejsce na schodach, przykucnęła i zasłoniła oczy.

Po kilku długich minutach winda ukazała się ponownie.

Znajdowała się w niej moja cioteczna babka Celia. Odetchnęłam z ulgą i na moment zamknęłam oczy. Drzwi się otworzyły i Celia wysiadła.

- O rany - powiedziała, widząc plamy krwi na posadzce. - Niezły bałagan, prawda?

Skinęłam.

- Nie martw się, kochanie, złapiesz ją innym razem. Patrząc na moją leciwą ciotkę, stojącą w tym zrujnowanym holu, poczułam nagle wyrzuty sumienia.

-Ciociu Celio, posprzątam to wszystko, obiecuję. I usunę te pajęczyny.

Moja matka mogła zaprzeczać istnieniu mojego daru, ale - do diaska - wychowała mnie porządnie.

- Jesteś kochana - odparła. Przynajmniej tyle mogłam zrobić.

W milczeniu wsiadłyśmy do windy i Celia nacisnęła guzik z numerem swojego piętra. Zapowiadała się długa i ciężka noc. Będę potrzebowała gumowych rękawic, wiader i szczotek do szorowania.

- Sądzę, że mimo wszystko będziesz musiała spotkać się z Deusem - zadumała się cioteczna babka.

Moje oczy się rozszerzyły. Odwróciłam się do niej.

- Deus?

-Tak. Sprawa jest delikatna. Chodzi o twoje przeznaczenie jako siódmej; wygląda na to, że już się zaczęło. -Kąciki jej ust opadły. Nie wyglądała na zadowoloną.

Siódma? Moje przeznaczenie?

-Jesteś siódmym pokoleniem rodu Lucasta, kochanie - wyjaśniła. - Siódma jest przeznaczona do bardzo specjalnych celów. Miałam nadzieję, że będziemy miały jeszcze trochę czasu, żebyś się oswoiła z tym wszystkim, zanim się zaczniesz.

-Nie wiem, co masz na myśli - zaprotestowałam. -Słyszałam o siódmym synu siódmego syna i tak dalej, ale nie rozumiem, jak miałoby to...

- Och, kochanie - odparła, klepiąc mnie po ramieniu. - Ta cała sprawa siódmego syna to dziecinna zabawa. Ech, ci mężczyźni! Ty jesteś siódmą córką rodu Lucasta. To znaczy o wiele więcej.

Moją uwagę przykuło to, co usłyszałam, ale potem ujrzałam coś, co zaskoczyło mnie tak bardzo, że nie byłam w stanie się skupić. Obserwowałyśmy mijane właśnie drugie piętro, a drugie piętro obserwowa-

ło nas - a dokładniej mówiąc, mnie. W pobliżu szybu windy stały trzy kobiety, jedna piękniejsza od drugiej. Były szczupłe, wysokie i ubrane jak modelki na pokazie w modne zwiewne stroje, choć w starym budynku było zimno. Blondynka, brunetka i rudowłosa. Wszystkie miały wampirze kły. *Mój Boże!*

Odskokczyłam do tyłu i zacisnęłam mocno dłonie na siekierze.

- Widziałaś to? Widziałaś te kobiety? - zawołałam, gdy winda minęła drugie piętro i koszmarnie kobiety zniknęły z pola widzenia. Moje serce biło jak szalone.

-O tak - odparła z niezmaconym spokojem moja cioteczna babka. - Sądzę, że przyjaciółki Atanazji są wściekłe. Moim zdaniem całkiem niesłusznie. W końcu to ona zaczęła, prawda? Oczywiście, jest jeszcze ten artykuł, w którego napisaniu „pomogłaś” Pepper, ale to uczciwa gra...

Przyjaciółki Atanazji!

-Upłynie kilka dni, zanim wydobrzeje po tym małym dziabnięciu - ciągnęła Celia w zamyśleniu. - Ale te wampirzyce supermodelki są teraz bardzo złe. Uważam, że to takie aroganckie. W moich czasach woleliśmy kobiety o pełniejszych kształtach. I woleliśmy, żeby były żywe - westchnęła. - Nie martw się. Zorganizuję spotkanie z Deusem.

Nie martw się?

Milczałam. Minęłyśmy trzecie piętro. Ani śladu wściekłych supermodelek. Ani śladu Samanty.

Cioteczna babka spojrzała w moim kierunku.

- Sukienkę chyba jednak trzeba spisać na straty. Nieważne...

Rozdział 23

- Panienko Pandoro?

Obudziłam się, zdezorientowana, słysząc swoje imię. W pokoju było ciemno, a ja najwyraźniej nie byłam sama. Wyciągnęłam rękę spod prześcieradła i dotknęłam czegoś miękkiego i ciepłego. Zdziwiłam się, po czym zdałam sobie sprawę, że to Freja, zwinięta w kłębek, spała na moim łóżku. Dziwny kot. Spojrzałam na jarzące się w ciemności wskazówki budzika. Było bardzo wcześnie. Przed siódmą. Obróciłam się na plecy i uniosłam na łokciach. Zauważyłam, że drzwi do pokoju były lekko uchylone. To w ten sposób Freja dostała się tutaj. Ale wyczuwałam jeszcze czyjąś obecność, choć ten ktoś nie musiał otwierać drzwi, żeby wejść.

Luke.

Gdy mój wzrok dostosował się do słabego oświetlenia, zobaczyłam Luke'a stojącego przy szafie, w nieskazitelnym mundurze oficera, z wypolerowanymi guzikami z brązu. Cieszyłam się, że go widzę, ale musiałam też coś ustalić.

- Luke, może moglibyśmy ustalić jakieś terminy naszych spotkań, albo coś? Tak, żebym wiedziała, kiedy się ciebie spodziewać? - Owszem, było mi miło obudzić się w jego towarzystwie, ale przechodziły mnie ciarki na myśl, że ktoś mnie obserwuje, gdy śpię.

- Przepraszam - odparł porucznik Luke. - Nie istnieję w świecie materialnym, dlatego nie znam się na upływie czasu - wyjaśnił.

Och.

Potarłam powieki. Luke ze swoim niezmiennym wyglądem - długie jasne włosy założone za uszy, silna, jakby wyrzeźbiona szczęka i uderzająco błękitne oczy - był jak zawsze pociągający, zauważyłam jednak, że na jego twarzy malował się smutek. Nagły przyptyw strachu ode-gnał ode mnie senność.

- Och, Luke, nie chciałam cię urazić. To jasne, że nie rozumiesz upływu czasu. Czy wszystko jest w porządku?

-Nie wzywałaś mnie, ale... Panienko Pandoro, zanim słońce wzejdzie, chciałem cię przeprosić.

Jego głos był przepełniony smutkiem. Skłonił lekko głowę i z tego żalu, aż uklęknął przy moim łóżku. To był wzruszający, choć staromodny gest. W dłoniach z całych sił ścisnął swoją czapkę.

- Przeprosić? - Usiadłam na łóżku, bosymi stopami dotknęłam podłogi i poczułam chłodne powietrze wokół kostek. Freja uniosła głowę, popatrzyła na mnie, a potem na Luke'a swoimi niezwykłymi różowymi oczami, po czym zadowolona znów ułożyła się do snu, najwyraźniej niezrażona wizytą ducha. *Czy to prawda? Czy ona może zobaczyć Luke'a?* Chociaż miałam na sobie tylko białą koszulę nocną, niespecjalnie odpowiednią do przyjmowania gości, podniosłam się i stanęłam obok łóżka. Wydawało mi się dziwne i trochę niegrzeczne pozostawanie w łóżku podczas wizyty gościa - jakiegokolwiek.

Luke wstał z kolan.

- Czy przyjmiesz moje przeprosiny?

- Luke, za co mnie przepraszasz? - zapytałam. -Panienko Pandoro, głęboko żałuję tego, co zaszło wieczorem. Powinienem towarzyszyć ci, gdy byłaś w niebezpieczeństwie, ale...

- Och, Luke. Już w porządku. Rozumiem. - Tak naprawdę nic nie rozumiałam, ale wiedziałam, że pomógłby mi, gdyby mógł. To pewne.

-Ta dama rzuciła na mnie jakiś urok. To było bardzo dziwne - ciągnął.

Chrząknęłam. Nazywanie Atanazji „dumą” było prawdopodobnie bardziej uprzejme niż konieczne.

- Czyżbym powiedział coś niewłaściwego? - zapytał.

- Nie, nie. Ależ skąd. - Potrząsnęłam głową i zrobiłam krok w jego kierunku. Jego bliskość sprawiała, że moja skóra pokryła się gęsią skórką, a na policzkach poczułam ciepło. - Luke, słyszałam, że wampiry potrafią zahipnotyzować ludzi - powiedziałam to, żeby poczuł się lepiej. Słyszałam tak wiele o wampirach, ale większość z tego okazała się nieprawdą, nie o to jednak chodziło. Ani o to, że Luke tak naprawdę nie był człowiekiem.

Luke przytaknął w odpowiedzi, a potem zamarł.

- Powinienem być cię bronić. Zawiodłem cię.

- Nie, Luke, to nie twoja wina - odpowiedziałam i pogłaskałam go po ramieniu. Było chłodne i mgliste, gęsia skórka pokryła całe moje ciało. To było dziwnie przyjemne uczucie, odkryłam, że błędzę wzrokiem po jego ciele - wydawało mi się zadziwiająco rzeczywiste. Spojrzałam w jego błękitne oczy i zobaczyłam, że jesteśmy bliżej siebie, niż mi się zdawało. Nasze spojrzenia się spotkały. Nie wiem, jak długo tak staliśmy, moje ciało pokryte gęsią skórką, nasze usta tak blisko siebie...

- Powiniennem już odejść, panienko Pandoro - powie dział. -
Mam nadzieję, że jeszcze mnie wezwiesz.

A potem zniknął, akurat wtedy, gdy pierwsze promie nie słońca wpadły do pokoju.

Rozdział 24

Wiem, że to źle *zyczyć* innej istocie takiej śmierci, żeby nie musieć sprzątać potem jej krwi. A jednak żałowałam, że krew Atanazji nie zniknęła „w magiczny sposób”, jak miałyby to miejsce, gdybym doprowadziła do końca makabryczne zadanie zabicia jej.

Może wcale nie jestem taką sympatyczną osobą, jak myślałam?

Sprzątanie holu Celi było bardzo nieprzyjemne. Ponieważ był już dzień, Celia gdzieś się schowała. Nawet Samanta nie mogła mi pomóc sprzątać ze względu na jej reakcję na krew. Naturalnie, chciała pomóc, ale widok krwi doprowadzał ją do obłędu, więc lepiej, żeby trzymała się w bezpiecznej odległości. Za radą Celi czekałam ze sprząaniem do rana, choć oznaczało to, że nikt mi nie pomoże, a krew na płytkach wysychała i twardniała w każdej najmniejszej szczelinie.

Godzinę zajęło mi wyskrobanie posadzki do czysta. Usunęłam też pajęczyny i kurz, tak jak obiecałam, aż w końcu poczułam zmęczenie, fizyczne i psychiczne. Celia zapewniła mnie, że w ciągu dnia nic mi nie grozi ze strony Atanazji i jej wyposażonych w kły przyjaciółek, gdyż wampiry pojawiają się tylko w nocy, a klątwa nakazuje im spać za dnia, gdy słońce jest na niebie, ale i tak przebywając na dole, czułam strach. Poza tym od

czasu do czasu zdawało mi się, że słyszę, jak coś się rusza pod podłogą.

Byłam wkurzona i wyczerpana. Ale przynajmniej hol wejściowy lśnił.

Wkrótce miałam szykować się na randkę z Jayem, choć, szczerze mówiąc, czułam teraz nieco mniejszy entuzjazm, niż wtedy, gdy przyjąłam jego zaproszenie. Przede wszystkim, byłam zmęczona i nie zregenerowałam się jeszcze po przeżyciach ostatniej nocy. No i nie mogłam opowiedzieć mu, co się wydarzyło zaraz po tym, jak mnie pocałował. (Wyobraźcie sobie tę rozmowę!)

Poza tym czułam się jeszcze bardziej związana z Lukiem po jego ostatniej wizycie i umawianie się z kimś innym odczuwałam trochę jak zdradę. Oczywiście, to nie było sprawiedliwe, zwłaszcza że większość ludzi nie uważała, że Luke istnieje naprawdę, ale nie zmienia to faktu, że stał mi się bliższy.

I coraz bardziej realny.

Zdrzemnęłam się i wykapałam, a gdy nadeszła pora wyjścia, założyłam olśniewającą czerwoną sukienkę, którą miałam na sobie podczas gali promocyjnej „Krwii Młodości”.

Celia czekała na mnie w salonie.

- Ta-daam - powiedziałam.

Moja cioteczna babka zmarszczyła brwi i potrząsnęła łagodnie głową.

-Coś nie tak? Myślałam, że ta sukienka wygląda dobrze? - zaprotestowałam. - Jay ją lubi.

-Kochanie, sukienka może i wygląda dobrze, ale miałaś ją na sobie całkiem niedawno podczas spotkania z tym samym mężczyzną. Poza tym, to była gala, prawda?

Skinęłam, wciąż nie rozumiejąc.

- Po prostu nie możesz włożyć tak szybko tej samej sukienki w tym samym towarzystwie. Tak się nie robi. *To faux pas* w świecie mody.

W Gretchenville nie musiałam myśleć o podobnych *faux pas*.

-W takim razie, co mam włożyć? - zapytałam zniechęcona. Celia uśmiechnęła się.

-Wiem, co powinnaś włożyć na dzisiejszy wieczór. Coś bardziej nowoczesnego. Będzie pasować do tego towarzystwa.

Uniosłam brwi. *Coś bardziej nowoczesnego? Od Celi?*

-Zdejmij tę sukienkę i poczekaj na mnie w swoim pokoju - powiedziała.

Zrobiłam, jak kazała. Czekałam w bieliźnie, osłaniając ramionami ciało. W pokoju było zimno.

Wkrótce w drzwiach pojawiła się Celia z ubraniem przewieszonym przez ramię.

- Przymierz te spodnie. - Podała mi parę czarnych spodni. Miały cztery kieszenie: dwie głębokie z przodu i dwie płytsze z tyłu. Uszyto je z jakiejś mieszanki z wełną, były lekko elastyczne, o długości nad kostkę. -To spodnie rurki, jedyne rurki, jakie do ciebie pasują -zażartowała. - Załóż do nich swoje balerinki.

Spojrzałam w lustro na drzwiach szafy.

- Podobają mi się - przyznałam. Sięgały mojej talii tuż poniżej pępka i zwęzły się ku dołowi. Wyszczuplały sylwetkę i sprawiały, że wyglądałam na wyższą, niż jestem w rzeczywistości.

-A teraz góra - oznajmiła i podała mi białą bawełnianą koszulę.

Miała długie rękawy z ogromnymi mankietami, a eleganckie trójkątne wycięcie pod szyją ładnie podkreślało biust i przechodziło w krótką szarfę wiązaną w talii.

- Idealnie - oceniła, kiedy zawiązałam szarfę. - I do tego zakiet.

Ostatni element układanki wręczyła mi z błyskiem zadowolenia w oku. Był z tego samego materiału, co spodnie, z lekką domieszką czegoś elastycznego. Z tyłu był długi, rozcięty na dwie części, a z przodu krótki. Na przodzie miał też dwie małe kieszonki z delikatnymi marszczeniami i sztywne jedwabne klapy. Wsunęłam ręce w rękawy i zapięłam mały metalowy guziczek w talii. Pasował idealnie. Duże mankiety bluzki wychyliły się z rękawów zakietu. Całość wyglądała chłopięco i żartobliwie.

Ten stylizowany na smoking zestaw bił na głowę mój nudny szary garnitur z Gretchenville.

- Ciociu Celio, dlaczego wszystkie twoje ubrania tak dobrze na mnie leżą? - zapytałam.

- Jesteś z rodu Lucasta - odparła, jakby to była tylko kwestia genów. - A teraz posłuchaj, trzeba to nosić z przekonaniem. Włóż ręce do kieszeni. Nie staraj się zbyt mocno. Nie cackaj się jak z jajkiem. - Zmrużyła oczy, oceniając efekt końcowy. - Tym razem zostawimy włosy rozpuszczone. Żadnej biżuterii i nie za dużo szminki. Powinnaś za to mocno podkreślić kontur oczu.

Przytaknęłam, choć nie wiedziałam, jak to zrobić.

- Daj kredkę, ja to zrobię - powiedziała, zanim zdążyłam się odezwać.

Czy istniała na świecie druga dziewczyna, która mogła się pochwalić cioteczną babką stylistką i wizażystką? Zanim skończyła, dziękowałam mojej szczęśliwej gwiazdzie. Makijaż był naturalny, ale wokół oczu

miałam wyraźną ciemną kreskę. Podkreślała rudawy, „koniakowy” odcień moich oczu i przywodziła na myśl dziewczynę o kocich oczach z okładki pisma „Mia” - nie żebym zamierzała o nich kiedykolwiek myśleć.

- Mam dla ciebie coś specjalnego - powiedziała cioteczna babka, gdy byłam już gotowa do wyjścia. - Żeby to uczcić.

- Co uczcić?

- Jak to co? Twoje przybycie do Nowego Jorku, oczywiście. I do Spektora.

Celia wręczyła mi małą aksamitną torebkę w kolorze głębokiej czerwieni, przewiazaną cienkim złotym sznureczkiem i uśmiechnęła się dumnie zza woalki. Torebeczka idealnie pasowała do mojej dłoni. W środku znajdowało się coś lekkiego i okrągłego. Nie byłam w stanie odgadnąć, co to takiego.

- Czas, żebym teraz ci to dała. Sądzę, że przyda ci się dziś wieczorem. To specjalny podarunek, Pandoro.

Dwa tygodnie. Trudno spisać wszystko, co się w tym czasie wydarzyło.

- No otwórz - ponagliła mnie.

Wahałam się, ale rozwiązałam sznureczek i wyjęłam przedmiot z opakowania. Był brązowy i okrągły, lekko wypukły, z boku miał zapięcie na klips. Otworzyłam je, zastanawiając się, co jest w środku.

Och.

Zobaczyłam własne odbicie. To była puderniczka.

- Kochanie, musisz mieć to przy sobie, dokądkolwiek idziesz - stanowczo oznajmiła Celia.

Skinęłam głową i uśmiechnęłam się do siebie. Chciała, żebym wyglądała dobrze przez całą tę ekscytującą noc. To cudowne, że dbała o takie drobiazgi. Co za miły gest.

-Dziękuję. Jest urocza. Na pewno jej użyję.

- Włóż ją do kieszeni, razem ze szminką i kluczem.

- Hm, dobrze - odparłam.

Zrozumiałam, że Celia nie zamierzała tym razem pożyczać mi torebki. Ta czerwona byłaby dobra, prawda? A może nie. Była trochę za bardzo młodzieżowa i chyba nie pasowała do czerni i bieli. Wygląda na to, że będę musiała w końcu kupić torebkę, gdy już będzie mnie na to stać.

-Wyglądasz jak współczesna Marlena Dietrich bez cylindra - zauważyła z dumą Celia. - Musisz już iść.

Przytuliłam Celię z entuzjazmem i pogłaskałam ocierającą się o moje nogi Freję.

- Dziękuję. Bardzo dziękuję, ciociu Celio. Nie powinnam się dziś spóźnić - powiedziałam.

Przed wyjściem wypełniłam kieszenie ziarenkami ryżu, tak na wszelki wypadek. W końcu nie miałam gdzie schować siekiery.

Na Piątej Alei, pod adresem, który podał mi Jay, mieścił się elegancki, oświetlony przytłumionym światłem bar. Wyglądał na wytworny i drogi, z niskimi skórzanymi kanapami i awangardowym spiralnym żyrandolem w białym kolorze. Na końcu sali znajdował się podświetlony kontuar z butelkami z alkoholem. Nigdy nie byłam w takim miejscu, wyglądało jak żywcem wyjęte z filmów o Jamesie Bondzie. W każdej chwili mógł tu wejść czarny charakter ze szklanym okiem i blizną na policzku, mówiący z obcym akcentem.

Jay już na mnie czekał. Zauważyłam jego wysoką, barczystą sylwetkę przy barze. Podeszłam do niego.

- Cześć.

Odwrócił się. Mój wygląd chyba go zaskoczył i przez chwilę wątpiał, czy chłopięcy smoking rzeczywiście był właściwy na tę okazję. Czy uniknąwszy jednego *fawc pas*, popełniłam kolejne?

-O, Pandora. Wyglądasz pięknie - powiedział Jay swoim głębokim, słodkim głosem.

- Dzięki - odparłam, odetchnąwszy z ulgą, i uśmiechnęłam się szeroko.

On też wyglądał wspaniale, ale czułam, że przesadny komplement zabrzmiałby dziwnie. Miał na sobie czarną, aksamitną marynarkę, ciemne džinsy i błyszczące czarne buty. Wyglądał bogato i stylowo - *Ja wyglądam przynajmniej stylowo*, pomyślałam. Usiadłam obok niego.

- Zatem... - zaczęłam, ale w mgnieniu oka pojawił się barman. Podniosłam wzrok i zobaczyłam wychudzonego chłopaka w moim wieku. Jego długie rzęsy wyglądały, jakby je ufarbował.

- Co podać? - zapytał znudzonym głosem. -Gazowaną wodę mineralną z limonką - rzucił Jay, podając pieniądze przez kontuar.

Zagryzłam wargi. Nie przywykłam do tego, że ktoś zamawia dla mnie napoje. Może nie chciał, żebym się czuła nieswojo przy barze, ale i tak wyglądało to na despotyczny gest.

-Pokaz jest w Garment District, niedaleko stąd, w starym magazynie - poinformował mnie Jay, gdy czekałam na swoją wodę.

- Dobrze - odparłam. Próbowałam ukryć podniecenie, ale czułam, że Jay przejrzał mnie na wylot. *Mój pierwszy w życiu pokaz mody, mój pierwszy w życiu pokaz*

mody... - powtarzałam w myślach. Tyle z nich widziałam w czasopismach i na blogach.

Barman podał mi wodę w wysokiej szklance. Ze zdenerwowania wypiałam ją jednym haustem, co nie przysłużyło się mojemu żołądkowi, zapomniałam, że miała bąbelki.

- Dobrze spałaś? -Hmm?

- Po tym, jak się pożegnaliśmy, czy dobrze spałaś? -powtórzył Jay.

O tak, spatamjak susetpo tym, jak mordercza wampirzyca supermodelka zaatakowała mnie, a ja przebiłam ją żelaznym prętem aż w końcu zaginęła.

-Tak, dziękuję - odpowiedziałam.

- Dziwna ta okolica. - Potrząsnął głową i zmarszczył brwi, jakby próbując coś sobie przypomnieć. - Nie pamiętam nawet, jak wróciłem do domu - powiedział cicho, jakby mówił do siebie.

Spektor... Prawdopodobnie nie powinnam pozwolić, żeby odwoził mnie do domu, ale z drugiej strony Celia nie zabroniła mi tego. Postanowiłam zapytać ją o to po powrocie. Miałam coraz więcej pytań, zwłaszcza związanych z tym, że jestem „siódma”. Naprawdę nic z tego nie rozumiałam.

-Hm, znasz nazwisko projektanta, którego stroje będą prezentowane na dzisiejszym pokazie? - zapytałam niedbale.

- Każdy w Nowym Jorku go zna - oznajmił tak, jakbym powinna to wiedzieć. - Po Alexandre McQueenie okrzyknięto go nowym *enfant terrible* świata mody.

Osobliwe określenie - pomyślałam.

- Krnąbrne dziecko świata mody - powtórzyłam, tłumacząc dosłownie z francuskiego.

Jay spojrzał na mnie dziwnie.

- To znaczy, że jest geniuszem.

Przeszliśmy trzy przecznice do Garment District i przybyliśmy spóźnieni o dwadzieścia minut. Zaczęłam się tym niepokoić, ale jak się okazało, niepotrzebnie - pokaz jeszcze się nie zaczął.

Tym razem nie było czerwonego dywanu.

Z ulgą szłam pół kroku za moim towarzyszem wchodzącym do magazynu wielkości hangaru dla samolotu, wypełnionego miłośnikami mody. Przestrzeń zajmowały trybuny, prawie jak podczas apelu w szkole, tyle że te ustawione były do środka, w kierunku błyszczącego białą wybiegu na podwyższeniu, pierwszego wybiegu, jaki zobaczyłam w swoim życiu. Na razie tylko jedna trzecia miejsc była zajęta. Ludzie nie śpieszyli się z siadaniem, obserwując się nawzajem i ogólnie robiąc niezłe przedstawienie. Nie wiedziałam, w którą stronę patrzeć. Co druga osoba była gwiazdą albo myślała, że nią jest; fotografowie przemierzali się w tłumie, robiąc zdjęcia sławnym, modnym i szokującym. Było tu całe mnóstwo zadbanych i dobrze ubranych kobiet i mężczyzn, jeden bardziej wytworny od drugiego. Od niektórych kreacji nie mogłam oderwać wzroku. Zwróciłam uwagę na kobietę w skórzanym gorsecie, kabaretkach i czymś, co wyglądało jak spódniczka albo damskie bokserki, trudno powiedzieć. Największy z całego stroju był kapelusz w kształcie wypchanego ptaka i długi tiulowy welon. Zauważyłam też mężczyznę w długim futrzanym płaszczu i wielkich okularach przeciwsłonecznych, obwieszzonego złotymi łańcuchami. Kimkolwiek był, otaczał go wianuszek wielbicieli.

Kim są ci ludzie?

-Weź bilet - powiedział Jay, podając mi go. Napisane było na nim „B7” i przelotnie pomyślałam o liczbie siedem, mojej ulubionej, i o tym, co ciotka powiedziała poprzedniej nocy. Jednak Jay chwycił mnie za rękę i poprowadził przez tłum, co przerwało moje rozmyślenia.

Mieliśmy miejsca w drugim rzędzie i wspaniały widok. Grupa dziennikarzy i fotografów zgromadziła się na końcu wybiegu, aby uwiecznić każdy moment pokazu. Doszło do niewielkiego zamieszania, gdy ostatni goście zaczęli zajmować swoje miejsca, a nawet do sporu o miejsce w pierwszym rzędzie. Dwie drobne kobiety kłóciły się zawzięcie, aż w końcu dwie inne, w podobnych czarnych T-shirtach, rozwiązały spór. Intruza wyprowadzono, światła zgaszono i cały magazyn pograżył się w ciemności.

Po chwili światła oświetlające wybieg pulsowały w rytm techno-rockowej muzyki. Przy dźwiękach cymbałków i uderzeniach bębna ukazała się pierwsza modelka. Na ścianach zajaśniały litery G R A F T. Przyznaję, że z szeroko otwartymi oczami patrzyłam, jak modelka idzie ku nam. Była wysoką platynową blondynką o posturze żyrafy - zadziwiająco szczupłej żyrafy. Miała mocny makijaż, co, jak przypuszczam, nie jest niczym nadzwyczajnym na wybiegu. W końcu to teatr. Tyle, że ten makijaż był biały jak śnieg. Wokół oczu miała podejrzaną sińce. Wyciągnęłam szyję. Czyżby była... nie-umarła? Z pewnością nie. Modelka szła, stawiając stopy jedna przed drugą. Twarz miała obojętną, bez wyrazu. Zamknęłam oczy i zdałam się na instynkt. Nie. Nie była nieumarła. Tylko tak wyglądała.

Mogłaby wywołać koszmary senne.

-To ostatni krzyk mody - wyjaśnił mi Jay.

- Masz na myśli anoreksję? Rzucił mi szybkie spojrzenie.

- Nie rozśmieszaj mnie. Nie, nie chodzi o anorektycz-ne wymizerowanie, tylko o neogotyck. O wampiryczny wygląd.

Przełknęłam z trudem ślinę, mając nadzieję, że Jay nie zauważył błysku strachu w moich oczach.

To była tylko stylizacja, tak? To, że Atanazja promowała najpopularniejszy krem do twarzy w mieście, nie oznaczało, że wampiry rządziły przemysłem mody, prawda? To był tylko makijaż, odtworzony na podstawie licznych książek i filmów o wampirach. Rzeczywiście, na wybiegu pojawił się model ubrany w romantyczny gotycki strój, jakby z epoki Byrona, nawiązujący do postaci Lestata i Louisa z powieści Anne Rice. Wyglądał doskonale, musiałam to przyznać. Następnie ukazała się podobnie ubrana kobieta, znów w bladym makijażu z obrysowanymi ciemnymi kreskami wokół oczu. Jej usta wyglądały, jakby były splamione krwią. Dla tych ludzi to był po prostu trend w modzie, nic więcej.

Oderwałam wzrok od przerażających wampirycznych modelek i zauważyłam w tłumie znajomą twarz. A nawet dwie. Choć Jay z trudem zdobył dla nas miejsca w drugim rzędzie, zobaczyłam, że Skye, moja szefowa, siedzi w pierwszym rzędzie, po przeciwnej stronie wybiegu. Miała na sobie żółto-czarny strój, a jej włosy związane były w staranny kucyk. Z tego, co widziałam, wyglądała dobrze, najwyraźniej już wyzdrowiała po swojej tajemniczej chorobie. Jej zastępczyni i złodziejka cudzych artykułów, Pepper, siedziała za nią, więc jak podejrze-

wałam, walka o pierwszy rząd musiała być ostra. Wymieniły szeptem uwagi i Skye skupiła się na oglądaniu pokazu, trzymając notatnik w dłoni. Zauważyłam, że Pepper robi zdjęcia małym aparatem cyfrowym. Przyszło mi do głowy, że jej także może złożyć wizytę rozzłoszczona modelka-wampirzyca. Czy powinnam ją jakoś ostrzec?

Kiedy ponownie spojrzałam na wybieg, zobaczyłam, że sprawy uległy pogorszeniu - a raczej przemianie z wyglądu umarłego na nieumarły. Jedna z trzech modelek była naprawdę sangwinikiem, czułam to. *O ta, blondynka, przyjaciółka Atanazji!* Czy tylko ja widziałam, że nie jest żywa? *I jeszcze jedna, rudowłosa, z budynku Celi. I brunetka też!* Ciemnowłosa wampirzyca zatrzymała się na końcu wybiegu, a rozcięcie w skórzanej sukni odsłoniło jej blade, idealne nogi... Uśmiechnęła się. Jej kły zabłyśły w świetle reflektorów.

Nie. Nie!

Tłum zaczął klaskać. Fotografowie rozświetlili magazyn tysiącem fleszy. Zrobiło mi się niedobrze.

Kiedy zapalono światła, Jay i ja zeszliśmy z trybuny. Nie mogłam się doczekać chwili, gdy stąd wyjdę. Choć widać było grupki ludzi rozmawiających głośno tu i ówdzie, hala pustoszała dość szybko. Muzyka wciąż dudniła, ale było jasne, że trzeba się zbierać.

- Idziemy na after party? - zapytał Jay. Poczułam ucisk w gardle. Czy będą tam modelki? Odeszliśmy zaledwie kilka kroków od trybun, gdy

zatrzymał mnie znajomy głos.

- No no, nie sądziłam, że cię tu spotkam.

To była moja szefowa, Skye. Miała na sobie misterną elastyczną sukienkę w kolorach neonowej żółci i czerni

z futurystycznymi przeszyciami, która przywodziła na myśl kokon. Skye wyglądała od stóp do szyi, jakby za chwilę miała przekształcić się w motyla. Powyżej szyi zaś widać było twarz kogoś, kto nałożył nieco za dużo makijażu, by ukryć fakt przebycia ciężkiej choroby. Skye nie jaśniała już magicznym blaskiem i przypuszczam, że przestała używać „Krwi Młodości”. W oczach wyczytałam, że zrobiłam na niej wrażenie, pojawiając się na pokazie. W przeciwieństwie do patrzącej wilkiem złodziejki Pepper, która stała obok niej. Czy to nie ja powinnam patrzeć na nią wilkiem? Pepper rzuciła okiem na mojego towarzysza, a potem znów na mnie. *Och...*

-Wspaniały pokaz, prawda? - powiedziałam pogodnie. - Cieszę się, że już czujesz się lepiej, Skye. Poznaj, proszę, Jaya Rockwella - przedstawiłam ich sobie profesjonalnym tonem.

-Bardzo mi miło - powiedział Jay, gładko wchodząc w rolę czarującego towarzysza. Uścisnął dłoń Skye. - Miło znów cię widzieć, Pepper. - Skinął ku niej głową, a moje serce stanęło na chwilę. Znali się. Jak dobrze się znali?

Jay odwrócił się do mojej szefowej.

- Czy to Gaultier? - zapytał. - Wyglądasz świetnie.

Pepper stanęła przy mnie.

-Niezły łup - wyszeptała mi do ucha, wcale-nie-przyjacielskim tonem - ale to dobry aktor. Powinnaś być ostrożna. Nie chciałabym, żeby ktoś cię skrzywdził.

Czułam zazdrość przepełniającą Pepper i zastanawiałam się, o co w tym wszystkim chodzi. Zaszokowały mnie jej słowa i potrzebowałam chwili, żeby zebrać myśli. *Aktor?* Tyle sama zdołałam wyczuć. Ale jak dobrze Jay i Pepper się znali? Może to nie był właściwy moment, by

ją ostrzegać, że pracownicy „Krwi Młodości” odwiedzili mnie i że mogą chcieć „porozmawiać” także z nią.

- Przepraszam na chwilę - powiedziałam i opuściłam całą trójkę, sugerując, że chcę się odświeżyć. Musiałam zostać na chwilę sama.

Przedemną szły dwie nieznane mi kobiety.

- Co sądzisz o sukni dla mnie?

- Skórzanej?

W połowie białego korytarza o industrialnym wystroju skierowały się do drzwi z napisem „Pomieszczenie służbowe”.

-! te sztuczne kły!

Niemal weszłam tam za nimi, ale niższa z nich zatrzymała się i spojrzała na mnie ostro, więc szybko zdałam sobie sprawę ze swojej pomyłki. Poszłam dalej korytarzem, udając, że wiem, dokąd zmierzam.

Do licha. Czy oni nie mają tu żadnych oznaczeń?

Usłyszałam za sobą echo kroków i poczułam w żołądku znajome zimno.

Odwróciłam się.

Na szczęście to był Jay.

-W tę stronę - powiedział, szeroko się uśmiechając i wyciągając do mnie rękę.

- Dziękuję - odparłam, zawstydzona. Pepper wyprowadziła mnie z równowagi, ale teraz uśmiechnęłam się i ruszyłam w jego stronę.

Ale czułam, że coś tu nie gra.

Usłyszałam inne kroki w korytarzu. Byłam już w połowie drogi, gdy za jego plecami zobaczyłam trzy kobiety. Moje serce podeszło do gardła. To były trzy modelki - trzy wampirzyce - z mojego budynku. Ruda, blondynka i brunetka, które widziałam na pokazie. Wciąż

miały na twarzach makijaż i wyglądały zabójczo w swoich wyszukanych strojach - trio z idealnie pięknego horroru. Niczym Spice Girls, tylko że one wszystkie były Scary Spice. Mieliliśmy szczęście, że nie było ich pięciu.

- Dokąd się wybierałaś, dziewico? - wysyczała blondynka.

- Nie twoja sprawa - brzmiała moja szybka odpowiedź. Zrobiłam parę kroków do przodu i skrzyżowałam ramiona. Wciąż byłam kilka metrów od Jaya, który wyglądał na zdziwionego, ale nie tak przestraszonego, jak powinien.

Zastanawiałam się, co zrobią.

Nie musiałam zastanawiać się długo.

- Dobry wieczór paniom - zaczął mój towarzysz z uprzejmym uśmiechem. Wyczuwając gęstą atmosferę wrogości, uniósł ręce do góry i kontynuował swoim czarującym głosem. - Nie ma potrzeby...

Rudowłosa chwyciła Jaya za gardło i oparłszy go o ścianę, uniosła do góry. Nie mogłam uwierzyć w to, co widziałam. Jay był mężczyzną silnym i bardzo wysokim, lecz ona uniosła go jak piórko. Ze względu na wzrost jego stopy nie do końca wisały w powietrzu, lecz ciało zawisło bezwładnie. Pomyślałam, że to dziwne, że nie walczy rękami ani nogami. Jego twarz robiła się coraz bardziej fioletowa, wytrzeszczył oczy na swoją piękną przeciwniczkę. Zastanawiałam się, czy ona go hipnotyzowała.

- Postaw go na ziemię! - zażądałam i podeszłam o krok bliżej.

Brunetka i blondynka odwróciły się do mnie, gotowe do ataku. Wyglądały, jakby chciały ze mną walczyć. Ciekawe, czy myślały, iż nie poradzę sobie w pojedynkę.

- Panna Batory ma plany wobec ciebie i twoich przy-

jaciólek - powiedziała ruda, wciąż trzymając Jaya za gardło i nie odrywając od niego wzroku. Zastanawiałam się, jak długo jeszcze Jay wytrzyma, zanim zemdleje.

- Nie mieszajcie go do tego - powiedziałam, rozglądając się wokół.

Modelki blokowały drogę, którą przyszliśmy. Na końcu korytarza za mną były drzwi, do których doszłam za dwiema modelkami, prawdopodobnie prowadzące za kulisy albo do pomieszczenia dla obsługi pokazu. Zdołałabym do nich dobiec, ale nie mogłam zostawić Jaya z tymi wyposażonymi w *ktyfemmefatale*. Nim bym wróciła z pomocą, mógłby być martwy. Albo nieumarły.

- Spójrzcie tutaj - powiedziałam i rzuciłam się w ich kierunku, opróżniając jednocześnie kieszenie. Mój bilet pofrunął na podłogę, przykuwając uwagę blondynki i brunetki, a za nim rozsypały się na niej ziarna ryżu. Modelki zareagowały szczególnym westchnieniem „Och” i przykucnęły, by je policzyć.

- Jeden, dwa, trzy, cztery... - Rudowłosa odwróciła się od swojej ofiary, żeby zobaczyć, co robią, a gdy zauważyła ryż, też przycupnęła i zaczęła liczyć, jakby w nadprzyrodzonym transie.

Jay osunął się na podłogę, trzymając się za gardło. Nadprzyrodzone zasady. Takie dziwne. -Tędy, Jay! - krzyknęłam do niego i rzuciłam się, by go podnieść i uciekać.

- Ona miała... zęby... - wymamrotał, być może zdając sobie w końcu sprawę, że kły były prawdziwe.

Rzuciliśmy się do przodu, Jay ścisnął jedną ręką bolące gardło, podczas gdy ja chwyciłam go za drugą, ciągnąc tak szybko, jak mogłam, w kierunku odległych

drzwi - wyjścia pożarowego z wielką metalową sztabą - bo miałam nadzieję, że prowadzą na ulicę, na której będę mogła wezwać pomoc. W kieszeniach mojego zakietu nie mieściło się zbyt wiele ryżu, więc modelki wkrótce mogły skończyć liczyć. Pchnęłam drzwi i wybiegłam na zewnątrz, ciągnąc za sobą mojego towarzysza. Drzwi wychodziły na nieużywaną rampę wyładunkową. Przede mną nie było gwarnej ulicy Nowego Jorku ani ruchu ulicznego i ratujących życie żółtych taksówek; patrzyłam na nieużywaną boczną uliczkę w Garment District. Była ciemna, ale nieopustoszała, jak wkrótce odkryłam.

O nie, wcale nie była opustoszała. Najwyraźniej wampiry lubią boczne uliczki. Zobaczyłam tam długą czarną limuzynę, a obok niej

znajomy żółty sportowy samochód, należący do mojej nemezis, Atanazji. Ona sama stała w odległości kilku metrów w skórzanych spodniach i obcisłym T-shircie, zupełnie nieadekwatnym do panującej pogody. Nie wyglądała, jakby ją kiedykolwiek przebito kołkiem. I miała asystę. Potężnych, przerażających, martwych przyjaciół. Dwóch mężczyzn - bladych, brzydkich, umięśnionych niczym rosyjscy kulturzyści. Jeden z nich - łysy, paskudny, z mięśniami niemal rozsadzającymi materiał garnituru - trzymał dwa ciała, po jednym na każdym ramieniu. Stłumiłam krzyk. To były Skye i Pepper.

Potem zauważyłam na ustach Atanazji świeżą krew.

O, *nie. Nie, nie, nie, nie...*

Ledwo zarejestrowałam ten ponury obrazek, gdy zwalisty stwór wrzucił moją szefową i jej zastępczynię do bagażnika limuzyny, jakby były workami ziemniaków.

I może właśnie tym były dla Atanazji: jedzeniem.

Gdy pojawiłam się tam, tylne drzwi limuzyny otworzyły się i teraz wyłoniła się z nich postać piękniejsza i bardziej przerażająca niż wszystko, co do tej pory widziałam. To była

kobieta ubrana w długą czarną suknię z ciasnym gorsetem bez ramiączek i fałdami luksusowego materiału, które teraz opadły na krawężnik. Miała wysokie czoło i arystokratyczne rysy twarzy i choć nie była wyższa ode mnie, w jej postawie było coś władczego. Skórę miała świetlistą, bladą i nieskazitelną, ciemne włosy zaczesane do tyłu, opadały na ramiona w kolorze kości słoniowej i odsłaniały długą wąską szyję oraz kołnierzyk z krwistoczerwonej koronki. Jej ciemne oczy spoglądały nieprzyjaźnie, choć hipnotyzująco, a urodą przewyższała nawet Atanazję, która przy swojej mistrzyni wyglądała zwyczajnie, nawet po świeżej krwi.

Ta kobieta, wiedziałam instynktownie, stała za „Krwia Młodości”.

-Dobrze, że przyszłaś, Pandoro English - odezwała się z silnym obcym akcentem. - Jestem hrabina Elżbieta Batory.

Zamrugałam, świadoma, że próbuje mnie zahipnotyzować. Poczulałam, jak jej umysł wdziera się w mój, i odepchnęłam ją. Odmówiłam jej prawa dostępu do moich myśli. Wpatrywała się we mnie z uśmiechem.

- Mówiono mi, że nie jesteś taka, na jaką wyglądasz -oznajmiła. - I to prawda. *Baton/, Batory, Batory...*

Szukałam w pamięci jej nazwiska. Atanazja wspominała o swojej pani Batory, podobnie jak ruda wampirzyca, i oto ona. Nazwisko Elżbieta Batory brzmiało znajomo. Widziałam je w książkach mojej matki. Pojawiało się często obok nazwiska Wład Tepes, który to człowiek rzekomo był inspiracją do fikcyjnej postaci Stokera,

powieści, którą Celia tak bardzo pogardzała. Pochodziła z Europy Wschodniej. Tak, z Rumunii albo z Węgier, ale to było dawno temu, całe wieki temu. I w przeciwieństwie do hrabiego Drakuli była postacią prawdziwą i popełniła prawdziwe zbrodnie, tak potworne, że otaczała ją czarna legenda. Mówiło się o bezprawnym procesie. Nie, była arystokratką i nie mogła być sądzona, teraz sobie przypomniałam.

*To jest hrabina Batory, Krwawa Pani zamku Cachtic.
Krwawa Hrabina.*

Gdy byłam małą, przeczytałam o legendarnej Krwawej Hrabinie i zapytałam o nią moją matkę. Była najbardziej znaną seryjną morderczynią w historii, oskarżoną o zabicie setek dziewcząt służących w jej zamku - ponad sześciuset. Nie można jej było osądzić, gdyż w jej żyłach płynęła szlachetna krew, a więc wymierzono jej sprawiedliwość w dość dziwny sposób: zamurowano ją w jej własnym zamku i tam przypuszczalnie umarła. Historycy i naukowcy nie mogli dojść do zgody, czy rzeczywiście zabiła wszystkie te dziewczęta. Moja matka uważała, że padła ofiarą spisku. Ale jeśli to była ona, to widocznie nie umarła w zamku, jak można przeczytać w książkach. Została przemieniona w wampira, w sangwinika, a może już nim była, zanim ją złapano.

Światowej stawy wiekowa morderczyni.

Trzęsącymi dłońmi przeszukałam kieszenie, ale znalazłam tylko kilka ziarenek ryżu. *Cholera! Cholera!* Zamknęłam oczy, odmówiłam krótką modlitwę i czując się dość głupio, rzuciłam je do stóp hrabiny Batory. Wszyscy obecni patrzyli, jak ziarna rozpryskują się po posadzce. Batory spojrzała na mnie, a kąci jej czerwonych ust uniosły się w okrutnym uśmiechu. Jej totum

facka, Atanazja, spojrzała w dół i zobaczyłam, jak jej usta się poruszają: „Jeden, dwa, trzy, cztery...”. Reszta, niestety, pozostała niewzruszona.

Atanazja skończyła liczyć przy cyfrze dziewięć.

-Jeśli myślałaś, że to na mnie zadziała, to się myliłaś, śmiertelna. Nie jestem pisklęciem.

Najwyraźniej jej umięśnieni ochroniarze też nimi nie byli. Jeden z nich stał u jej boku, podczas gdy jego łysy kolega zbliżał się do mnie, zamierzając pewnie złapać, przewiesić przez ramię i wrzucić do bagażnika limuzyny, jak zrobił to z moimi koleżankami z redakcji. Zesztywniałam i odwróciłam się w stronę Jaya w nadziei, że mi pomoże.

Ale on, jak w transie, wpatrywał się w hrabinę Batory.

O, do diabła!

-Jay?

Nie odpowiedział. Był wyraźnie zahipnotyzowany.

Dlaczego mężczyźni w moim życiu okazują się tak bezużyteczni, gdy w pobliżu są te istoty?

Odwróciłam się, żeby pobiec z powrotem do magazynu, ale trzy modelki skończyły już liczyć ziarenka ryżu. Blondynka, brunetka i rudowłosa stały już za moimi plecami i zaraz mnie chwyciły. Usiłowałam się wyrwać, wijąc jak wąż, ale trzymały mnie mocno, a łysy mięśniak już się zbliżał. Bijący od niego odór siarki i zgnilizny przyprawiał mnie o mdłości. Zapach nieumarłego. Bez słowa położył dłonie na mojej szyi, by mnie udusić.

-Nie! Nie! - krzyknęłam, lecz nie mogłam wydusić ani słowa więcej, gdyż jego dłonie miażdżyły moją tchawicę. Szamotałam się z napastnikami, ale wiedziałam, że mam tylko kilka sekund, zanim zemdleję.

-Nie uszkodź szyi, Augustynie - pouczyła go spokojnie hrabina. Sunęła w moim kierunku, łagodna i groźna. - Otwórz usta.

Mięśniak próbował rozewrzeć mi szczękę, ale zacisnęłam zęby niczym uparte zwierzę.

Me...

-Otwórz usta, mała kaszaneczko - usłyszałam głos jednej z modelek za mną. Uszczypnęła mnie w nos.

-Ha, ha, ha, mała krwawa kiszka! - powiedziała jedna z pozostałych i roześmiała się.

Wciąż zaciskałam zęby i wstrzymywałam oddech.

-Jesteś uparta, co? - zauważyła Batory, czekając cierpliwie, aż otworzę usta. - Ja mogę wstrzymywać oddech całą wieczność, nie muszę oddychać. Ale ty, śmiertelna dziewczyno, musisz otworzyć...

W końcu, co było nieuniknione, zaczerpnęłam powietrza. Sangwinik wykorzystał chwilę i otworzył mi szczękę. Mój język walczył bezużytecznie w powietrzu. Ociężała, z poczuciem wielkiej satysfakcji, Batory pochyliła się, jej ręce zawisły nad moją otwartą szczęką. Palcem wskazującym otworzyła małe puzderko. Poczułam, jak coś lekkiego i pudrowego ląduje na moim języku. *Gorzkie*. Zanim zdołałam to wypluć, siłą zamknięto mi usta.

Niechętnie połknęłam.

- Dobrze - powiedziała. - Auguście, wsadź ją do samochodu.

Kiedy trzy supermodelki puściły mnie, moje ciało osunęło się bezwładnie w jego ramiona. Byłam niczym szmaciana lalka, sparaliżowana i przerażająco bezradna.

-A jeśli chodzi o niego - usłyszałam słowa Krwawej Hrabiny - pozbądźcie się go.

Rozdział 25

Przyznaję, że kiedy mieszkałam w Gretchenville, marzyłam, że pewnego dnia będę jechała prawdziwą limuzyną. Jednakże nigdy nie wyobrażałam sobie, że w jej bagażniku będzie moja nowa szefowa, a ja sama będę siedzieć z czterystuletnią zabójczynią.

Elżbieta Batory rozsiadła się na tylnej kanapie swojej limuzyny naprzeciw mnie, spokojna, nikczemna i nienaturalnie pociągająca. Wnętrze limuzyny było ogromne, czuło się w nim jeszcze zapach nowego samochodu. To była miła odmiana po gnijących oparach siarki wydzielanych przez pacholków hrabiny, którzy siedzieli na przednich siedzeniach samochodu - jeden w roli kierowcy, a drugi pasażera. Limuzyna miała nawet barek, w którym na specjalnie wbudowanych półeczkach stały rzędem lśniące czystością kieliszki do szampana. Szampana, naturalnie tam nie było. Jak się domyślałam, nie on był ulubionym napojem tej kobiety. Dzięki truciznie, którą we mnie wmusiła, nie mogłam ruszyć ręką ani nogą, siedziałam naprzeciwko niej w dziwnej, bezwładnej pozycji, z głową opartą o oszronione okno. Kiedy samochód skręcił, przesunęłam się odrobinę i mój policzek otarł się nieprzyjemnie o zimną szybę. Na szczęście, pomyśleli o tym, żeby mnie przypiąć pasem bezpieczeństwa. Jak na zgraję morderców, to dziwnie troskliwy gest.

-A teraz powiedz mi, kim jesteś - zażądała Krwawa Hrabina. Otworzyłam usta, by odpowiedzieć, ale sparaliżowana zwątpiłam, czy jestem w stanie wyartykułować jakiś dźwięk. Pierwsze sylaby rzeczywiście były dość rozmyte.

-Paaaaaaan...

Elżbieta Batory skrzyżowała ramiona.

-Tak, tak - odparła niecierpliwie. - Znam twoje nazwisko, Pandora English. Ale kim jesteś? Jak zdołałaś wbić kołek w moją modelkę, Atanazję? Jest jeszcze młoda, ale często karmiona. Jest o wiele silniejsza niż zwyczajny człowiek.

Często karmiona. Fuj.

Wyglądało na to, że moja osoba zaciekała Elżbietę Batory. Nie wróżyło to dobrze. *Gdyby tylko moja matka mogła mnie zobaczyć* - pomyślałam ponuro. Z drugiej jednak strony, jej zainteresowanie mną mogło spowodować, że nie leżałam właśnie w bagażniku. Być może nawet dzięki temu jeszcze żyłam. Czy Skye i Pepper były nieprzytomne? Sparaliżowane tak jak ja? Martwe? Nie-umarłe? Z bagażnika nie dobiegały żadne odgłosy. Ani stukanie, ani jęki. Odwróciłam wzrok, by spojrzeć na pustoszejący miejski krajobraz. Przejechaliśmy przez most i nie znajdowaliśmy się już na Manhattanie, ale nie byłam pewna, w jakim kierunku jedziemy. Byliśmy w Queens? W Jersey? Ze swojego miejsca nie mogłam ustalić kierunku jazdy, ani na podstawie punktów orientacyjnych czy położenia słońca lub księżyca. Niebo było ciemne, a ulice pełne identycznych sklepów, zaniedbanych neonów, rzednącego ruchu samochodów. Widziałam graffiti na ścianach opuszczonych budynków. Niedobrze.

Ponownie otworzyłam usta.

-Dokąd... jedziemy? - ledwo zdołałam zapytać, lecz jakby z lepszą koordynacją. Zabrzmiało to tak, jakbym była odurzona i bardzo, bardzo słaba.

Batory zignorowała moje pytanie, jakby w ogóle nie padło.

- Nie wyglądasz na zbyt silną - zauważyła, jakby zaintrygowana. Przechyliła głowę na bok, a idealne fale jej ciemnych włosów opadły na jedno ramię. - Powiedz, skąd wiesz o „Krwii Młodości”? Ta tchórzliwa blondynka - powiedziała, wskazując na bagażnik za moimi plecami - przyznała się, że nie napisała tego artykułu. Mówi, że to twoje dzieło. Atanazja podejrzewała, że tak jest. Powiedziała, że węszyłaś. Czy to prawda? Ale skąd wiedziałaś, gdzie szukać aktora? I dlaczego? Jesteś aż tak odważna? Nie przypuszczałaś, że poniesiesz konsekwencje? Mów natychmiast - żądała.

-To... oszustwo - wykrztusiłam, oszczędzając siły. Choć byłam przerażona, drażniła mnie jej gra w „Dwadzieścia pytań” na jej warunkach.

- Produkt, który ja stworzyłam, jest oszustwem? Och, nie wszystko jest oszustwem - poprawiła mnie. - „Krew Młodości” działa dokładnie tak, jak obiecujemy. Jest dokładnie tym, co obiecujemy. Przywraca młodość, póki się go używa.

-Tajemniczy... składnik - wychrypiałam. Zaśmiała się cicho.

-Naprawdę uważasz, że kogokolwiek obchodzi, co w nim jest? Ludzie nie są tak wyczuleni na to, co sprawia, że ten kosmetyk działa, dopóki działa tak, jak obiecano. Jeśli czegoś naprawdę pragną, nie zastanawiają się, czy to etyczne. Z pewnością tyle już wiesz o swojej żalösnej rasie hipokrytów? Znasz składniki wszystkie

go, co jesz, czy co wcierasz w skórę? Wiesz, skąd pochodzą? Kto z ich powodu cierpiał? Nie sędzę.

To była prawda, nie miałam pojęcia o składnikach wszystkich produktów, których używam, ani o pochodzeniu każdego kęsa jedzenia, ale nie oznaczało to, że jej rozumowanie ma sens.

-Było kilka skarg dotyczących reakcji alergicznych, ale wkrótce to poprawimy.

Pomyślałam o Skye i jej tajemniczej chorobie, i o „alergii” Toni Howard.

-Wiesz, że sprzedaliśmy cały zapas „Krwi Młodości” tego samego dnia, gdy pojawił się na półkach sklepowych? Ludzie, nie mogąc go kupić oficjalnie, natychmiast zaczęli szturmować czarny rynek. Tam uzyskaliśmy jeszcze lepszą cenę. Jeśli twoja mała dziennikarska próba przyniesie jakikolwiek efekt - w co wędpię - „Krew Młodości” przestanie być rozprowadzana legalnie, co tylko zwielokrotni nasze zyski. Powinnam ci podziękować.

Zamrugalam.

- Ludzie zrobią wszystko, żeby utrzymać iluzję młodości. Wiem to najlepiej - powiedziała, a przez jej usta przemknął gorzki uśmiejch.

Legenda głosi, że przyczyną okrutnych zbrodni Batory była próżność. Że torturowała ofiary i kąpała się we krwi dziewic, by zachować młody wygląd.

„Krew Młodości”. Tajemniczy składnik.

- Reklama nie kłamie - powiedziała mi kiedyś Celia. Żołądek podszedł mi do gardła, gdy kawałki układanki zaczęły tworzyć obraz. Czy to możliwe?

- Ludzie pozabijają się, by zdobyć ten krem, jeśli będą musieli. Ale nie muszą, bo ja zabijam za nich - oznajmiła hrabina i roześmiała się.

Rozdział 26

Nie wiem, ile czasu minęło, zanim limuzyna w końcu zwolniła. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że jechaliśmy ponad godzinę. Może nawet dwie.

Wyglądało na to, że nikt nas nie śledzi. Ani Jay - o którego bardzo się martwiłam - ani nawet pupilka i muza hrabiny, Atanazja, ani też jej z przyjaciółki. Z każdą minutą jazdy krajobraz stawał się coraz bardziej ponury i ciemny, aż w końcu na drogach nie była żadnych pojazdów, a dookoła widać było tylko nieliczne budynki przemysłowe oraz rozległe pola i pastwiska. Jeśli była to rolnicza okolica, to w niczym nie przypominała farm znanych mi z okolic mojego miasteczka. W promieniu wielu mil nie było żadnego domostwa.

Kierowca zwolnił i skręcił z głównej drogi, gdy przed nami ukazała się widmowa budowla - wielka biała fabryka otoczona wysokim płotem z drutu kolczastego. Jechaliśmy do niej krętą, wąską drogą. Ze swojego miejsca przy oknie widziałam, że ta złowieszcza sylwetka miała prostokątny kształt, z czterema kominami i kilkoma budynkami gospodarczymi. Wyrastała z ciemnego rolniczego krajobrazu niczym zjawą. Zauważyłam przewrócony znak na poboczu, leżał w trawie. Farba na nim wyblakła i łuszczyła się. To miejsce wyglądało na zaniedbane i nieprzyjazne, ale nie było opuszczone, gdyż

z kominów unosił się zielonkawy dym. Coś tu się działo, coś wytwarzano, nawet teraz, po zmroku. I pomyślałam, że wiem, co to jest. *Śmierć*.

Wyczuwałam wokół obecność śmierci.

To było straszne, koszmarne miejsce. Czułam to swoim ciałem, w kościach, w nagłym chłódzie w żołądku.

W końcu limuzyna zatrzymała się przy bramie, obok budki ochrony. Ta zmiana tempa, bliskość fatum, sprawiła, że moje serce przyśpieszyło. Nagły strach przepędził resztki oparów odurzenia z głowy. Muszę być w pełni przytomna, jeśli mam przeżyć to, co mnie tu czeka. Staralam się zapamiętać każdy szczegół otoczenia, wszystko, co mogłam zobaczyć ze swojego miejsca przy szybie. Błyskawicznie ogarnęłam wzrokiem budynek przed nami, światła alarmu, strażników ubranych na czarno i stojących po dwóch przy wejściu do fabryki.

Hrabina Batory opuściła szybę w najbliższym oknie. Wyjrzała w cichą noc.

Po chwili usłyszałam odgłos kroków na żwirowej drodze. Strażnik podszedł do bramy i otworzył kłódkę kluczem przypiętym do pasa. Podobnie jak inni wyglądał na siłacza i jak oni był blady, niezdarny i ubrany na czarno. *Niewątpliwie niewnarły* - pomyślałam. Otworzył bramę niczym automat i wjechaliśmy na teren fabryki. Szyba obok Batory zamknęła się. Hrabina nie wypowiedziała ani słowa. Kątem oka zobaczyłam, że strażnik zamyka bramę i wiesza na niej kłódkę. Moje serce zamarło. Za sprawą tajemniczej trucizny moje ciało było wciąż niezdolne do ucieczki, lecz nawet gdybym zdołała uciec tym muskularnym strażnikom, nie potrafiłabym pokonać tak wysokiego płotu, nie mówiąc już o drucie

kolczastym. Musiałabym zdobyć klucz, żeby otworzyć tę bramę.

Limuzyna jechała powoli na tyły fabryki i przestawała być widoczna z krętej drogi, którą jechaliśmy. Gdy znaleźliśmy się bliżej, zobaczyłam, że farba na betonowym budynku łuszczy się i odpada, tak samo jak na znaku leżącym przy drodze. Jak długo te zabudowania były opuszczone, zanim Batory je przejęła? Ze wzniesienia widziałam w oddali światła innych domostw. To miejsce wybrano ze względu na odosobnienie.

Samochód zatrzymał się. Silnik zgasł.

Przednie drzwi limuzyny otworzyły się, a kierowca i jego partner stanęli na ścieżce. Zobaczyłam jakiś ruch i usłyszałam zgrzytanie żwiru pod ich stopami. Zatrzymaliśmy się przy tylnym wejściu do fabryki. Było wystarczająco duże, by wjechać przez nie ciężarówką, a strzegli go kolejni podwładni hrabiny - duże zwaliste wampiry, bez wątpienia wybrane ze względu na ich siłę i posłuszeństwo. Te groźne istoty w niczym nie przypominały nienaturalnie pięknych modelek wampirzyc, które zostawiła z Jayem w Garment District. Ilu to razem strażników? Czterech, plus jeden przy bramie, kierowca i jego partner. *Siedmiu pacholków. Może w środku jest ich więcej.* Łysy kierowca otworzył drzwi i hrabina Batory z gracją wysiadła z pojazdu. Przez kilka sekund byłam sama. Skorzystałam z okazji, by spróbować poruszyć środkowym palcem, choć odrobinę.

Udało się.

Zaledwie centymetr, ale zawsze to coś.

Podczas jazdy zdałam sobie sprawę, że odzyskuję władzę nad palcami u stóp. Poruszałam nimi w balerinkach, zdołałam nawet ruszyć nogą w kostce. Tajemniczy

paraliż ustępował. Batory była tak pewna siebie, że nie zadała sobie trudu, by mnie związać, zresztą przy tak wielu strażnikach i w miejscu tak oddalonym od cywilizacji, jakie miało znaczenie, że jej trucizna przestawała działać? Dokąd miałabym pójść?

Łysy kierowca otworzył drzwi, odpiął pas i przerzucił mnie przez swoje ramię.

- Dzięki - powiedziałam żartem do jego pleców, ale nie zareagował. Dławiący odór siarki i zgnilizny wypełnił mi nos i gardło.

Bezradnie patrzyłam na mijaną zwirową ścieżkę, aż stanęliśmy na betonie. Wyczułam rozkład i kurz, i jeszcze coś, niemożliwego do nazwania. Odwróciłam głowę i zobaczyłam betonową ścianę. *Korytarz*. Zanim zdążyłam odwrócić głowę, by spojrzeć w drugą stronę, weszliśmy do ciemnego pokoju. W przeciwieństwie do fabryki pachniał słodko, jak perfumy lub kadzidelko. Strażnik bezceremonialnie zrzucił mnie z ramienia. Na szczęście wylądowałam na miękkim, pokrytym poduszkami łóżku. Łóżko przykryte było ozdobną narzutą w kolorach burgunda i złota. Na podłodze leżał perski dywan, tu i ówdzie rozrzucono wygodne poduszki. Próżność. Lustro. *Dziwne*. To wszystko, co zdążyłam zauważyć, zanim łysy kierowca Augustyn wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi i zostawiając mnie w zupełnej ciemności. Nie słyszałam, żeby zasunął zasuwę czy też użył klucza. Pokój nie miał okien, więc słodki zapach w powietrzu po chwili stał się nie do wytrzymania. Wyczułam w nim stęchliznę i jeszcze coś, co mnie przerażało.

Przez cały czas czułam zimno w żołądku, a teraz poczułam je jeszcze silniej.

Tymczasowa kryjówka Batory.

Z wysiłkiem odwróciłam się na łóżku. *Muszę. Wstać.* Mogłam ruszać stopami i nadgarstkami, ale nad resztą mojego ciała nadal nie miałam władzy. Poruszyłam ramieniem, zdołałam powoli, niepewnie ugiąć kolana. Wiedziałam, że nie mogę chodzić. Jeszcze nie. I z całą pewnością nie mogłam biec. Mijały minuty w ciemności, a ja czułam się jak mucha złapana w sieć. Zastanawiałam się, na jak długo mnie tu zostawią i ile czasu minie, zanim odzyskam kontrolę nad ciałem. Teraz mogłam już zginać ręce. To było coś. Wracało czucie w kolanach i łokciach. Nie chciałam leżeć tam, gdzie mnie rzucono - jak mięso czekające, aż je zjedzą - i pomyślałam, że mogę się przetoczyć na krawędź łóżka i wstać, mając nadzieję, że dam radę, że odruchowo złapię równowagę, ale jednocześnie się bałam, że upadnę na twardą podłogę. Jeden nierozważny ruch mógł zaprzepaścić szansę na przeżycie.

- Ona cię wykończy. Wciągnęłam gwałtownie powietrze.

- Kto tu jest? - zapytałam i zauważyłam, że mój głos wrócił do normy.

- Będzie cię tu trzymać, dla zabawy - to był kobiecy głos, lekko stłumiony. - Będzie piła twoją krew, gdy tylko zapragnie. Będzie śpiewać i robić różne dziwne rzeczy. To jest jej rytuał. Gra wstępna. A potem, gdy się tobą znudzi, wykończy cię.

Wpatrywałam się w ciemność, ale zobaczyłam zaledwie niewyraźny biały kształt.

- Nic nie widzę. Jest za ciemno. Kim jesteś?

- Mam na imię Alicja. Byłam taka jak ty, zanim mnie wykończyła. - Poczulałam chłód obok siebie, a potem zimną mglistą dłoń. Końcówki palców głaskały mnie uspo-

kajająco, ale jej słowa nie przynosiły ukojenia. - Będzie cię tu trzymać, sparaliżowaną i przytomną. Ma władzę Izydy. Kapie się we krwi...

To jedna z ofiar Batory. W tym pokoju je zabijała, a potem...

Moja matka opowiadała, że zła sława Batory prawdopodobnie była nieuzasadniona. Batory była wykształconą kobietą, podczas częstych i długich wyjazdów swego męża skutecznie zarządzała jego majątkiem. Gdy zginął na wojnie, rządziła dalej, odmawiając - za swego życia - przekazania władzy męskiemu potomkowi męża. Była kobietą sukcesu w czasach, gdy sam pomysł, by kobieta dzierżyła władzę, był nie do przyjęcia, a w zamian za korzystanie ze swoich zdolności przywódczych zyskała straszliwą legendę. Tak w każdym razie sugerowała moja matka. Wygląda na to, że się myliła.

- Możesz mi pomóc? - błagałam. Być może ten duch potrafi mnie obronić, tak jak Luke, kiedy zaatakowała mnie Samanta.

-Nadchodzi - powiedziała dziewczyna. - Żegnaj. -Chłodne powietrze wokół mnie zniknęło.

Słysząc było odgłos lekkich kroków.

Potem usłyszałam szcęk klamki i nagle w pokoju stało się jasno. Jednocześnie zapaliły się rzędy świec - najbardziej diabelski i dziwaczny pokaz czarnej magii. Były ich setki. Zastanawiałam się, ile kobiet złożono w ofierze w tym pokoju. Właśnie tym on był, prawda? Komnatą ofiarną przedsiębiorczej hrabiny Elżbiety Batory. Po prawej zauważyłam przejście. Prowadziło do wanny.

Poczułam dreszcz przebiegający po moim ciele.

Batory.

Nie było czasu na reakcję. Moja porywaczka weszła

do pokoju i zamknęła za sobą drzwi, choć nie byłam pewna, czy użyła do tego rąk.

-Widzisz, jaką mam władzę, Pandoro English? -powiedziała z obcym akcentem. Niewątpliwie widziała w mojej twarzy szok i przerażenie. - Krew to życie, a ja miałam wiele żyć, właśnie tutaj...

Staralam się nie drgnąć.

- Musisz wiedzieć, dlaczego tu jesteś, prawda?

Nie wiedziałam, jak zareagować. Nie byłam pewna, dlaczego zadała sobie trud, by przywieźć mnie aż tutaj, do miejsca, które - jak się zdawało - było centrum jej diabelskich działań.

- Hraa... binooo - odpowiedziałam, udając odurzenie. Tłumiłam w sobie wszelkie odruchy i leżałam całkiem nieruchomo na łóżku, gdy do mnie podeszła.

Batory wyglądała na zadowoloną. Gdyby była Fre-ją, mruzczałaby. Triumfalnie i majestatycznie podeszła do łóżka i pochyliła się. Oparłam się pokusie kopnięcia jej. Hrabina uśmiechnęła się i delikatnie powąchała powietrze.

-Nie myśl, że przede mną uciekniesz, dziewczyno. Czuję to. Jesteś dziewicą. *Och...*

Zza jej ślicznych, strasznych warg wysunęły się dwa ostre białe kły. A właściwie ich końcówki. Wzdrygnęłam się.

Pochyliła głowę. Jej ciemne oczy patrzyły na mnie badawczo.

-Ale najpierw, popodziwiam twój żakiet - powiedziała, uśmiechając się i oceniając materiał. - Szkoda byłoby go zniszczyć. Zdejmij go.

Nie poruszyłam się.

- No tak, racja. Nie możesz.

Leżałam bezwładnie, podczas gdy hrabina Batory rozpiniała guziki smokingowego żakietu Celi i zdejmowała go ze mnie, wyciągając moje ręce nad głowę. Obserwowałam w milczeniu, jak podziwiała go w świetle swoich dziwnych świec.

- O tak. To wspaniały żakiet. Myślę, że go sobie wezmę.

- Proszę... bardzo - wymamrotałam.

Zarzuciła żakiet na suknię, wkładając ramię w rękaw. - Jesteś wspaniałą krawcową...

Podczas gdy jej ręce były zaplątane w rękawy żakietu, zeskoczyłam błyskawicznie z łóżka i podbiegłam do drzwi.

Batory jęknęła z zaskoczenia, jej lewa ręka wciąż była w rękawie żakietu. Z rozmachem otworzyłam drzwi. Nie były zamknięte na klucz.

Tak! Teraz, Pandoro! Biegnij! Powtórzyłam słowa głośno i zrealizowałam własne polecenie. Jedną nogę miałam zdrętwiałą, a gdy paraliż ustąpił, krzyknęłam z bólu. Kolejnym problemem było, jak uciec z fabryki. Rozglądając się wkoło, wątpiłam, by było to proste zadanie. Po mojej prawej stronie, w korytarzu prowadzącym do samochodu, było dwóch strażników. Pobiegnęłam w drugą stronę i zobaczyłam olbrzymią stalową platformę nad wielkimi parującymi zbiornikami, a przy każdym z wyjść - zwalistych bladych wampirów strażników.

Cholera. Cholera...

Strażnicy odwrócili się ku mnie równocześnie i zaczęli niezdarnie iść w moim kierunku. Gdy się zbliżali, czułam smród siarki i zgnilizny. Nie mogłam stawić czoła tym istotom. Nie pokonałabym ich. *Żadnego wyjścia.* Poczulałam za plecami zimną metalową drabinę i in-

stynktownie zaczęłam się po niej wspinać, trochę niezgrabnie, ale tak szybko, jak tylko potrafiłam.

Kiedy już wspięłam się na górę, na drugim końcu platformy pojawiła się Elżbieta Batory, ubrana w żakiet Celi i z wściekłością wypisaną na twarzy. Czterej strażnicy stanęli po obu jej stronach; mieli broń przy paskach. Odwróciłam się i ujrzałam czterech kolejnych strażników za sobą. Byłam w pułapce.

- Jesteś dobrą aktorką - powiedziała hrabina Batory z niezadowoleniem, jej władczy głos odbijał się echem od ścian fabryki. - Powiedz, kim naprawdę jesteś? Mój specyfik przestał działać zdecydowanie zbyt szybko...

-Jestem Pandora English. Jestem dziennikarką -krzyknęłam poprzez łoskot zbiorników pode mną. Hrabina zmrużyła oczy.

- Nie jesteś normalną dziewczyną - zarzuciła mi, podchodząc bliżej. - Nie próbuj udawać - dodała, zbliżając się.

Patrzyłam na jej nieruchomych strażników, którzy stali na krańcach platformy, i na podstawę drabiny, po której się tu wspięłam, i coś we mnie zaskoczyło. *Samanta*. Nie mogła mi pomóc w sprzątaniu po moim starciu z Atanazją, bo nie potrafiła zapanować nad sobą, widząc tyle krwi, a jednak ci strażnicy byli dziwnie nie-poruszeni.

-To nie są wampiry - zauważyłam.

- Oczywiście, że nie - odparła Batory. - To zombie. Żołądek podskoczył mi do gardła.

Dopiero co przyjąłam do wiadomości, że istnieją wampiry. Obecność zombie w realnym świecie była jeszcze poza granicami mojej wyobraźni.

-Kiedyś nie było to tak rzadkie zjawisko, ale praca w tym kraju nie jest już tym, czym była kiedyś. Zwłasz-

cza od czasów wojny secesyjnej - wyjaśniła hrabina. -Wy, Amerykanie, wszystko przeinaczyliście - zadrwiła. *Wojna secesyjna?*

Pomyślałam o Luke'u, żołnierzu Unii, który zginął podczas tej wojny. Jeśli wampiry były już wtedy na Południu, z pewnością popierały niewolnictwo. Mogły wówczas ukrywać się w swoich wielkich rezydencjach, a zniewoleni zombie pracowali w polu. Czy to możliwe?

Milczałam przez dłuższą chwilę, pogrążona w myślach.

- A teraz, gdy odbyłaś swoją małą wycieczkę, jak ci się podoba fabryka? - zapytała hrabina.

Obie znalazłyśmy się na środku platformy. Za plecami wciąż miałam czterech strażników, lecz wiedziałam, że nie mogę się z nimi mierzyć, podobnie jak z samą hrabiną. Widziała, że nie mam żadnej broni, żadnych kołków. Była potężniejsza ode mnie. Stała ze mną twarzą w twarz, samotna i imponująca.

-Tutaj trzymam zapasy „Krwi Młodości” - oznajmiła dumnie, gestem wskazując ciemne, pachnące metalicznie zbiorniki z parującym płynem pod nami. - Byłaś taka żądna wiedzy o tym, co sprawia, że „Krew Młodości” jest wyjątkowym kosmetykiem. Czy jesteś zadowolona, osobiście oglądając tajemniczy składnik? Zanim staniesz się jego częścią?

Zostałam przyparta do muru. Niewzruszeni strażnicy zombie obserwowali nas z obu końców platformy oraz od strony drzwi wejściowych. Ich martwe oczy śledziły nasze ruchy, twarze pozostawały bez wyrazu, a ciała były bez życia niczym marionetki. To był interes jak każdy inny, jak przypuszczałam. Miałam przemienić się w kolejne kilka gramów „Krwi Młodości” i żywa dusza się o tym nie dowie.

- Koniec gierki. Wezmę, co do mnie należy - powiedziała Batory i rozchyliła usta w straszliwym uśmiechu, oszpeconym kłami, które teraz ukazały się w pełnej krasie, co zauważyłam odrętwiała z przerażenia.

- Jeszcze jedno, zanim wypijesz moją krew - poprosiłam, grając na zwłokę. - Muszę wiedzieć, czy naprawdę zabiłaś te panny służące przed wiekami?

-A jak myślisz? - odpowiedziała pytaniem na pytanie hrabina. Widziałam, że jest podekscytowana wizją dziewiczej krwi.

A zatem tak.

-I naprawdę kapałaś się w ich krwi? Myślałam, że to plotka rozpuszczona przez ludzi, którzy chcieli cię odsunąć od władzy - tłumaczyłam.

-Och, jesteś taka niewinna - wyszeptała hrabina, wachając moją szyję. - Cóż, w sumie to jedno i drugie. Nigdy by mnie nie aresztowano za to małe... dziwactwo, gdyby ci mężczyźni nie chcieli mojej ziemi. Wśród tych, którzy mnie zdradzili, był mój syn. Wiedziałaś o tym? Chciał mieć wszystko dla siebie. Nie chciał nawet poczekać, aż umrę. Mogłam zabić tysiące kobiet więcej i nikogo by to nie obchodziło. To były tylko córki służących. Nic nie znaczyły. Ale tak, chcieli tego, co miałam. - Batory była wściekła na myśl o zdradzie, jak to nazywała, a im dłużej o tym opowiadała, tym więcej żaru było w jej głosie. Spojrzała mi w oczy. - Ci dranie, którzy mnie skazali bez procesu, zapłacili za to, gdy uwolniłam się z zamku.

Tak, potrafiłam to sobie wyobrazić.

Zrobiłam wszystko, by nie odwrócić wzroku. Mój czas prawie się skończył, ale miałam pewien pomysł.

- Szkoda, że „Krew Młodości” działa na wszystkich in-

nych... - pochylała się ku mnie ale nie działa na ciebie -dokończyłam cicho, gdy już była nade mną, kłami niemal dotykając mojego gardła.

Hrabina przerwała na chwilę. Jedną dłoń trzymała na moim ramieniu, a drugą odchyłała moją głowę, by lepiej odsłonić żyłę szyjną.

-Hm? - wymruczała. Musnęła moją skórę swoimi przerośniętymi siekaczami. Staralam się nie zadrzeć.

- Mówię, że to szkoda. To znaczy, nie wyglądasz starzej niż na czterysta lat, ale mimo to uważam, że jak na tyle starań, mogłabyś wyglądać lepiej...

Cofnęła się gwałtownie i wpatrzyła we mnie, zaledwie kilka centymetrów od mojego nosa. Jej mina była mieszanką zdumienia i pożądania, z wysuniętymi kłami i zmarszczonymi brwiami.

-Co? Jestem piękna - oznajmiła, zaskoczona moją sugestią, jakoby było inaczej. - Od czterystu pięćdziesięciu lat jestem jedną z najpiękniejszych kobiet na świecie - wyjaśniła.

Wzruszyłam ramionami.

- Skoro tak uważasz. - Skrzyżowałam ramiona i wzruszyłam nimi, przybierając możliwie najbardziej sceptyczny wyraz twarzy. Moje włosy opadły na szyję - niewielka to była ochrona, jeśli w ogóle można tak powiedzieć.

Uderzyłam we właściwą nutę. Czułam, jak jej gniew rośnie.

- Spójrz na mnie! - wrzasnęła hrabina Batory. Jedną dłonią chwyciła mój podbródek i zmusiła, bym na nią popatrzyła. - Jestem piękna! Widzisz moją wspaniałą urodę! Widzisz!

Na ponaglący ton głosu swojej pani albo może na jakiś niesłyszalny sygnał, zombie strażnicy znów ruszyli

do przodu. Powoli zblizali się do nas, na środku platformy, ich martwe oczy pozostawały niewidzące. Z przerażeniem dostrzegłam, że niektórzy z nich mieli broń. Jeśli uda mi się stąd wyrwać i pobiec, dostanę kulkę w plecy. Martwe kroki zadudniły na metalu, gdy się do nas zblizali, by chronić swoją nieszczęśliwą panią. Zahipnotyzowała ich - ale nie mnie. Oderwałam wzrok od nadchodzących nieumarłych żołnierzy i spojrzałam w piękne ciemne oczy hrabiny. Doprowadziłam ją do wściekłości i zdekoncentrowałam.

- Pozwól, że powiem ci, co widzę - powiedziałam. - Widzę każdy mord, każdy grzech, każdą kroplę krwi, którą przelałaś. Widzę to wszystko tak wyraźnie, jak wyraźne są linie i zmarszczki na twojej starej szpetnej twarzy. Każdy ohydny czyn, jaki popełniłaś w ciągu ostatnich czterystu pięćdziesięciu lat, wyrył się na twoim obwisłym, pokracczym ciele. - Tknięta nagłą myślą sięgnęłam do tylnej kieszeni, wyciągnęłam puderniczkę i otworzyłam ją. - Spójrz, jak bardzo jesteś obrzydliwa - powiedziałam i podsunęłam jej lusterko. - Spójrz na siebie!

Oczy hrabiny błysnęły w małym lusterku i ku mojemu zdziwieniu krzyknęła przeraźliwie.

- Moja twarz! - krzyczała. - Moja piękna twarz! Nie! To nie może być prawda!

Hrabina zakryła dłońmi twarz, by nie widzieć swego odbicia. Była tak zaabsorbowana przerażającą wizją, jaką zobaczyła w lusterku, że nie zauważyła, jak jej stopa zsunęła się z platformy. Spadła głową w dół do zbiornika pełnego parującej krwi.

- Moja twarz! - rozległ się ostatni krzyk, zanim krew jej ofiar ją pochłonęła.

Stałam bez tchu na platformie. Jedną ręką złapałam się poręczy, a w drugiej - niczym odbezpieczony granat - trzymałam puderniczkę od Celi.

Co tam zobaczyła? Czy naprawdę ujrzała to, co chciałam, żeby ujrzała? Czy mam taką władzę?

Powoli zdobyłam się na odwagę, by odwrócić lusterko w swoją stronę.

Zobaczyłam tylko swoją twarz.

Zombie hrabiny Batory z łoskotem padali na ziemię tak, jak stali. Zaklęcie, które ich ożywiało, najwyraźniej przestało działać. Broń zabrzęczała o metal platformy, ciała uderzały o betonową posadzkę.

O rany.

Choć paraliż dawno już minął, trwało chwilę, nim byłam w stanie się ruszyć. Wciąż wpatrywałam się w zbiornik z krwią, zastanawiając się, czy hrabina Batory nie wypłynie z krzykiem.

Nie wypłynęła.

Rozdział 27

Znalazłam czarną limuzynę hrabiny Batory na tyłach fabryki, tam, gdzie została wcześniej zaparkowana.

Podeszłam ostrożnie, choć zdradził mnie chrzęst żwiru pod moimi butami. Augustyn siedział w środku i czekał. Widziałam jego łysinę przez lekko przyciemnione okno po stronie kierowcy. Ten samochód to była moja jedyna szansa na powrót do domu. Przykucnęłam za samochodem i chwyciłam garść żwiru. Odmówiłam krótką modlitwę i rzuciłam małe kamyczki w płot, żeby przyciągnąć uwagę kierowcy. Głowa Augustyna nie poruszyła się.

Jest czy nie jest... ?

Kiedy nie zauważyłam żadnego ruchu, odważyłam się podejść bliżej.

Augustyn opierał się o kierownicę. Otworzyłam drzwiczki, a on wypadł na zewnątrz, choć nogi i stopy pozostały w środku samochodu. Na początku założyłam, że wszyscy podwładni hrabiny Batory są wampirami, ale byłam w błędzie. Augustyn był niewolnikiem zombie, podobnie jak pozostali. A teraz, gdy ich pani była ostatecznie i naprawdę martwa, chciałam wierzyć, że ich dusze zostały uwolnione.

Alicja.

Zawróciłam w stronę drzwi fabryki i zobaczyłam ją

obok leżących bez życia strażników zombie. Widziałam jej rozmytą postać, zniewalająco piękną, ubraną w bluzkę i dżinsy; blond włosy miała splecione w warkocz. Nie wyglądała na więcej niż szesnaście lat. Poczułam głęboki żal, patrząc na nią. Gdzieś w tym kraju, jej rodzina za nią tęskni. Wylali morze łez. Nigdy się nie dowiedzą, jaki spotkał ją koniec.

- Nie ma jej już. Jesteś wolna - powiedziałam, choć gardło miałam ściśnięte. Poczułam, jak łza spływa po moim policzku.

Alicja nie odezwała się, ale wyczułam promieniujący od niej spokój. Po chwili zniknęła.

- Żegnaj - powiedziałam w pustą przestrzeń. Musiałam się stąd wydostać.

Augustyn stał mi na drodze.

-Przykro mi - wymamrotałam do człowieka, który wcześniej przytrzymał mnie, podczas gdy jego pani wsypywała mi truciznę do gardła. Usunięcie reszty jego ciała z samochodu i przejście nad nim, by znaleźć mechanizm otwierający bagażnik limuzyny, było dość nieprzyjemną koniecznością.

Uch.

Augustyn rozkładał się w przyśpieszonym tempie. Od ciała odpadały kawałki mięsa.

Podbiegłam na tył limuzyny i otworzyłam bagażnik, z którego spojrzały na mnie dwie pary przekrwionych, przerażonych oczu. Skye i Pepper były żywe i przytomne. Czekwały na okrucieństwa, jakie chowała dla nich w zanadrzu hrabina Batory, po zabiciu mnie i przygotowaniu z mojej krwi magicznego kremu. Po raz pierwszy ulżyło mi, że je widzę. Z wyrazu ich twa-

rzy wywnioskowałam, że były potwornie przerażone, i nic nie zdołały zrobić, choć nie były związane.

- Gdzie... jesteśmy? - zapytała drżącym głosem Skye. Wciąż były pod wpływem paraliżującej trucizny. Nic dziwnego, że hrabina Batory zakładała, iż także ja będę dłużej pod jej wpływem. Dlaczego moje ciało zareagowało inaczej?

Chociaż podejrzewałam, że jestem odporna na magię i trucizny Elżbiety Batory, wkrótce zdałam sobie sprawę, że nie jestem superbohaterką. Wyciągnięcie moich koleżanek z bagażnika i ułożenie ich na tylnych siedzeniach limuzyny było nie lada wyzwaniem i nie mogę powiedzieć, że dokonałam tego z wdziękiem. Jestem kobietą i przyznaję, że nie jestem silna, i choć obie są szczupłe, to była to prawdziwa walka. Uderzyłam nawet głową Pepper o klapę bagażnika, aż krzyknęła z bólu. Z przykrością stwierdzam, że w duchu nawet się ucieszyłam.

Obie miały ślady ukłucia na szyjach i zastanawiałam się, czy przemienią się w sangwiników przed końcem naszej nocnej podróży.

Wyczerpana spojrzałam na widmowy biały budynek i zamknęłam oczy. Nie było innych oznak życia. Strażnicy zombie rozkładali się w straszliwym tempie.

Czas jechać.

Przeszłam nad rozpadającym się ciałem Augustyna, mamrocząc przeprosiny i usiadłam na miejscu kierowcy. Spojrzałam na podłogę, przez krótką chwilę nerwowo wpatrywałam się w pedały. Nigdy nie prowadziłam większego auta niż subaru ciotki Georgii. A to była limuzyna, na litość boską. Ale kluczyk tkwił w stacyjce, przekreśliłam go z łatwością, ustawiłam dźwignię skrzyni biegów

na pierwszy bieg, znalazłam włącznik świateł i delikatnie nacisnęłam pedał, by ruszyć płynnie. *Dam radę.*

Wolno podjechałam do bramy.

Na szczęście ze strażnika pozostały tylko ubrania i trochę pyłu. Znacznie ułatwiło to szukanie klucza.

Kilka godzin później zapukałam do drzwi apartamentu Celi. Przez jakiś czas jechałam długą ciemną drogą i kiedy już pomyślałam, że się zgubiłam, zobaczyłam drogowskaz na autostradę do Nowego Jorku. Potem to była już tylko kwestia kierowania się na Empire State Building. Jadąc przez park, wstrzymywałam oddech za każdym razem, gdy brałam zakręt. (Limuzyna zyskała kilka nowych wgnieceń, ale doszłam do wniosku, że właścicielka nie będzie miała mi tego za złe).

- Ciociu Celio, jestem w domu - powiedziałam, wchodząc do środka. Widziałam, że siedzi w swoim zwykłym miejscu i czyta. Jej nocne zwyczaje były fascynujące.

Freja podbiegła do mnie, miauczając, zaś Celia odwróciła ku mnie twarz.

- Kochanie, wróciłaś. Tak się cieszę, że pokonałaś hrabinę. Dobra robota.

Taki talent do niedomówień.

Ciotka Celia wstała z wdziękiem, wsunęła stopy w buty i podeszła do mnie, nieskazitelnie ubrana w połyskującą czarną sukienkę i pończochy. Nosiła diamentową broszkę i kolczyki w kształcie kropli. Woalka i czerwona szminka były nieodzownymi elementami jej stroju. Zastanawiałam się, czy wychodziła, czy też właśnie wróciła.

-W skradzionej limuzynie, która stoi przed domem, są moja szefowa i jej zastępczyni - wyjaśniłam, czując, że moje słowa brzmią nieprawdopodobnie, choć przecież to była szczerą prawdą. Co dziwne, najbardziej z tego wszystkiego żałowałam smokingowego żakietu Celi. -I zgubiłam twój cudny żakiet w zbiorniku z krwią dziewic. Przykro mi... och, i strasznie chce mi się pić - dodałam po chwili.

Zdjęłam balerinki i pobiegłam do kuchni, żeby napić się wody. Wypiłam duszkiem trzy szklanki, zanim zaczerpnęłam powietrza. Zdałam sobie sprawę, że drzę z zimna. Nie mogłam się doczekać, aż wezmę kąpiel, ale było jeszcze tyle spraw do wyjaśnienia.

- Obawiam, że... że Jay nie żyje. I że moje szefowe zostały przemienione w sangwiników - powiedziałam ciotecznej babce. - Mają ślady ugryzień na szyjach.

Celia wysłuchiwała opowieści o moich niepokojach ze zwykłym spokojem.

-Nie martw się o żakiet, kochanie - zapewniła mnie. - Chociaż szkoda twojego chłopaka - przerwała. - A jeśli chodzi o twoje koleżanki, skoro były pożywieniem, to wcale nie oznacza, że są już sangwinikami. Niekoniecznie. Zobaczymy - powiedziała, stając w drzwiach. -Wład się nimi zajmie, i samochodem.

Uniosłam brew.

- Zabierze je do szpitala - wyjaśniła.

Gdy ktoś ma na imię Wład, to nie do końca wiadomo, co oznacza „zajmie się nimi”. Nie miał nic wspólnego z Władem Palownikiem, prawda?

- Jeśli mają stać się nieumarłe, to przynajmniej mamy tu dla nich miejsce - powiedziała Celia. - Najważniejsze, że naprawdę dobrze sobie poradziłaś, kochanie, i że

jesteś bezpieczna. Hrabina Batory była poważnym wyzwaniem. Jestem zadowolona, że talizman zadziałał.

Zmarszczyłam brwi.

-Talizman?

-Ten, który ci dałam. Użyłaś go, żeby ją pokonać -wyjaśniła. Wyszła na korytarz, założyła płaszcz i sprawdziła makijaż w okrągłym lustrze przy drzwiach.

Puderniczka. Puder, który mi podarowała był talizmanem?

- Tak, ciociu Celio - wyciągnęłam puderniczkę z tylnej kieszeni i podziwiałam ją. - Zadziałał doskonale -dodałam.

- Na następnego nie zadziała, pamiętaj o tym.

- Następnego? - powtórzyłam, ruszając za nią, by złapać ją za ramię. - Co masz na myśli, mówiąc „następnego”? - zapytałam przerażona.

Moja cioteczna babka uścisnęła mnie mocno, otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

-O tak, kochanie. Jesteś siódma, pamiętasz? Twój czas dopiero się zaczął. Słuchaj, strasznie mi przykro, że tak wychodzę, ale jestem już spóźniona na randkę z Deusem. Jak pewnie się domyślasz, mamy mnóstwo ważnych spraw do omówienia. Musiałam się upewnić, że bezpiecznie dotrzesz do domu. Na mnie już czas...

Wpatrywałam się w nią, a Freja miauczała u moich stóp.

-Dobrze sobie poradziłaś - raz jeszcze pochwaliła mnie moja mądra i piękna cioteczna babka. - A teraz odpocznij. Potrzebujesz tego.

Podziękowania

Przez lata *Krwawa Hrabina* pozostawała ukryta w nieprzeniknionym zakamarku mojego umysłu, dlatego chciałabym podziękować wszystkim w Pan, a zwłaszcza Rodowi, Cate, Claire, Joelowi i całemu zespołowi za zrozumienie mojej wizji świata Pandory i za umożliwienie mi zaprezentowania jej. (Rod, dziękuję ci, że przebrałeś się za sepleniącego Drakulę. Zapamiętam to na długo).

Jestem wdzięczna Selwie Anthony, najlepszej agentce/wróżce chrzestnej/przyjaciółce na świecie. Wszyscy chcemy, by w naszym życiu była taka Selwa lub Celia. Mam też najcudowniejsze przyjaciółki: Alison, Amelię, Desi, Tracey, Melinę, Misty, Jacintę, Sarah, Caroline, Lisę, Liz, Helen, Lizzy, Lauren, Tessę i Lindę (dla mnie zawsze Pannę J). Dziękuję za wsparcie. Podziękowania należą się także fantastycznemu Literary Salon Crew. Oraz: Bogartowi, Leroyowi, Camusowi, Thing i Dorianowi za uczynienie życia bardziej interesującym - i ekscytującym. Dziękuję Tacie, Lou, Jacquelin i Dave'owi, Dorothy, Nikowi, Annelies i Maureen oraz całej rodzinie mieszkającej tutaj i w Kanadzie za waszą miłość i wsparcie. Dzięki, Mamo, za to, że byłaś i jesteś dwadzieścia lat po tym, jak odeszłaś. Ale najbardziej chciałabym podziękować mojemu ukochanemu mężowi Berndtowi, bez którego niewątpliwie miałabym

już skorbut, nie licząc innych dolegliwości. Dziękuję za spontaniczny uliczny teatr zombie w Town Hall podczas Halloween i za to, że mogłam nieustannie gadać o nieumarłych. Kocham Cię.

I na koniec chciałabym podziękować Beli Lugosiemu -mojemu pierwszemu zadurzeniu ciemną stroną w wieku sześciu lat, Bramowi Stokerowi, który odpowiada za wiele, samej hrabinie, Elżbiecie Batory, i wszystkim tym, którzy przez stulecia przyczynili się do bogactwa folkloru i mitologii, na której oparta została ta powieść.

O autorce

Tara Moss jest autorką bestsellerów i głośnych powieści takich jak: *Fetysz*, *Rozłam*, *Żądza*, *Hit* oraz *Siren*. Wydane w siedemnastu krajach i przetłumaczone na jedenaście języków zostały nominowane do nagród Davitt oraz Ned Kelly przyznawanych za najlepsze kryminały.

Urodzona w kanadyjskiej Wiktorii Tara Moss ma obywatelstwo kanadyjsko-australijskie. Gdy nie pisze kolejnej powieści, dużo czyta i jeździ motocyklem (choć nigdy nie robi tego równocześnie) oraz zajmuje się pytonem o imieniu Thing. Kolekcjonuje przedmioty epoki wiktoriańskiej oraz ponure *memento mori*. Jest ambasadorem dobrej woli UNICEF i ambasadorem Królewskiego Instytutu Dzieci Głuchych i Niewidomych. Jej mężem jest australijski poeta i filozof, dr Berndt Sellheim.

Więcej informacji na www.taramoss.com.